ROBOTY

ISAAC

ASIMOV

NAGIE SŁOŃCE

CZĘŚĆ DRUGA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

To miała być po prostu kolejna sprawa Elijaha Baleya. Co prawda embriolog Rikaine Delmarre zginął w niezwykłych okolicznościach i nie odnaleziono narzędzia zbrodni, ale zamordować go mogła tylko jedna osoba — jego żona Gladia. Okazuje się jednak, że Delmarre był Przestrzeńcem, że śledztwo trzeba przeprowadzić na dalekiej Solarii i że nowojorskiemu detektywowi raz jeszcze towarzyszyć będzie humanoid Daneel Olivaw. Sytuację komplikuje dodatkowo fakt, że Baleyowi powierzono tajną misję, która może pogorszyć i tak już napięte stosunki Ziemian z Przestrzeńcami. Czy rozwiązanie zagadki morderstwa na odległym Świecie Zaziemskim może zaważyć na przyszłości Ziemi?

- Isaac Asimov
  - 1. Pada pytanie
  - 2. Spotkanie z przyjacielem
  - 3. Nazwisko ofiary
  - 4. Oglądanie kobiety
  - 5. Opis morderstwa
  - 6. Odrzucona teoria
  - 7. Ponaglanie lekarza.
  - 8. Wyzwanie rzucone kosmicie.
  - 9. Szach robotowi.
  - 10. Historia kultury
  - 11. Inspekcja
  - 12. Chybiony cel
  - 13. Spotkanie z robotykiem.
  - 14. Ujawnienie motywu
  - 15. Barwy portretu
  - 16. Próba wyjaśnienia
  - 17. Zebranie
  - 18. Odpowiedź na pytanie

Isaac Asimov
Nagie Słońce

1. Pada pytanie

Eliasz Blaley walczył z paniką.

Narastała w nim od dwóch tygodni a nawet dłużej. Rosła, odkąd wezwano go do Waszyngtonu i tam poinformowano oficjalnie, że został przeniesiony.

Już sam fakt wezwania go do Waszyngtonu był wystarczająco wielkim wstrząsem. Było to zwykłe wezwanie, Co gorsza, bez ładnych wyjaśnień. Zawierało bilety na przelot w obie strony, a to jeszcze pogarszało sprawę.

Pogarszało po części dlatego, że polecenie podróży samolotem sprawiało wrażenie pośpiechu, częściowo zaś chodziło po prostu o samą ewentualność takiej podróży. Tego rodzaju niepokój łatwo było jednak stłumić.

Przecież Lije Baley już cztery razy w życiu latał samolotem. Raz przeleciał nawet cały kontynent. Chociaż więc podróż samolotem nie należała do przyjemności, nie było to przynajmniej coś całkowicie nieznanego.

Podróż z Nowego Jorku do Waszyngtonu trwała przy tym tylko godzinę. Odlot miał nastąpić z nowojorskiego Pasa Startowego Numer 2, który jak wszystkie rządowe pasy startowe był obudowany a wylot w atmosferę otwierał się dopiero wtedy, gdy osiągnięta została prędkość wzlotu. Lądowanie miało się odbyć na waszyngtońskim, Pasie Startowym Numer 5, który był podobnie zabezpieczony W samolocie jak to Baley dobrze wiedział, nie było wcale okien.

Było za to właściwe oświetlenie, dobre jedzenie, wszystkie wygody.

Lot był zdalnie sterowany i odbywał się bez zakłóceń a gdy już samolot wystartował nie odczuwało się wcale, że jest w ruchu.

Wszystko to tłumaczył Baley sobie i swojej żonie Jessie, która nigdy nie podróżowała samolotem i w której podobne sprawy budziły grozę, — Mimo Wszystko, nie podoba mi się, Lije, że lecisz — powiedziała. — To wbrew naturze. Czemu nie pojedziesz ekspresówką?

— Bo zajęłoby to dziesięć godzin — pociągła twarz Baleya przybrała surowy wyraz — a także dlatego, że jako funkcjonariusz Policji Miejskiej muszę wykonywać rozkazy zwierzchników, przynajmniej jeżeli chcę zachować swoją klasę C-6.

Na to już nie było odpowiedzi.

Baley zajął miejsce w samolocie i utkwił wzrok w rozwijającym się nieprzerwanie na poziomie jego oczu wydruku wiadomości. Tego rodzaju usługi były dumą Miasta: Wiadomości ciekawostki, popularyzacja nauki, czasem literatura piękna. Mówiło się, że wkrótce

wydruki zostaną zastąpione filmami, ponieważ ekran skuteczniej odciąga uwagę pasażera od otoczenia.

Baley wpatrywał się w przesuwający się pas papieru nie tylko, by zająć czymś myśli. Wymagały tego dobre obyczaje. Prócz niego w samolocie było jeszcze pięciu pasażerów (nie mógł tego nie zauważyć) a każdy z nich miał prawo do prywatnego przeżywania strachu czy niepokoju na swój sposób, stosownie do swego charakteru i wychowania.

Sam Baley z pewnością miałby za złe innym zwracanie uwagi na to, że był niespokojny. Nie chciał by czyjeś oczy widziały jak pobielały mu palce gdy zaciskał dłonie na poręczach fotela albo jak wilgotne były te poręcze, gdy zdjął z nich dłonie.

— Jestem w pomieszczeniu zamkniętym — powtarzał sobie — Ten samolot to po prostu małe miasto.

Nie zdołał jednak oszukać sam siebie. Po lewej miał tylko calowej grubości płat stali, czuł go łokciem, a za nim była pustka…

— Zgoda, było tam powietrze, w istocie jednak — pustka.

Tysiąc mil pustki w jedną stronę, tysiąc w długą, jedna a może dwie mile W dole pod nim.

Pragnął niemalże zobaczyć tam w dole połyskujące szczyty kopuł przykrywających miasta, nad którymi przelatywał: Nowy Jork, Filadelfia, Baltimore, Waszyngton. Wyobrażał Sobie przesuwające się skupiska kopuł, których nigdy nie widział, ale o których wiedział, że tam są. A pod nimi, na milę głąb i na dziesiątki mil w każdym kierunku rozciągały Się Miasta.

Niekończące się, rojące się od ludzi korytarze Miast, sektory mieszkalne, stołówki Sektorowe, fabryki, drogi ekspresowe, miłe, drogie sercu świadectwa obecności człowieka.

On zaś był odizolowany, zamknięty w małym metalowym pocisku, mknącym przez pustkę, w zimnym przejrzystym powietrzu.

Drżały mu ręce. Zmuszał się do czytania Wydruków na papierowej wstędze.

Było to opowiadanie o eksploatacji Galaktyki a bohater był najwyraźniej Ziemianinem.

Baley pomrukiwał z irytacją aż wreszcie ugryzł się w język Zakłopotany okazanym brakiem taktu.

Opowiadanie było jednak beznadziejnie głupie. Dziecinne było Udawanie, że Ziemianie mogą podbijać Kosmos, zasiedlać Galaktykę.

Galaktyka była dla nich zamknięta. Była zajęta przez Kosmitów, których przodkowie byli przed wiekami Ziemianami. Ci przodkowie dosięgnę li Zaziemskich Światów, urządzili się tam wygodnie a ich potomkowie ustanowili zapory dla imigracji. Zamknęli Ziemię i swych ziemskich kuzynów, a ziemska cywilizacja Miast dokończyła dzieła. Ściana lęku odgradzała mieszkańców Miast od otwartej przestrzeni, od

obsługiwanych przez roboty obszarów rolniczych i górniczych ich własnej planety.

— A my — pomyślał z goryczą Baley — chociaż nam się to nie podoba, zamiast coś zrobić opowiadamy Sobie bajeczki.

Dobrze jednak wiedział, że nic się nie da zrobić.

Samolot wyładował. Pasażerowie wysiedli i rozeszli się nawet na siebie nie spojrzawszy.

Baley rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze dość czasu by się odświeżyć, zanim pojedzie ekspresówką do Departamentu Sprawiedliwości. Rad był z tego. Wielkie, pełne odgłosów życia hale portu lotniczego, miejskie korytarze biegnące na różne poziomy, wszystko co widział i słyszał wokół dawało mu poczucie bezpiecznego zamknięcia w łonie, we wnętrznościach Miasta. Niepokój spłynął z niego i do pełni szczęścia wystarczyło mu już tylko wziąć natrysk — Zażądali pomocy.

— Od Ziemi? — Spytał z niedowierzaniem Baley. Po Zaziemskich Światach trudno było spodziewać się czegoś innego niż wzgardy, a w najlepszym razie łaskawej wyższości wobec ojczystej planety.

— Od Ziemi? — powtórzył.

— To dziwne — zgodził się Minnim — ale tak właśnie jest. Żądają, by do tej sprawy przydzielono ziemskiego detektywa. Załatwili to kanałami dyplomatycznymi nie najwyższym szczeblu.

Baley usiadł — Ale dlaczego ja? Mam czterdzieści trzy lata. Mam żonę i dziecko. Nie mogę wyjechać z Ziemi — To nie my wybieraliśmy, agencie. Prosili właśnie o pana.

— O mnie?

— O agenta Eliasza Baleya, B-6, z Policji Miejskiej Nowego Jorku. Wiedzą, o kogo im chodzi. Zapewne wie pan, dlaczego, — Nie jestem kompetentny — upierał się Baley.

Oni uważają, że jest pan. Sposób, w jaki rozwiązał pan sprawę Zabójstwa Kosmity najwyraźniej zrobił na nich wrażenie.

— Nie było tak dobrze, jak się wydaje.

Minnim wzruszył ramionami! — W każdym razie prosili o pana, a my zgodziliśmy się pana wysłać. Jest pan przeniesiony i musi pan jechać. W czasie pana nieobecności pańska żona i syn będą mieli zapewnioną opiekę klasy C-7, jako że tę klasę przyznano panu do czasu wywiązania' się z tego zadania… — zawiesił głos — A jeśli wywiąże się pan zadowalająco, pozostawi się panu tę klasę, Wszystko to działo się zbyt szybko. Nic z tego. On nie może opuścić Ziemi. Czy oni tego nie Rozumieją?

Usłyszał, jak pyta obco brzmiącym głosem: — Jakie są okoliczności morderstwa? Dlaczego nie mogą sami tego załatwić?

Minnim przestawiał jakieś drobiazgi na biurku. Pokręcił głową Nic nie wiem o tym morderstwie. Nie znam szczegółów.

— Więc kto je zna, panie sekretarzu? Nie wyśle mnie pan chyba w ciemno? — Znów odezwał się wewnętrzny głos rozpaczy: „Przecież nie mogę opuścić Ziemi”, — Nikt nic nie wie. Nikt na Ziemi. Solarianie nie powiedzieli nam niczego. Pańskim zadaniem będzie dowiedzieć się co jest tak ważnego w tym morderstwie, że trzeba ściągać Ziemianina, by je wyjaśnić. To właściwie część pańskiego zadania, Baley. Był wystarczająco zdesperowany, by zapytać — A jeśli odmówię? — Znał, oczywiście, odpowiedź. Dobrze wiedział, co oznaczałaby de deklasyfikacja, zwłaszcza dla jego rodziny.

Minnim nie wspominał o deklasyfikacji. Powiedział cicho: — Nic może pan odmówić. Trzeba wykonać to zadanie.

— Dla Solarii? — Niech ich diabli wezmą!

— Dla nas, Baley. Dla nas — Minnim przerwał i podjął znów po chwili — Zna pan sytuację Ziemi. Nie muszę chyba tego wyjaśniać?

Baley znał tę sytuację, jak każdy mieszkaniec Ziemi. Pięćdziesiąt Światów Zaziemskich, liczących łącznie daleko mniej mieszkańców niż Ziemia, miało minio to stukrotną przewagę militarną. Słabo zaludnione światy, których ekonomika opierała się na pracy pozytronowych robotów, produkowały tysiąckrotnie więcej energii na głowę mieszkańca niż Ziemia. To decydowało o przewadze wojskowej, o poziomie życia, o Szczęściu, o wszystkim.

Minnim mówił dalej — Jednym z czynników, które mają nas utrzymywać w obecnym położeniu jest brak informacji. Kosmaci wiedzą o nas wszystko. Przysłali tu wystarczająco wiele przedstawicielstw. My nie wiemy o, nich niczego, prócz tego, co nam sami o sobie mówią. Żaden mieszkaniec Ziemi nie postawił nigdy stopy na Zaziemskim świecie, fan będzie pierwszy.

— Nie mogą… zaczął Baley.

— Będzie pan — powtórzył Minnim. — Pan będzie tam na specjalnych prawach, zaproszony przez nich, wykonując pracę, którą panu zlecili. Wróci pan z wiadomościami, których Ziemia potrzebuje.

Baley patrzył ponuro na podsekretarza — Mam szpiegować dla Ziemi?

— Nic ma mowy o Szpiegowaniu. Będzie pan robić to, o co proszą. Wystarczy mieć oczy otwarte. Niech pan obserwuje! Analiza i interpretacja pańskich spostrzeżeń będzie już rzeczą specjalistów — Wygląda to na kryzys, panie sekretarzu.

— Z czego pan to wnioskuje?

Ta misja, to ryzyko. Kosmici nas nienawidzą. Mimo najlepszych chęci i mimo zaproszenia, mogą spowodować zatarg na skale, międzygwiezdną. Rząd mógł bez trudu się wykręcił Mogli powiedzieć że jestem chory. Kosmici panicznie boją się chorób. Nigdy by mnie nie wpuścili.

— Czy chce pan, żebyśmy tego spróbowali?

— Nie! Jeśliby rząd nie miał powodu mnie wysyłać, pomyśleliby sami o tym albo o czymś lepszym. Wynika z tego, że szpiegowanie jest sprawą istotną. A jeśli tak, musi być w tym coś więcej, niż głód informacji. To nie usprawiedliwiałoby ryzyka.

Baley liczył się z wybuchem gniewu jako środkiem nacisku, Minnim jednak tylko uśmiechnął się chłodno — widzę, że nie wystarczy panu to co nieistotne. Nie spodziewałem się zresztą niczego innego. Podsekretarz pochylił się przez biurko ku Baleyowi.

— O tym, co panu powiem, nie wolno panu z nikim rozmawiać, nawet ż ludźmi z rządu. Nasi socjologowie doszli do pewnych wniosków dotyczących stanu Galaktyki. Mamy pięćdziesiąt Światów Zaziemskich, słabo zaludnionych, zrobotyzowanych, potężnych, z ludnością zdrową i długowieczną. My natomiast jesteśmy opóźnieni w rozwoju, żyjemy w tłoku, żyjemy krótko i pod dominacją tamtych.

Taki układ jest niestabilny.

— Wszystko jest niestabilne, na dłuższą metę.

— To jest niestabilne na krótszą metę. Zostało nam najwyżej sto lat. Nie dojdzie do tego za naszego życia ale mamy przecież dzieci. Staniemy się w końcu zbyt wielką groźbą dla Zaziemskich Światów, by pozwolono nam przeżyć. Jest nas osiem miliardów Ziemian i wszyscy nienawidzą Kosmitów.

— A oni wypchnęli nas z Galaktyki, przejęli korzyści z naszego handlu, wydają polecenia naszemu rządowi i traktują nas z pogardą.

Czego się spodziewają? Wdzięczności?

— Zgadza się. Zaakceptowano więc schemat wydarzeń: rewolta, stłumienie rewolty, znów rewolta, znów stłumienie i w ciągu stulecia Ziemia przestanie istnieć jako zamieszkały świat. To właśnie mówią socjologowie.

Baley poczuł się niepewnie. Nie podaje się w wątpliwość przewidywań socjologów i ich komputerów — Jeśli tak, czego spodziewa się pan po mnie?

— Słabą stroną prognozy socjologów jest brak danych o Kosmitach. Musieli przyjąć do założeń darte o tych", których nam tu przysłali i to, co tamci zechcieli nam o sobie powiedzieć. Znamy więc ich siłę ale też tylko siłę. Mają swoje roboty, są nieliczni, są długowieczni, ale mają też przecież, do licha, jakieś słabe punkty. Może istnieje jakiś czynnik albo zespół czynników, który mógłby podważyć przepowiednie nieuchronnego zniszczenia Ziemi. Gdybyśmy wiedzieli o czymś takim, mogłoby to pokierować naszymi działaniami, zwiększyć szansę przetrwania Ziemi.

— Czy nie lepiej byłoby posłać socjologa, panie Sekretarzu?

Mmmm pokręcił głową — Gdybyśmy mogli wysłać kogo chcemy, już dawno byśmy wysłali. Przewidywania pochodzą sprzed dziesięciu lat. Pierwszy raz mamy możliwość wysłania kogoś. Prosili o detektywa

i odpowiada to nam. Detektyw jest także socjologiem, praktykującym socjologiem, inaczej nie byłby dobrym detektywem.

Z pańskich akt wynika, że jest pan dobry.

— Dziękuję, panie sekretarzu — odpowiedział odruchowo Baley — A jeśli znajdę się w kłopocie?

Minnim wzruszył ramionami — Ryzyko należy do pańskiego zawodu. — Zakończył sprawę machnięciem ręki — Tak, czy owak, musi pan lecieć. Wyznaczono termin i statek czeka.

Baley zesztywniał — Czeka? Kiedy mam lecieć?

— Pojutrze.

— Wrócę więc do Nowego Jorku. Moja żona…

— My z nią pomówimy — Nie powinna wiedzieć, co pan porabia. Uprzedzimy ją, by nie czekała na wiadomości.

— To nieludzkie! Muszę ją widzieć. Mogę jej już nigdy nie zobaczyć.

— Może, to co powiem wyda się panu jeszcze bardziej (nieludzkie, ale przecież każdego dnia ryzykuje pan, pełniąc służę, że ona może już nigdy pana nie zobaczyć. Trzeba wypełniać swoje obowiązki agencie!

Fajka Baleya zgasła przed kwadransem. Nie zauważył tego nawet Nie mieli mu nic więcej do powiedzenia. Niczego nie Wiedzieli o morderstwie. Ponaglano go tylko aż do chwili gdy stanął, wciąż nie mogą w to uwierzyć, u stóp statku kosmicznego.

Statek przypominał gigantyczne, wymierzone w niebo działo Baley drżał w ostrym powietrzu pod otwartym niebem. Była noc (Baley był za to wdzięczny) tak głęboka jakby czarne ściany wokół stapiały się z czarnym sklepieniem nad głową. Niebo było zakryte chmurami. Bywał już w planetariach ale jasna gwiazda, która przebiła się przez rozdarcie w chmurach, przykuła jego uwagę.

Mała, odległa iskierka. Patrzył na nią bez lęku, z ciekawością.

A przecież wokół czegoś tak nieznacznego krążyły planety, których mieszkańcy byli władcami Galaktyki.

Pomyślał, że i Słońce świecące: teraz po drugiej stronie Ziemi, było czymś takim, tylko znacznie bliższym. Pomyślał o Ziemi, o skalnej kuli pokrytej cienką warstwą cieczy i gazu, wydanej całą powierzchnią na łup pustce, z miastami ledwie zarytymi w skorupie ziemskiej, niepewnie zawieszonymi między powietrzem a skałą. Skóra mu ścierpła na tę myśl.

Statek należał, oczywiście do Kosmitów. Handel międzygwiezdny był całkowicie w ich rękach. Baley był już samotny, poza granicami miasta. Wykąpano go, wyszorowano i odkażono, zanim wreszcie uznano że odpowiada normom bezpieczeństwa i może wejść na pokład, na powitanie wysłano jednak robota, zachowując się jakby był nosicielem zarazków setki chorób z zabójczego miasta, na które sam

był odporny, żyjący zaś w cieplarnianych warunkach Kosmici nie byli.

Zwalisty robot majaczył W mroku nocy a jego oczy żarzyły się czerwono.

— Agent Eliasz Baley?

— Zgadza się — powiedział ochrypłym głosem Baley i poczuł, że włos mu się jeży, Był w wystarczającym stopniu Ziemianinem, by dostawać gęsiej skórki na widok robota, wykonującego ludzką pracę. Oczywiście, był jeszcze R. Daniel Olivaw, jego partner w sprawie zabójstwa Kosmity ale to było zupełnie co innego. Daniel był…

— Zechce pan iść za mną — powiedział robot. Jasne światło zalało drogę do statku.

Baley poszedł za nim. Po trapie w górę, korytarzami w głąb statku i do kabiny.

Robot oznajmił — To będzie pańska kabina, agencie Baley. Uprasza się, by pozostawał pan w niej w czasie trwania podróży.

— Pewnie! — pomyślał Baley — Zapieczętujecie mnie w izolatce.

Korytarze, którymi przechodził, były puste. Teraz pewnie roboty zajmowały się ich dezynfekcją. Robot, stojący przed nim zostanie pewnie poddany kąpieli antybakteryjnej.

Ma pan tu zapas wody — mówił robot — i wodę bieżącą. Jedzenie będzie dostarczane. Ma pan też możliwość wyglądania. Przesłony iluminatorów sterowane są z tej tablicy. Są zamknięte ale jeśli życzy pan sobie oglądać kosmos…

— W porządku, chłopcze — powiedział pośpiesznie Baley. — Zostaw je zamknięte.

Zwrócił się do robota „chłopcze” zgodnie z ziemskim zwyczajem ten jednak nie okazał niechęci. Oczywiście, nie mógł. Zakazywały mu tego Prawa Robotyki.

Robot pochylił swój wielki metalowy korpus, jakby kłaniał się z szacunkiem i wyszedł. Baley został sam w kabinie. Czuł się tu w każdym razie lepiej niż W samolocie. Samolot dawał się ogarnąć wzrokiem od końca do końca. Statek kosmiczny był ogromny, były w nim korytarze, poziomy, pokoje. Był Miastem w miniaturze. Baley mógł oddychać swobodnie.

Światła błysnęły i metaliczny głos robota przekazał instrukcje dotyczące zabezpieczeń przed skutkami przeciążenia przy starcie.

Potem został wepchnięty w sieć, zaczął działać system hydrauliczny, gdzieś daleko z łoskotem wyrywał się z dysz płomień rozpalony w protonowym mikrostosie.

Potem był świst pozdzieranej atmosfery, wciąż Wyższy, Słabnący, po godzinie już niesłyszalny.

Byli w kosmosie.

Czuł odrętwienie zmysłów, wszystko wydawało się nierzeczywiste. Mówił sobie że z każdą sekundą oddala się o tysiące

mil Od Miasta i od Jessie ale ledwie to do niego docierało.

Na drugi dzień (a może na trzeci? — niełatwo było ocenić upływ czasu, chyba licząc godziny snu i posiłków) nadeszła chwila gdy poczuł jakby wszystko W nim się wywracało. Baley wiedział, że był to Skok, niepojęte, prawie mistyczne przejście przez nadprzestrzeń, które przenosiło statek i jego ładunek z jednego punktu przestrzeni w drugi, odległy o całe lata świetlne. Minęło trochę czasu i nastąpił kolejny Skok, znów minął czas — i znów nastąpił Skok.

Baley mówił sobie, że znalazł się o całe lata świetlne od Ziemi, o dziesiątki lat świetlnych, setki, tysiące. Nie wiedział ile. Nikt na Ziemi nie wiedział, gdzie znajduje się Solaria, mógłby się o to założyć. Nie mieli o tym pojęcia!

Poczuł się straszliwie samotny.

Potem było wrażenie zwalniania. Pojawił się robót. Jego mroczne, rubinowe oczy przyjrzały się siatce bezpieczeństwa, dokręcił sprawnie jakąś nakrętką i sprawdził szybko system hydrauliczny.

— Lądujemy za trzy godziny. Zechce pan pozostać w kabinie Przyjdzie tu człowiek, by wyjść z panem i zabrać pana do rezydencji.

— Zaczekaj — powiedział z wysiłkiem Baley. Opięty siatką, czuł się całkiem bezradny — Jaka to będzie pora dnia?

Robot odpowiedział — W standardowym czasie galaktycznym będzie…

— Chodzi o czas lokalny, chłopcze! Czas lokalny! Na Jozafata!

Robot płynnie recytował — Solariański dzień trwa trzydzieści osiem i trzydzieści pięć setnych standardowej godziny. Godzina solariańska dzieli się na dziesięć dekad po sto centad każda. Pianowe przybycie nastąpi w dwudziestej centadzie piątej dekady…

Baley znienawidził robota — za jego tępotę, za to, że zmuszał go do pytania wprost, do odsłonięcia słabego punktu. Musiał jednak spytać:

— Czy to będzie dzień?

Na koniec robot odpowiedział — Tak, proszę pana! — I odszedł.

To będzie dzień. Będzie musiał wyjść w środku dnia na nieosłoniętą powierzchnię planety.

Nie był pewien jak to wypadnie. Widywał powierzchnią swoje i planety z punktów widokowych w Mieście. Był nawet przez parę chwil na zewnątrz ale ściany, bezpieczeństwo, były zawsze na wyciągnięcie ręki.

Teraz nie będzie nawet złudnych ścian mroku.

Ponieważ nie mógł okazać przed Kosmitami słabości — niech go diabli, jeśli okaże — znieruchomiał w sieci, chroniącej go przed skutkami zwalniania, zamknął oczy i uparcie walczył z paniką.

2. Spotkanie z przyjacielem

Baley przegrywał walkę. Nie wystarczały już argumenty rozsądku Mówił sobie wciąż od nowa: Ludzie spędzają całe życie pod otwartym niebem. Nasi przodkowie żyli tak w przeszłości. Dziś żyją tak Kosmici. Brak ścian nie stwarza żadnego zagrożenia. To tylko moja świadomość błądzi, podpowiadając mi co innego.

Wszystko to jednak nie pomagało. Coś w nim, coś innego niż rozsądek, żądało ścian i było przeciw otwartej przestrzeni.

Z czasem doszedł do wniosku, że nie może wygrać. W końcu załamie się, a Kosmita, którego przyślą (w rękawiczkach i z filtrami w nosie), nie będzie nim nawet gardził, bidzie czuł jedynie niesmak.

Trzymał się więc.

Gdy statek stanął w bezruchu, siatka bezpieczeństwa odpięła się automatycznie a system hydrauliczny usunął się w ścianę, Baley pozostał w fotelu, Bał się, ale nie zamierzał tego okazać.

Na odgłos otwierania drzwi odwrócił się. Kątem oka zauważył w drzwiach wysoką ciemnowłosą postać. Kosmita, jeden z tych pyszałkowatych potomków Ziemi, którzy pogardzili własnym dziedzictwem.

— Partnerze Eliaszu! — przemówił Kosmita.

Baley drgnął i obrócił głowę do mówiącego. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia i mimo woli wstał.

Patrzył na tą twarz o szerokich kościach policzkowych i doskonale regularnych rysach, w patrzące mu prosto w oczy, spokojne, błękitne oczy tamtego.

— D-daniel!

— Miło mi, pamiętasz, partnerze Eliaszu.

— Czy cię pamiętam? — Uczucie ogromnej ulgi owładnęło Baleyem. Oto był ktoś, kto stanowił cząstkę Ziemii, przyjaciel, pocieszycie!, wybawca. Czuł, że musi tamtego uściskać, wziąć w ramiona, klepać po plecach, śmiejąc się i robiąc te wszystkie głupie rzeczy, które robią starzy przyjaciele, spotykając się po długiej rozłące.

Niczego jednak nie zrobił. Nie mógł. Mógł tylko postąpić ku tamtemu z wyciągniętą ręką i powiedzieć:

— Nie mógłbym cię zapomnieć, Danielu.

— Cieszę się — odpowiedział Daniel, skinąwszy poważnie głową. — Dobrze wiesz, że dla mnie napomnieć cię byłoby niemożliwością. To wspaniale, móc cię znowu widzieć.

Objął dłoń Daniela, energicznie, lecz z opanowaniem, nie ściskając mu zbyt mocno palców.

Baley miał nadzieje, że nieprzeniknione oczy tamtego nie widzą,

co dzieje się w jego umyśle, że nie dostrzegły dopiero co minionej chwili gdy on, Baley, cały był przyjaźnią i przywiązaniem.

Trudno było żywić przywiązania i przyjaźń do Daniela Olivawa, który nie był człowiekiem, lecz robotem.

Robot, tak bardzo przypominający człowieka, mówił — Prosiłem aby nasz pojazd połączono ze statkiem rękawem.

— Rękawem?

— Tak, to zwykła technika kosmiczna. Załoga i materiały — przychodzą ze statku do statku bez konieczności używania ekwipunku próżniowego. Nie jesteś z tym obeznany, jak widzę…

— Nie, ale widziałem zdjęcia…

— Było trochę komplikacji z zainstalowaniem takiego urządzenia między statkiem a pojazdem, nalegałem jednak, by to zrobiono. Na szczęście sprawa do której nas przydzielono ma pierwszeństwo. Trudności są szybko usuwane.

— Wiec przydzielono i ciebie do sprawy morderstwa?

— Nie wiesz o tym? Powiedziałbym ci od razu, przepraszam! Na twarzy robota nie było ani śladu zmartwienia.

— To doktor Han Fastolfe, spotkałeś go na Ziemi kiedy pracowaliśmy poprzednio ze sobą i chyba go pamiętasz, zaproponował ciebie na prowadzącego śledztwo. Postawił też warunek aby przydzielono mnie znów do pracy z tobą.

Baley pozwolił sobie na uśmiech. Doktor — Fastolfe pochodził z Aurory, najpotężniejszego z Zaziemskich światów. Zdanie przedstawiciela Aurory miało swoją wagę.

— W drużynie, która wygrywa, nie wprowadza się zmian, nieprawdaż? (ożywienie, które poczuł na widok Daniela przygasło, znów było mu ciężko na sercu).

— Nie wiem, czy o to chodziło, Eliaszu. Z tego co mi polecił wWnoszę, że chciał, by pracował z tobą ktoś obyty z twoim światem i jego dziwactwami.

— Dziwactwami? — Baley czuł sio dotknięty. Nie odpowiadało mu to słowo, kiedy chodziło o niego.

— Chociażby to, że pomyślałem o rękawie. Znam waszą awersję do otwartej przestrzeni, rezultat wychowania w miastach.

Coś kazało Baleyowi zmienić temat. Może po nazwaniu go dziwakiem, była to chęć stawienia oporu maszynie. Może po prostu długie doświadczenie ustrzegło go0 przed pozostawianiem bez wyjaśnienia czegoś, co było nielogiczne.

— Na tym statku, najmował się inna robot o wyglądzie robota (to już była złośliwość). Czy go poznałeś?

— Rozmawiałem z nim przed wejściem na pokład.

— Jak się nazywa? Chciałbym z nim pomówić.

— RX-2475. Na Solarii roboty oznacza się numerami seryjnymi —

Daniel spojrzał na tablicę przy drzwiach — Przywołuje się go tym przyciskiem, Wskazany przycisk oznaczony był literami RX. Baley dotknął go i nie minęła minuta, gdy robot o wyglądzie robota wszedł do kabiny.

— Jesteś RX-2475.

— Tak, proszę pana.

— Mówiłeś mi, że ktoś ma po mnie przyjść. Czy miałeś na myśli jego? — Baley wskazał Daniela.

Roboty wymieniły spojrzenia. RX-2475 powiedział. Tak jest. Wynikało to z dokumentów.

— Czy opisano ci jego wygląd?

— Nie, proszę pana. Podano mi nazwisko.

— Kto je podał?

— Kapitan statku, proszę pana.

— Solarianin?

— Tak, proszę pana.

Baley zwilżył wargi. Następne pytanie rozstrzygnij.

— Jakie podano ci nazwisko? (— spytał.) — Daniel Olivaw, proszę pana — odpowiedział RX-2475.

— W porządku chłopcze, możesz odejść.

Robot skłonił się, wykonał zwrot i wyszedł.

Baley zwrócił się do partnera i rzekł z zastanowieniem — Nie powiedziałeś mi wszystkiego, Danielu.

— W jakim sensie, Eliaszu?

— RX-2475 mówił, że to człowiek ma mi towarzyszyć. Dobrze to pamiętam.

Daniel nie odzywał się.

Baley kontynuował — Sądziłem, że się pomylił, albo że wyznaczonego człowieka zastąpiono robotem nie informując o tym RX-2475. Opisano jednak twoje dokumenty i podano twoje nazwisko. Niepełne nazwisko, nieprawdaż Danielu?

— Istotnie, nie podano mojego pełnego nazwiska — zgodził się Daniel.

— Nie nazywasz się Daniel Olivaw ale R. Daniel Olivaw, albo w pełnym brzmieniu, Robot Daniel Olivaw.

— Masz całkowitą rację, partnerze Eliaszu.

— Z tego wynika, że RX-2475 nie został poinformowany, że jesteś robotem i pozwolono mu uważać cię za człowieka.

— Nie przeczę.

— Idźmy więc dalej — Baley czuł, że budzi się w nim instynkt myśliwski. Wpadł na jakiś trop. Może nie było to nic ważnego. Tropienie było jednak czymś, co potrafił robić na tyle dobrze, że wzywano go przez pół Wszechświata, by to robił.

— Czemu miałoby komuś zależeć na wprowadzaniu w błąd

mizernego robota? Jemu jest wszystko jedno, czy jesteś robotem, czy człowiekiem. Tak czy owak będzie posłuszny. Logicznym wnioskiem jest, że Solariański kapitan, który informował robota i władze Solarii, które powiadomiły kapitana, nie wiedzą, że jesteś robotem. Można wyciągnąć i inne wnioski, czy jednak ten nie jest słuszny?

— Sądzę, że jest.

— W porządku. A teraz pytanie, dlaczego doktor Han Fastolfe polecając cię na mojego partnera pozwolił Solarianom sądzić, że jesteś człowiekiem? Czy to nie ryzykowne? Solarianie byliby wściekli, gdyby się O tym dowiedzieli. Jaki był tego cel?

— Wyjaśniono mi to, partnerze Eliaszu — odpowiedział humanoid — współpraca z człowiekiem z Zaziemskich Światów podniosłaby twój prestiż, współpraca z robotem natomiast, obniżyłaby go. Znam twój sposób bycia i dobrze nam się; pracowało. Solarianie wzięli mnie za człowieka, wystarczyło więc im na to pozwolić, nie składając fałszywych oświadczeń.

Baley nie wierzył w to wyjaśnienie. Aż taka dbałość o uczucia Ziemianina nie leżała w naturze Kosmity, nawet tak pozbawionego uprzedzeń, jak Fastolfe.

Rozważał inną możliwość — Czy przypadkiem Solarianie nie słyną w Zaziemskich Światach z produkcji robotów?

— Rad jestem, że zapoznałeś się z ekonomią Solarii.

Nic podobnego. Moja wiedza o Solarii kończy się na znajomości wymowy tej nazwy.

— W takim razie Eliaszu, trafiłeś W sedno, choć nie wiem skąd ci to przyszło na myśl. Solaria znacznie wyprzedzały inne światy Zaziemskie w produkcji różnorodnych, wysokiej jakości robotów. Eksportuje ona wyspecjalizowane modele cło Wszystkich innych światów.

Baley skinął głową ze złośliwą satysfakcją. Naturalnie, Daniel nie mógł tego odgadnąć a on nie zamierzał tłumaczyć. Doktor Han Fastolfe i jego ludzie mogli mieć całkiem, osobiste i bardzo ludzkie powody, by zademonstrować możliwości własnego robota. Nie miało to nic Wspólnego z uczuciami Ziemianina. Chcieli dowieść Solarianom swej wyższości, pozwalając im wziąć robota z Aurory za człowieka.

Humor mu się poprawił. Argumenty rozumu nie pomogły mu zwalczyć paniki ale poczucie satysfakcji najwyraźniej pomogło. Pomogło też rozszyfrowanie próżności Kosmitów.

— Na Jozafata, — myślał — wszyscy jesteśmy ludźmi, nawet kosmici — Odezwał się z nonszalancją — Czy długo jeszcze mamy czekać na ten pojazd?

Jestem gotów!

Rękaw zdradzał oznaki niedopasowania. Człowiek i humanoid wyszli ze statku wyprostowani. Elastyczna siatkowa konstrukcja

uginała się i kołysała pod ich ciężarem. (Baley wyobrażał sobie mgliście, jak to w przestrzeni, w nieważkości, ludzie przelatują ze statku do statku jednym susem). Na końcu tuba zwężała się. Siatkowa konstrukcja wyglądała jakby ją ścisnęła ręka olbrzyma. Daniel opadł na czworaki, Baley również. Przebyli tak ostatnie dwadzieścia stóp zanim weszli do pojazdu.

Daniel zasunął starannie drzwi przesuwne. Rozległo się cmoknięcie oznaczające zapewne odłączenie się rękawa.

Baley rozglądał się z zaciekawieniem. Wnętrze nie odznaczało się niczym szczególnym. Mieściły się w nim, jedno za drugim, dwa siedzenia, każde dla trzech osób. To bokach obu siedzeń. były drzwi. Połyskliwe fragmenty ścian, zapewne okna, były czarne i nieprzejrzyste, niewątpliwie w wyniku zastosowania polaryzacji. Baley znał tę technikę.

Dwa koliste źródła żółtego światła w suficie oświetlały wnętrze.

Nowością był transmiter osadzony w ściance przed przednim biedzeniem a także zupełny brak urządzeń kontrolnych, — Kierowca jest, jak sądzę, po drugiej stronie ścianki.

— Właśnie tak, Eliaszu — odpowiedział Daniel, pochylił się i, przełożył dźwigienkę. Zamigotał czerwony punkcik świetlny — Możemy ruszać. Jesteśmy gotowi.

Rozległ się stłumiony warkot, zaraz jednak ścichł. Poczuł słabe, przelotne pchnięcie w tył.

— Czy już jedziemy? — spytał zdziwiony Baley, — Jedziemy — odrzekł Daniel — Ten pojazd nie porusza się na kołach, ale na poduszce magnetycznej. Oprócz przyśpieszeń i zwolnień, nie poczujemy niczego.

— A zakręty?

— Pojazd odpowiednio się nachyla. Przy pokonywaniu pochyłości utrzymywany zaś jest poziom.

— Prowadzenie musi być dość trudne — zauważył Baley.

— W pełni zautomatyzowane. Kierowca jest robotem.

Baley Wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć.

— Jak długo to potrwa?

— Godzinę. Podróż samolotem trwałaby krócej, zależało mi jednak na zapewnieniu ci izolacji a solaryjskie samoloty nie Umożliwiają całkowitego zamknięcia wnętrza, jak W pojeździe, którego używamy.

Taka troskliwość zaczęła irytować Baleya. Poczuł się jak dziecko pod opieką niańki, Irytował go nawet sposób mówienia Daniela. Wydawało mu się, że zbytnia poprawność budowy zdań łatwo może zdradzić prawdziwą naturę robota. Przez chwalę przyglądał się ciekawie R. Danielowi Olivawowi. Robot patrzył wprost przed siebie, nieporuszony i nieświadomy, że mu się przyglądają. Faktura skóry

odtworzona była idealnie. Włosy i ich rozmieszczenie oddane jak należy.

Ruchy mięśni pod skórą były absolutnie naturalne. Nie pożałowano trudu dla choćby najbardziej wymyślnych. Baley z władnego doświadczenia wiedział, że kończyny i klatka piersiowa otwierają się wzdłuż niewidocznych szwów, co umożliwia naprawy. Wiedział, że pod tą naturalnie wyglądającą skórą kryje się metal i silikon. Wiedział, że mózg w tej czaszce, to tylko mózg pozytronowy a „myśli" Daniela są tylko potokami pozytronów płynącymi wzdłuż wytyczonych przez wytwórcę ścieżek. Czy jednak coś mogło to zdradzić oku nieuprzedzonego eksperta?

Drobna nienaturalność mowy i zachowania? Pewien bezwład emocjonalny? Przesadna doskonałość człowieczeństwa?

Szkoda było czasu na takie Rozważania. Baley odezwał się — Przypuszczam, Danielu, że przed przybyciem tu zostałeś wprowadzony w sprawy Solarian. i — Tak, partnerze Eliaszu.

— Świetnie. To więcej, niżż zrobiono dla mnie. Czy to duży świat?

— Średnica planety wynosi 9500 mil. Jest to zewnętrzna z trzech planet i jedyna zamieszkała. Klimat i atmosfera przypomina Ziemię. Ziemi nadającej Się do uprawy jest tu więcej. Zasoby mineralne są zaś mniejsze, ale oczywiście mniej intensywnie eksploatowane. Świat jest samowystarczalny a eksportowi robotów zawdzięcza wysoki poziom życia.

— A jakie jest zaludnienie?

— Dwadzieścia tysięcy ludzi, partnerze Eliaszu, Baley, usłyszawszy to, poprawił grzecznie — Chciałeś powiedzieć, dwadzieścia milionów, nieprawdaż?

Miał tyle pojęcia o Zaziemskich Światach, by wiedzieć, ze choć niedoludnione, według ziemskich norm, miały średnio 24 miliony mieszkańców.

— Dwadzieścia tysięcy ludzi, partnerce Eliaszu — powtórzył robot.

— Czy to świeżo skolonizowana planeta?

— Bynajmniej. Jest niezależna od dwóch stuleci, a Zasiedlona od trzech albo więcej. Liczba ludności jest utrzymywana celowo na poziomie dwudziestu tysięcy, jaki Solarianie uważają za optymalny.

— Jaka; część planety jest zamieszkała?

— Wszystkie obszary nadające się do uprawy.

— Ile to będzie w milach kwadratowych?

— Trzydzieści milionów mil kwadratowych — Dla dwudziestu tysięcy ludzi!

— I dwustu milionów pozytronowych robotów, partnerze; Eliaszu.

— Na Jozafata! To oznacza dziesięć tysięcy robotów na jednego człowieka!

— To istotnie niezwykle dużo, nawet jak na Światy Zaziemskie.

Na następnej z kolei Aurorze przypada tylko pięćdziesiąt robotów na głowę.

— Co pni robią z taką masą robotów? Po co im tyle żywności? — Żywność nie jest najważniejsza. Ważniejsze jest wydobycie surowców, a zwłaszcza produkcja energii.

Baley myślał o tych wszystkich robotach i czuł się oszołomiony.

Dwieście milionów robotów i tak niewielu ludzi! Roboty muszą dominować w krajobrazie planety. Postronny obserwator mógłby wziąć Solarię za świat robotów, nie zauważyć ludzi.

Czuł, że musi to zobaczyć. Pamiętał rozmowę z Minnimem i katastroficzne przepowiednie socjologów. Wydawały się odległe i nierzeczywiste, pamiętał jednak. To, co przeżył po opuszczeniu Ziemi sprawiło, że wspomnienie głosu Minnima, mówiącego z chłodem i precyzją o rzeczach nieprawdopodobnych, nie zatarło się, jednak Baley nazbyt się już zżył ze swymi obowiązkami by w ich pełnieniu miało mu przeszkadzać to, że znalazł się na otwartej przestrzeni.

Dane uzyskane od Kosmitów i ich robota były dostępne ziemskim socjologom. Potrzebne były bezpośrednie obserwacje i jego zadaniem, choćby i niemiłym, było ich zbieranie.

Przyjrzał się górnej części pojazdu — Czy to jest kabriolet, Danielu?

— Nie wiem, co masz na myśli, Eliaszu, przykro mi.

— Czy dach pojazdu może być odsunięty, a pojazd otwarty ku niebu? (omal nie powiedział odruchowo „kopule").

— Tak, może.

— Więc zrób to, Danielu. Chcę się. rozejrzeć.

— Przykro mi, ale nie mogę na to pozwolić — odpowiedział poważnie robot.

Baley osłupiał — Słuchaj, R. Danielu (położył nacisk na R). Powtórzmy — rozkazuję ci opuścić dach.

W końcu człekokształtny czy nie, robot musi wypełniać polecania Daniel nie poruszył się jednak. Powiedział — powinienem wyjaśnić, że moim pierwszym obowiązkiem jest cię chronić. Jest dla mnie oczywiste tak w świetle moich instrukcji, jak i doświadczenia, że szkodzi ci znalezienie się na otwartej przestrzeni. Nie mogę ci na to pozwolić.

Baley poczuł, że krew uderza mu do głowy i jednocześnie uświadomił sobie, że gniew nie miałby sensu. To był robot, a Baley Wiedział co mówi Pierwsze Prawo Robotyki.

Brzmiało ono: „Robot nie może wyrządzić krzywdy człowiekowi ani przez swą bezczynność dopuścić do wyrządzenia mu krzywdy".

Wszystko inne w pozytronowym mózgu robota — jakiegokolwiek robota, na którymkolwiek ze światów Galaktyki, musiało przed tym ustąpić.

Robot musiał oczywiście słuchać rozkazów, z tym jedynym Wszakże wyjątkiem. Posłuszeństwo rozkazom było Drugim z kolei Prawem Robotyki.

Brzmiało ono: „Robot mysi wykonywać rozkazy człowieka, z wyjątkiem tych, które są sprzeczne z Pierwszym Prawem".

Baley zmusił się do zachowania spokoju — Sądzę, że jakiś czas wytrzymam, Danielu.

— Mam wrażenie, że nie, Eliaszu.

— Pozwól, że sam to osądzę, Danielu.

— Jeśli to rozkaz, Eliaszu, nie mogę mu być posłuszny.

Baley opadł z rezygnacją na wyścielane oparcie siedzenia. Nie mógł zmusić robota siłą. Daniel był o wiele silniejszy. Zdołałby Unieruchomić Baleya, nie robiąc mu krzywdy.

Baley był uzbrojony, mógł zagrozić Danielowi blasterem, ale nic osiągnąłby niczego, poza chwilowym poczuciem przewagi. Nie było sensu grozić robotowi. Troska o siebie była Trzecim dopiero Prawem.

Brzmiało ono: „Robot powinien dbać o własne bezpieczeństwo, dopóki nie jest to sprzeczne z Pierwszym i Drugim Prawem".

Daniel pozwoliłby się zniszczyć ,gdyby alternatywą miało być złamanie Pierwszego Prawa a Baley absolutnie nie życzył sobie zniszczenia Daniela.

Chciał jednak wyjrzeć z pojazdu. Czuł, że musi to zrobić. Nie mógł zaakceptować stosunków typu niańka — dziecko.

Przez chwilę myślał o wymierzaniu blastera we własną głowę ,,Otwórz dach albo się zestrzelę". Wiedział jednak, że tego nie zrobi.

Byłoby to niegodne i nie odpowiadało mu w najmniejszym stopniu.

Odezwał się z rezygnacją — Czy mógłbyś spytać kierowcę, jak daleko jesteśmy od celu?

— Oczywiście, partnerze Eliaszu.

Daniel pochylił się i pchnął dźwigienkę. W tej samej chwili Baley pochylił się również, wołanie: — Kierowco! Opuść dach pojazdu!

Ludzka dłoń przełożyła dźwignię i pozostała na niej. Baley patrzył z zapartym tchem na Daniela.

Daniel przez chwile nie poruszał się, jakby poplątały mu się jego pozytronowe myśli, usiłując dostosować się do nowej sytuacji. Po chwili jego dłoń poruszyła się.

Baley przewidział ten ruch. Daniel mógł usunąć jego dłoń z przełącznika (nie czyniąc mu krzywdy) i zmienić polecenia.

Odezwał się — Nie pozwolę ci usunąć mojej ręki. Ostrzegam, ze będziesz musiał wyłamać mi palce.

Nie była to prawda, Daniel jednak wstrzymał rękę. Pozytronowy mózg musiał porównać prawdopodobieństwa zdarzeń, co Wymagało chwili zastanowienia.

— Już za późno — powiedział Baley.

Wygrał. Dach cofał się, a do odkrytego wnętrza pojazdu wpadało ostre białe światło słońca Solarii. Baley chciał zamknąć oczy, w odruchu przerażenia, przemógł się jednak. Stał w ulewie błękitu i zieleni, w niewiarygodnych ilościach tych barw. Czuł na twarzy prąd powietrza. Nie mógł rozróżnić szczegółów. Przemknęło obok coś poruszającego się. Mógł to być robot, zwierzę, jakiś, przedmiot uniesiony podmuchem — nie umiał tego powiedzieć. Pojazd minął to coś zbyt Szybko.

Błękit, zieleń, powietrze, dźwięki, ruch — a ponad wszystko spadające z góry wściekłe, bezlitosne, przerażające białe światło, bijące z zawieszonej w niebie kuli.

Na ułamek chwili odchylił głowę i spojrzał wprost w słońce Solarii. Patrzył w nie, nieprzesłonięte rozszczepiającym światło szkłem werand na górnych poziomach Miasta. Spoglądał na nagie słońce W tym momencie poczuł na ramionach dłonie Daniela. Poczuł, ze myśli mu się plączą. Musiał patrzeć. Musiał zobaczyć wszystko, co zdoła zobaczyć. Daniel zaś musiał go przed tym powstrzymać.

Robot nie śmiałby użyć gwałtu wobec człowieka a jednak Baley czuł, że dłonie tamtego zmuszają go, by usiadł.

Uniósł ramiona, by odepchnąć tamte bezcielesne dłonie i stracił przytomność.

3. Nazwisko ofiary

Baley znów był w zamkniętym wnętrzu. Przed oczami falowała mu twarz Daniela pokryta czarnymi plamami, które gdy przymykał oczy stawały się czerwone.

— Co się stało? — spytał.

— Przykro mi, że cię nie ostrzegłem — odpowiedział Danie!.

Patrzenie w słońce szkodzi ludzkim oczom ale mam nadzieję, że tak krótkie naświetlenie nie sprawiło większych szkód. Musiałem ściągnąć cię w dół, kiedy podniosłeś głowę, a ty straciłeś przytomność.

Baley skrzywił się. Pytanie, czy zemdlał z nadmiaru wrażeń (albo ze strachu), czy też został ogłuszony, pozostawało bez odpowiedzi.

Nic go nie bolało.

Powstrzymał się od zapytania wprost. Wolał tego nie wyjaśniać — Nie było tak źle — powiedział.

— Z twego zachowania, Eliaszu, wnosiłbym, że nie było ci przyjemnie.

— Bynajmniej! — upierał się Baley. Plamy przed oczami bladły — Żałuję, że tak mało widziałem, za szybko jechaliśmy. Czy mijaliśmy robota?

— Mijaliśmy wiele robotów. Jedziemy przez sady posiadłości Kinbalda.

— Muszę spróbować jeszcze raz — oświadczył Baley.

— Nie wolno ci. Nie w mojej obecności — odparł Daniel. Nawiasem mówiąc, spełniłem twoje życzenie.

— Moje życzenie?

— Jak pamiętasz, Eliaszu, przed opuszczeniem dachu poleciłeś mi spytać, jak daleko jeszcze. Pozostało dziesięć mil. Dojedziemy za sześć minut.

Baley miał ochotę spytać Daniela, czy się nie gniewa, że został przechytrzony, by zobaczyć, jak zmieniają się doskonałe rysy twarzy tamtego, ale się powstrzymał. Daniel odpowiedziałby, że nie, nie zdradzając urazy ani irytacji. Pozostałby jak zawsze chłodny, poważny i niewzruszony.

— W każdym razie, Danielu, muszę do tego przywyknąć — powiedział.

Robot spojrzał na partnera — O czym mówisz?

— Na Jozafata! O tym — o świecie na zewnątrz, o planecie!

— Nie będziesz musiał wyglądać na zewnątrz — odpowiedział Daniel, jakby uważał sprawę za zakończoną, — Zwalniamy, Eliaszu.

Chyba dojechaliśmy. Trzeba będzie poczekać na połączenie rękawem z mieszkaniem, które będzie naszą bazą operacyjną.

— Rękaw jest niepotrzebny, Danielu. Jeśli mam pracować na

zewnątrz, im, prędzej będę to miał za sobą, tym lepiej.

— Nie ma powodu, żebyś miał pracować na zewnątrz, Eliaszu…, Robot chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Baley uciszył go stanowczym ruchem ręki.

Nie miał ochoty być pocieszanym, uspakajanym i zapewnianym, że wszystko będzie dobrze i że będzie pod dobrą opieką. Chciał tylko zapewnienia, że będzie mógł troszczyć się sam o siebie i wypełniać swe zadanie.

Trudno było znieść widok otwartej przestrzeni. Mogłoby sięokazać, że w krytycznej chwili zabraknie mu odwagi, by stawić temu czoła, nawet za cenę utraty reputacji a może i bezpieczeństwa Ziemi.

Na tę myśl twarz jego przybrała zacięty wyraz. Jeszcze zmierzy się z powietrzem, słońcem i przestrzenią.

Eliasz Baley czuł się, jak mieszkaniec małego Miasta, dajmy n to Helsinek, odwiedzający Nowy Jork i z lękiem liczący jego poziomy. Przypuszczał, że „mieszkanie" to coś w rodzaju apartamentu było jednak inaczej. Przechodzeniu z pokoju do pokoju nie było końca. Szczelnie zasłonięte panoramiczne okna nie przepuszczały ani odrobiny światła dziennego. Pokoje, do których wchodzili, rozświetlały się w ciszy i równie cicho gasły po ich wyjściu.

— Ile tych pokoi! — dziwił się Baley — To istne małe masto, Danielu.

— Możnaby tak pomyśleć, Eliaszu — zgodził się ze spokojem Daniel.

Wszystko tu wyglądało dziwnie. Po co było upychać w jednym domu z nim aż tylu kosmitów?

— Ilu będę miał współmieszkańców? — spytał.

— Będę, oczywiście, ja i roboty.

— Powinienem powiedzieć „Ja i inne roboty" — pomyślał Baley.

Zauważył, że Daniel gra rolę człowieka nawet wtedy, gdy są sami.

Ta myśl zaraz ustąpiła innej — Roboty. — Ilu będzie ludzi?!

— Nie będzie ludzi, Eliaszu.

Weszli właśnie do pokoju wypełnionego od podłogi do sufitu książkofilmami. Trzy czytniki z dużymi dwudziestoczterocalowymi ekranami stały w trzech kątach pokoju a ekran przestrzenny zajmował czwarty.

Baley rozglądał się z irytacją — Czy wyrzucono wszystkich mieszkańców, żebym mógł swobodnie obijać się w tym mauzoleum?

— To mieszkanie jest przeznaczone dla ciebie. Na Solarii zwyczajowo mieszka się samotnie.

— I wszyscy mają takie mieszkania?

— Wszyscy.

— Po co im tyle pokoi?

— Każdy pokój ma inne przeznaczenie. To jest biblioteka. Jest też sala koncertowa, sala gimnastyczna, kuchnia, jadalnia, piekarnia, magazyn sprzętu, warsztaty i miejsca postoju robotów, dwie sypialnie.

— Wystarczy! Skąd to wiesz?

— To część zestawu informacji, który mi przekazano na Aurorze — odparł bez namysłu Daniel.

— Na Jozafata! A kto się tym wszystkim zajmuje? — Zatoczył ręką koło.

— Domowe roboty, przydzielone do twojej osoby. Będą dbały o twoją wygodę.

— To wszystko nie jest mi potrzebne — powiedział Baley. Miał ochotę usiąść, nie iść dalej. Miał dość oglądania pokoi.

— Możemy przebywać w jednym pokoju, jeśli tego sobie życzysz, Eliaszu. Liczono się z tą możliwością, niemniej jednak zdecydowano się zbudować ten dom, zgodnie ze zwyczajem Solarii.

— Zbudować?! — Baley wytrzeszczył oczy. — Chcesz powiedzieć, że zbudowano to dla mnie? Specjalnie dla mnie?

— Całkowita robotyzacja…

— Tak, wiem, co chcesz powiedzieć! A co z tym zrobią, kiedy zamkniemy sprawę?

— Rozbiorą, jak sądzię.

Baley zacisnął wargi. Oczywiście rozbiorą. Wznosić tę ogromną budowlę na użytek jednego Ziemianina a potem zlikwidować wszystko, czego dotykał. Wyjałowić ziemię, na której stał, powietrze którym oddychał. Pozornie silni kosmici mają dziecinne lęki — Daniel wydawał się czytać w jego myślach. Powiedział — może ci się wydaje Eliaszu, że zniszczą dom by uniknąć zarazy. Nie myśl tak. Kosmici aż tak bardzo nie boją się chorób. Budowa tego domu nie kosztowała ich wiele, kłopot z rozbiórką też będzie niewielki. Chodzi jednak o to, że musiała to być budowla tymczasowa. Stoi w posiadłości Hannisa Gruera a w każdej posiadłości wolno wznosić tylko jeden dom — rezydencje właściciela. Ten dom zbudowano ze specjalnym pozwoleniem i w określonym celu. Będziemy tu mieszkać do czasu wypełnienia naszej misji.

— Kto to jest Hannis Gruer? — spytał Baley, — Szef służby bezpieczeństwa Solarii. Powinniśmy się z nim zobaczyć.

— Powinniśmy? Na Jozafata, Danielu, czy wreszcie czegoś się dowiem? Jak dotąd poruszam się w próżni i wcale mi się to nie podoba. Równie dobrze mógłbym wracać na ziemię. Mógłbym.

Poczuł że wpada w złość. Opanował się. Daniel który czekał spokojnie aż będzie mógł Nabrać głos powiedział — Przykro mi, że cię to zdenerwowało. Wygląda na to, że mam więcej wiadomości o Solarii niż ty, ale moja wiedza o morderstwie jest równie ograniczona.

Dyrektor Gruer powie nam wszystko, co trzeba. Tak to

zorganizował rząd Solarii.

— Dobrze, jedźmy do tego Gruera. Czy to daleko? — Baley skrzywił się na myśl o podróży i poczuł znajomy ucisk w piersi.

— Podróż nie będzie konieczna Eliaszu. Dyrektor Gruer oczekuje nas w sali spotkań.

— Jest i sala spotkań! — mruknął Baley a głośno spytał — czy już nas oczekuje?

— Tak sądzę.

— Chodźmy więc, Danielu.

Hannis Gruer był łysy i to zupełnie. Nie miał na głowie ani jednego włoska. Baley przełknął ślinę i starał się niezbyt grzecznie, ale bez powodzenia, odwracać wzrok od rozmówcy. Ziemskie wyobrażenia o Kosmitach były zupełnie inne. Kosmici, niekwestionowani władcy Galaktyki, byli wysocy, opaleni, ciemnowłosi, przystojni, barczyści i arystokratyczni. Krótko mówiąc wyglądali jak R. Daniel Olivaw, z tym, że byli w dodatku ludźmi.

Kosmici, których przysłano na Ziemię najczęściej tak właśnie wyglądali, zapewne specjalnie ich dobierano.

Oto jednak był Kosmita, który z wyglądu mógł być Ziemianinem. Był łysy. Miał krzywy nos. Nieznacznie skrzywiony, ale u Kosmity nawet drobna nieregularność rzucała się w oczy.

— Dzień dobry panu — powiedział Baley. — Przepraszam, że kazaliśmy na siebie czekać.

Grzeczność nie zaszkodzi. Mieli przecież współpracować.

Miał ochotę przejść przez pokój (śmiesznie duży i uścisnąć rękę tamtego, powstrzymał się jednak i to bez wysiłku. Kosmita z pewnością nie ucieszyłby się z takiego powitania: miałby dłoń pokrytą ziemskimi bakteriami.

Gruer siedział z poważną miną, tak daleko od Baleya, jak tylko mógł. Ręce ukrył w długich rękawach a w nozdrzach miał pewnie filtry, chociaż Baley nie dostrzegał ich.

Wydawało mu się nawet, że Gruer rzucił na Daniela pełne dezaprobaty spojrzenie jakby chciał powiedzieć, że trzeba mieć źle w głowie, by stawać przy Ziemianinie.

Oznaczałoby to, że Gruer nie był wtajemniczony. Nagle Baley spostrzegł, że Daniel stoi w pewnej od niego odległości, dalej niż zwykle.

Ależ tak! Gdyby stał zbyt blisko, Gruer nabrałby podejrzeń. Daniel chciał, by go wzięto za człowieka.

Gruer przemówił przyjaznym tonem, ˆwracając wzrok, jakby mimowolnie, ku Danielowi — Nie czekałem długo. Witam panów na Solarii. Czy wygodnie panom?

— Najzupełniej wygodnie, dziękuję — odpowiedział Baley. Przez chwilę zastanawiał się, czy etykieta nie wymaga by Daniel jako

Kosmita mówił coś w imieniu ich obu, ale odrzucił tę możliwość.

Na Jozafata! To jego poproszono o prowadzenie śledztwa. Daniela przydzielono mu do pomocy. W tym stanie rzeczy Baley nie mógł grać drugorzędnej roli, zwłaszcza przy robocie, choćby to nawet był taki robot jak Daniel.

Daniel nie zabiegał jednak o pierwszeństwo, a Gruer nie okazał zdziwienia ani niezadowolenia, wrócił się teraz do Baleya.

— Nie powiedziano panu dotąd niczego, agencie, o przestępstwie, w sprawie którego proszono pana o przybycie. Musiało to chyba pana dziwić? — Odrzucił rękawy, splatając palce rąk — Nie usiądą panowie?

Gdy usiedli, Baley odpowiedział — Istotnie. Byliśmy zdziwieni — Zauważył, że Gruer nie nosi rękawiczek.

Gruer kontynuował — Było to celowe, agencie. Chcieliśmy, by przybył pan tu ze świeżą wrażliwością. Udostępnimy panu kompletne sprawozdanie z badania szczegółów przestępstwa. Obawiam się, że przy pańskim doświadczeniu uzna pan wyniki naszego dochodzenia za śmiesznie ubogie. Na Solarii nie ma policji.

— Nie ma w ogóle policji? — zdumiał się Baley.

Gruer uśmiechnął się i wzruszył ramionami — widzi pan, tu nie ma przestępstw. Ludność jest nieliczna i rozproszona. Nie ma okazji do popełnienia przestępstw, nie ma więc potrzeby utrzymywania policji.

— Rozumiem. Popełniono jednak przestępstwo.

— To prawda, ale jest to pierwsze od dwóch stuleci przestępstwo tego rodzaju.

— To pech, że musicie zacząć od morderstwa.

— Tak, to pech. Tym większy, że ofiarą padł człowiek nie do zastąpienia. Niepowetowana strata. Przy tym było to wyjątkowo brutalne morderstwo.

— Przypuszczam, że osoba mordercy nie jest znana — powiedział Baley (gdyby tak nie było, po co ściągaliby ziemskiego detektywa?) Gruer miał dziwny wyraz twarzy. Spojrzał na Daniela, który siedział bez ruchu, przysłuchując się. Baley wiedział, że Daniel potrafi odtworzyć każdą usłyszaną rozmowę, obojętnie jak długo by trwała. Był maszyną rejestrującą, która chodziła i mówiła jak człowiek.

Czy Gruer o tym wiedział?

— Nie mogę powiedzieć, że morderca jest nieznany. Mogła to zrobić w istocie tylko jedna osoba.

— Chce pan zapewne powiedzieć, że tylko jedna osoba może być o to podejrzana?

Baley nie przepadał za mistrzami dedukcji, którzy nie ruszając się z fotela i używając wyłącznie szarych komórek osiągali całkowitą pewność.

Gruer pokręcił głową — W grę wchodzi tylko jedna osoba. Inne możliwości są wykluczone.

— Wykluczone?

— Tak właśnie jest, zapewniam pana.

— Więc nie ma problemy — Przeciwnie. Jest problem. Ta jedna osoba również nie mogła tego zrobić.

— Czyli nikt nie mógł tego zrobić — stwierdził chłodno Baley — A jednak to się stało. Rikain Delmarre nie żyje.

Nareszcie coś! — pomyślał Baley — Na Jozafata! Poznałem nazwisko ofiary.

Wyciągnął notes i z namaszczeniem! zaczai notować, częściowo po to, by ukryć że obok siedzi mechanizm rejestrujący.

— Jak się pisze to nazwisko?

Gruer przeliterował.

— Zawód?

— Fetolog.

Baley zanotował to. — Kto mógłby opisać mi okoliczności przestępstwa. Wolałbym relacje z możliwie pierwszej ręki.

Gruer uśmiechnął się posępnie, jego spojrzenie pobiegło ku Danielowi i wróciło do Baleya — Jego żona, agencie.

— Jego żona?

— Tak. Nazywa się Gladia. — Gruer wymówił to imię rozdzielając je na trzy sylaby.

— Czy mają dzieci? — Baley nie słysząc odpowiedzi podniósł wzrok znad notatnika — Czy mają dzieci?

Gruer zrobił kwaśną minę. Wyglądał, jakby źle się czuł. Wreszcie powiedział — Prawdę mówiąc, nie wiem.

— Jak to?

— W każdym razie — mówił szybko Gruer sądzę, ze powinien pan odłożyć działanie do jutra. Wiem, proszę pana, że ma pan za sobą ciężką podróż, że jest pan zmęczony i zapewne głodny.

Baley chciał zaprzeczyć, uświadomił sobie jednak, że perspektywa posiłku wydaje mu się bardzo pociągająca. Spytał — Czy nie zjadłby pan z nami? — Nie przypuszczał jednak by Gruer jako Kosmita przyjął zaproszenie (A jednak zdobył się na „proszę pana!" zamiast „agencie!", to już było coś).

— Żałuję, ale wzywają mnie obowiązki — odpowiedział, zgodnie z oczekiwaniem Gruer — Musze panów opuścić.

Baley wstał. Grzeczność wymagała, by odprowadził Gruera do drzwi. Nie było mu jednak pilno znaleźć się na progu otwartej przestrzeni a przy tym me wiedział gdzie są drzwi. Stał tak, nie wiedząc co zrobić.

— Pańskie roboty wiedza, jak mnie znaleźć gdyby chciał pan ze mną mówić. Do zobaczenia! — Gruer z uśmiechem skinął głową I

zniknął.

Baleyowi wydarł się okrzyk.

Nie było Gruera, ani krzesła na którym siedział. Błyskawicznej przemianie uległa też ściana za plecami Gruera i podłoga pod jego stopami.

Daniel odezwał się — Nie był tu we własnej osobie. To był trójwymiarowy obraz. Sądziłem, że wiesz. Macie takie rzeczy na Ziemi.

— Nie takie, jak to — wymamrotał Baley.

Trójwymiarowe obrazy na Ziemi zamykały się w sześciennym polu siłowym, które połyskiwało w tle a sam obraz lekko migotał Na Ziemi nie można było pomylić obrazu z rzeczywistością. Tu natomiast…

Nic dziwnego, że Gruer nie nosił rękawiczek. Nie były mu taż potrzebne filtry w nozdrzach.

— Czy chciałbyś teraz coś zjeść, Eliaszu? — spytał Daniel.

Obiad był nowym doświadczeniem. Pojawiły się roboty. Jeden nakrył do stołu. Drugi przyniósł potrawy.

— Ile ich jest w tym domu, Danielu?

— Około pięćdziesięciu, Eliaszu.

— Czy będą tak stać dopóki nie skończymy obiadu? — Jeden z robotów stanął w kącie a jego połyskująca twarz z żarzącymi się oczami zwrócona była ku Baleyowi.

— To jest w zwyczaju, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jego usług — wyjaśnił Daniel. — Jeśli sobie tego nie życzysz, każ mu po prostu odejść.

— Baley wzruszył ramionami — Niech sobie stoi.

W normalnych okolicznościach uznałby jedzenie za wyśmienite, teraz jednak jadł machinalnie. Mimochodem zauważył, że Daniel również je równie beznamiętnie. Później będzie musiał, oczywiście opróżnić worek w którym magazynował „zjedzoną” żywność. Daniel wciąż się maskował.

— Czy na zewnątrz jest już noc? — spytał Baley.

— Tak, już noc — potwierdził Daniel.

Baley z posępną miną przyglądał się łóżku. Było zbyt duże. Cała sypialnia była zbyt duża. Nie było pledów do przykrycia. Prześcieradła nie dawały poczucia izolacji.

Miał już za sobą doświadczenie z kąpielą w kabinie natryskowej, do której wchodziło się z sypialni — szczyt luksusu a jednak czemuś wydawało mu się to niezdrowe.

— Jak zgasić światło? — spytał. Oparcie łóżka jarzyło się — łagodnym blaskiem, zapewne dla wygody przy czytaniu, nie miał jednak nastroju.

— Zgaśnie, kiedy ułożysz się do snu.

— Roboty czuwają, nieprawdaż?

— To ich zawód.

— Na Jozafata!, czy Solarianie robią coś własnoręcznie? mruknął Baley — Ciekaw jestem dlaczego żaden robot nie wyszorował mi pleców pod natryskiem?

— Zrobiłby to, gdybyś zażądał — odpowiedział z powagą Daniel.

A co do Solarian, robią, na co mają ochotę. Roboty nie robią niczego, na co im nie pozwolono, z wyjątkiem oczywiście czynności, które muszą być wykonane dla dobra człowieka.

— Aha. Dobranoc Danielu.

— Będę w drugiej sypialni, Eliaszu. Gdybyś w nocy czegoś potrzebował…

— Wiem, w stoliku jest płytka kontaktowa. Wystarczy jej dotknąć. Ja też się zjawię.

Sen odbiegł Baleya. Wyobrażał sobie dom, w którym przebywał, ryzykownie balansujący na samej powierzchni planety i pustkę która niby jakiś potwór czyhała na zewnątrz, Jego mieszkanie na Ziemi — jego wygodne ciasne mieszkanie mieściło się pośród wielu innych. Dziesiątki poziomów i tysiące ludzi dzieliły go od powierzchni.

Mówił sobie, że nawet na Ziemi ludzie żyją na najwyższym poziomie, w bezpośredniej bliskości otwartej przestrzeni. Pewnie! Dlatego też czynsze były tam niskie.

Potem pomyślał o Jessie oddalonej o tysiące lat świetlnych. Zapragnął wyskoczyć z łóżka, zebrać się i iść do niej. Myśli mu się mąciły. Gdyby tylko był jakiś tunel, miły, bezpieczny tunel wydrążony w bezpiecznej solidnej skale miedzy Solaria a Ziemią, mógłby nim iść i iść…

Mógłby wrócić na Ziemię, do Jessie, do wygód i bezpieczeństwa.

Bezpieczeństwa.

Baley otworzył oczy. Mięśnie ramion napięły się na łokciu, nie zdając sobie z tego sprawy.

Bezpieczeństwo! Ten człowiek, Hannis Gruer, był, według tego, co mówił Daniel, szefem służby bezpieczeństwa Solarii. Co to oznaczało? Jeśli to samo, co na Ziemi, a tak z pewnością musiało być, Gruer odpowiadał za ochroną Solarii przed inwazją z zewnątrz i działalnością wywrotową.

Dlaczego zainteresował go przypadek morderstwa?

Czy dlatego, że na Solarii nie było policji a Departament Bezpieczeństwa najbardziej był do niej podobny?

Wyglądało na to, że Gruer dobrze się czuł przy Baley, były jednak ukradkowe spojrzenia, rzucane na Daniela.

Czy Gruer wątpił w intencje Daniela?

Baleyowi kazano mieć oczy otwarte i było bardzo prawdopodobne, że Daniel takie same instrukcje otrzymał.

Podejrzenie o szpiegostwo byłoby rzeczą naturalną. Na tym polegał zawód Gruera. Nie musiał przy tym nazbyt obawiać się Baleya, Ziemianina, przedstawiciela najmniej znaczącego świata Galaktyki.

Daniel jednak pochodził z Aurory, najstarszego, największego i najpotężniejszego z Zaziemskich Światów. To zmieniało postać rzeczy.

Baley przypomniał sobie, że Gruer nie odezwał się ani słowem do Daniela.

Dlaczego przy tym Daniel tak starannie udaje człowieka? Baley tłumaczył to sobie poprzednio próżnością jego projektantów z Aurory, teraz jednak wydawało się to zbyt prostym wyjaśnieniem. Musiały istnieć poważniejsze powody.

Człowiek mógł się spodziewać uprzejmego traktowania i uznania nietykalności dyplomatycznej, robot nie mógł. Dlaczego jednak Aurora nie przysłała po prostu człowieka? Odpowiedź nasuwała się natychmiast. Prawdziwy Kosmita z Aurory nie byłby zdolny przebywać zbyt długo i zbyt blisko z Ziemianinem.

Jeżeli zaś wszystko to było prawdą, czemu to pojedyncze morderstwo uznawano za tak ważne, że Solaria musiała pozwolić na przyjazd Ziemianina i mieszkańca Aurory?

Baley czuj się jak w pułapce.

Wpędziła go w tę solariańską pułapkę konieczność — Ziemia była zagrożona musiał wypełniać obowiązek. Trudno mu było znieść nowe otoczenie, ciążyła odpowiedzialność. Na dodatek został wplątany w jakiś konflikt między Kosmitami, którego natury nie rozumiał.

4. Oglądanie kobiety

Zasnął w końcu. Nie pamiętał chwili, w której zapadł w sen. W jakiś czas potem myśli jego zaczęły błądzić, oparcie łóżka zajaśniało a chłodne światło dnia zalało sufit Spojrzał na zegarek.

Minęło wiele godzin. Prowadzące dom roboty uznały widocznie, że pora wstawać i podjęły stosowne działania.

Zastanawiał się, czy obudzono też Daniela, ale zaraz uświadomił sobie, że ‘Daniel nie sypia. Czy jednak udaje, że śpi, czy się rozbiera, wkłada piżamą?

— Dzień dobry, partnerze Eliaszu — Daniel wszedł jak na — zawołanie.

Robot był kompletnie ubrany, twarz miał spokojną. — Czy dobrze spałeś? — spytał.

— Tak, odpowiedział krótko Baley — a ty?

Wstał z łóżka i podreptał do łazienki. Zawołał — Gdyby robot przyszedł mnie golić, odeślij go! Nawet kiedy ich nie widzę, działają mi na nerwy.

Przy goleniu przyglądał się swej twarzy w lustrze, dziwiąc się trochę, że wygląda zupełnie tak samo, jak na Ziemi. Gdybyż ten obraz w lustrze był drugim Ziemianinem, u którego mógłby zasięgnąć rady! Gdybyż mógł pogodzić się z tym, czego się już zdążył dowiedzieć, choć niewiele tego było.

— Za mało, proszę więcej! — mruknął do lustra.

Wyszedł wycierając twarz. Wciągnął spodnie na świeżą bieliznę (roboty pomyślały o wszystkim, niech je diabli).

— Czy mógłbyś mi odpowiedzieć na parę pytań, Danielu?

— Wiesz, Eliaszu, ze robię to zgodnie z mą najlepszą wiedzą.

— Albo zgodnie z otrzymanymi instrukcjami — pomyślał Baley.

Spytał — Dlaczego na Solarii żyje tylko dwadzieścia tysięcy ludzi?

— Tak po prostu jest — odpowiedział Daniel. — To stan faktyczny, wynik obliczeń.

— Zgoda, omijasz jednak sedno sprawy. Skąd więc wzięło się te dwadzieścia tysięcy? Mówiłeś, że Solarianie uważają tę liczbę za optymalną. Dlaczego tak uważają?

— Taki mają sposób życia.

— Masz na myśli to, że kontrolują liczbę urodzin?

— Tak.

— I pozwalają by planeta była niezaludniona? — Baley uczepił się tego punktu, bo nie bardzo miał o co pytać. Liczba ludności należała do nielicznych udostępnionych mu danych.

— Planeta nie jest niezaludniona — odpowiedział Daniel. Jest podzielona na posiadłości, z których każdą rządzi Solarianin.

— Czy to znaczy, że każdy żyje w swojej posiadłości? Dwadzieścia tysięcy posiadłości, a w każdej Solarianin?

— Posiadłości jest nieco mniej. Wdowy dziedziczą je po zmarłych mężach.

— I nie ma żadnych Miast? — Dreszcz przeszedł Baleya.

— Żadnych, Eliaszu. Żyją w rozproszeniu i nigdy się ze sobą nie widują, chyba tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

— Społeczeństwo pustelników?

— Tylko w pewnym sensie.

— Jak to?

— Wczoraj dyrektor Gruer odwiedził cię w stereowizji. W ten właśnie a nie inny sposób odwiedzają się Solarianie.

Baley utkwił wzrok w Danielu — Czy to dotyczy i nas? Spodziewają się, że tak będziemy postępować?

— Zgodnie ze zwyczajem tego świata.

— Jak wiec mam prowadzić śledztwo? A jeśli zechcę z kimś się widzieć?

— Z tego domu, Eliaszu, możesz połączyć się przez stereowizję i każdym mieszkańcem planety. Nie będzie z tym problemów. Oszczędzi ci to kłopotu z wychodzeniem z domu. Dlatego właśnie mówiłem, kiedy tu przybyliśmy ,że nie będziesz musiał przyzwyczajać się do otwartej przestrzeni. Dobrze się składa, bo każdy inny układ byłby dla ciebie gorszy.

— Sam osądzę, co będzie dla mnie gorsze — oświadczył Baley. Muszę przede wszystkim pomówić z tą Gladią, żoną zamordowanego. Jeśli ten system stereo nie wystarczy, złożę jej wizytę osobiście. To moja nieodwołalna decyzja.

— Zobaczymy, co będzie najlepsze i możliwe do wykonania odpowiedział dyplomatycznie Daniel — a teraz każę podać śniadanie — odwrócił się by wyjść.

Baley patrzył za nim z rozbawieniem. Daniel Olivaw odgrywał szefa. Może miał instrukcje, by nie pozwolić Baleyowi dowiedzieć się za wiele, ale to Baley miał w rękawie asa atutowego.

Tamten był w końcu tylko R. Danielem. Wystarczyłoby powiedzieć Gruerowi, czy komukolwiek innemu, że Daniel nie jest człowiekiem a robotem.

Z drugiej strony to, że Dan Lei udawał człowieka mogło być użyteczne. Nie musi zaraz zagrywać asem. Czasem lepiej mieć go w ręku.

— Patrz i czekaj! — powiedział sobie i poszedł na śniadanie za Danielem.

— I co z naszą stereowizytą? — spytał Baley.

— Załatwione, Eliaszu — odpowiedział Daniel, dotykając jednej z płytek kontaktowych. Natychmiast pojawił się robot.

Baley zastanawiał się ,skąd się one biorą. Gdy wędrowało się labiryntem niezamieszkałych pomieszczeń tego domu, nie spotykało się żadnych robotów. Czy usuwały się z drogi przy zbliżaniu się człowieka? A może ostrzegały się wzajemnie? W każdym razie, na każde wezwanie, któryś z nich pojawiał się bezzwłocznie.

Baley przyjrzał się nowoprzybyłemu robotowi. Na jego gładkiej matowo-szarej powierzchni tylko szachownica na prawym ramieniu była kolorowa. Białe i żółte kwadraty (a raczej srebrne i złote, bo metalowe) rozmieszczone były w jakimś skomplikowanym porządku.

— Zaprowadź nas do sali zebrań — polecił Daniel.

Robot skłonił się i bez słowa zawrócił.

— Chwileczkę, chłopcze! Jak ci na imię — zapytał Baley.

Robot zwracając się do Baleya, odpowiedział natychmiast. — Nie mam imienia, panie. Mój numer seryjny — dotknął metalowym paltem płytki na ramieniu — jest ACX-2745.

Daniel i Baley przeszli do dużej sali,, w której dzień przedtem Siedział na swym krześle Gruer. Czekał tam na nich z mechaniczną cierpliwością kolejny robot. Pierwszy ukłonił się i wyszedł.

Baley miał okazję, by porównać naramienne płytki obu robotów, gdy pierwszy z nich pochylał się w ukłonie. Srebrno-złoty wzór był odmienny. Szachownica liczyła trzydzieści sześć pól. Liczba możliwych układów wynosiła więc 236 czyli siedemdziesiąt miliardów.

Więcej, niż trzeba.

— Najwyraźniej każdy robot wykonuje tylko jedną czynność.

Jeden nas tu przyprowadził, drugi obsługuje aparaturę.

— Specjalizacja robotów jest na Solarii daleko posunięta, Eliaszu — Nic dziwnego, jeśli ich tyle jest. — Baley spojrzał na drugiego robota. Niczym, oprócz płytki naramiennej nie różnił się od pierwszego — Twój numer seryjny?

— ACC-1129, panie.

— Będę ci mówił „chłopcze". Chce rozmawiać z panią Gladią Delmarre, wdową po zmarłym Rikainie Delmarre — czy mamy jej adres, Danielu?

— Nie sądzę, żeby dodatkowe informacje były potrzebne — odpowiedział uprzejmie Daniel. — Jeśli wolno mi zapytać robota…

— Zostaw to mnie — rzekł Baley — Czy wiesz, chłopcze, jak się skontaktować z tą damą? — Tak, panie. Znam kody łączności wszystkich państwa. W tym oświadczeniu nie było dumy. Było to proste stwierdzenie faktu, jak na przykład: .„Jestem z metalu, panie".

— To nic niezwykłego, Eliaszu. Wystarczy wprowadzić do pamięci dziesięć tysięcy numerów, a to niewielka liczba.

Baley skinął głową — A jeśli przypadkiem istnieje więcej niż jedna Gladia Delmarre? Może zajść pomyłka.

— Co pan rozkaże? — Robot, zadawszy to pytanie stał w bezruchu.

— Ten robot nie zrozumiał chyba twego pytania — zauważył Daniel — Sądzę, że na Solarii nazwiska się nie powtarzają. Rejestruje się je przy narodzinach i nie można ich przybrać, dopóki są używane.

— W porządku — zgodził się Baley — Z każdą minutą uczymy się czegoś nowego. A teraz chłopcze, wytłumacz mi, jak działa ten sprzęt, podaj mi kod łączności, czy jak to tam nazywasz i zmykaj.

Robot przyswajał to sobie przez chwilę, zanim odezwał się — Czy życzy pan sobie nawiązać łączność osobiście, proszę pana?

— Zgadza się.

Daniel dotknął rękawa Baleya — Pozwól Eliaszu…

— O co znowu chodzi?

— Myślę, że robotowi łatwiej uda się nawiązać łączność. To jego specjalność.

— Nie wątpię, ±e zrobiłby to lepiej. Ja mogę coś poplątać — Baley zmierzył spojrzeniem Daniela — mimo to wolę nawiązać łączność osobiście. Wydałem polecenie, czy nie?

— Wydałeś, Eliaszu. Twoje polecenie zgodne z Pierwszym Prawem będą wykonywane. Jeśli jednak pozwolisz chciałbym ci udzielić stosownej informacji o robotach Solariańskich. Są one daleko bardziej wyspecjalizowane niż roboty innych światów. Chociaż ich psychika pozwala na wykonywanie wielu różnych czynności, są one ukierunkowane na jeden ich rodzaj. Wykonywanie czynności nie związanych z ich specjalnością powoduje powstawanie silnych napięć związanych z zastosowaniem Trzech Praw. Z kolei nie wykonywanie obowiązków do których są powołane, wprowadza również w użycie Trzy Prawa.

— Mój bezpośredni rozkaz uruchamia Drugie Prawo — nieprawdaż?

— To prawda. Powstające napięcie jest jednak „nieprzyjemne” dla robota. Solarianin prawie nigdy nie wtrąca się do stałych czynności robotów. Nie interesuje go to i nie odczuwa takiej potrzeby.

— Czy próbujesz mi wmówić, Danielu, że uczucia robota zostaną zranione gdy człowiek wykona jego pracę?

— Wiesz Eliaszu, ze ból w ludzkim rozumieniu tego słowa nie stosuje się do reakcji robotów.

— A więc o co chodzi?

— Wrażenie, którego doznaje robot jest jednak dla niego równie dezorganizujące jak ból dla człowieka, o ile mogę sądzić.

— Ale ja nie jestem Solarianinem. Jestem Ziemianinem. Nie znoszę, gdy robot robi to, co chcę zrobić sam.

— Weź jednak pod uwagę, że takie potraktowanie robota mogą nasi gospodarze uznać za niegrzeczne. W społeczeństwie takim, jak to

muszą istnieć mniej lub bardziej sztywne zasady postępowania z robotami. Obrażanie gospodarzy nie ułatwi nam zadania.

— W porządku — powiedział Baley — Niech robot robi swoje.

Wycofał się. Był to pouczający incydent, pouczający jako przykład jak bezwzględne może być zrobotyzowane społeczeństwo. Skoro już powołano do życia roboty, nie tak łatwo było się ich pozbyć.

Człowiek który chciałby obywać się bez nich choćby tylko przez jakiś czas, przekonałby się, że to niemożliwe.

Zmrużywszy oczy przyglądał się jak robot zbliża się do ściany.

Ziemscy socjologowie mogą sobie wyciągać wnioski z tego, co zaszło przed chwilą. On sam ma już zdanie na ten temat.

Połowa ściany przesunęła się w bok. Ukazała się tablica kontrolna, której nie powstydziłaby się sektorowa siłownia w ziemskim Mieście.

Baley zatęsknił do fajki. Pouczono go, że w świecie niepalących palenie byłoby niewybaczalnym naruszeniem dobrych obyczajów.

Nie pozwolono mu zabrać przyborów. Były chwile, w których ustnik fajki w zębach, główka fajki w dłoni, byłyby niezmiernie krzepiące.

Robot uwijał się dostrajając szybkimi dotknięciami palców aparaturę. Daniel wyjaśnił — Trzeba się najpierw zapowiedzieć. Robot odbierze sygnał i jeśli wywoływana osoba jest osiągalna i wyraża chęć rozmowy nawiązany zostaje pełen kontakt.

— Czy te wszystkie przyciski są potrzebne? Robot większości z nich nie dotknął.

— W tej sprawie, Eliaszu, moje informacje są niezadowalające.

Bywa, jednak konieczne zorganizowanie wielu połączeń jednocześnie albo łączności z poruszającymi się obiektami, co wymaga ciągłego dostrajania.

Zabrał głos robot — Proszę panów, połączenie zostało nawiązane i zaakceptowane. Kiedy będą panowie gotowi…

— Jesteśmy gotowi! — warknął Baley i jak na komendę światło zalało drugą połowę sali.

Daniel rzekł pośpiesznie — Nie zażądałem, by tamtejszy robot zasłonił okna. Bardzo mi przykro. Musimy…

— Mniejsze o to — skrzywił się Baley — Dam sobie radę. Nie przeszkadzaj.

Oglądał wnętrze łazienki, tak mu się przynajmniej wydawało.

Cześć pomieszczenia zajmowało wyposażenie gabinetu kosmetycznego. Baley wyobraził sobie robota, czy może roboty, pracujące szybko j precyzyjnie nad uczesaniem kobiety i jej powierzchownością.

Nie zwracał uwagi na drobiazgi. Nie zdołałby ich rozpoznać. Ściany były pokryte zawiłym mozaikowym wzorem, który łudził oko

wrażeniem przedstawienia czegoś znanego i rzeczywistego, co po chwili umykało w abstrakcje, kojącym i przyciągającym z hipnotyczną siłą.

Zasłona w dużej kabinie natryskowej nie była materialną, była to jakaś świetlna sztuczka, migocząca, nieprzejrzysta ściana światła. Nie było widać nikogo.

Baley spojrzał na posadzkę. Gdzie kończył się jego pokój a zaczynał inny? Nietrudno było się domyślić. Różnica oświetlenia była wyraźna. To musiało być tam. Postąpił ku tej linii i z wahaniem uniósł rękę.

Czuł to samo, co kiedy wkładał rękę w ziemski stereosystem. Tam jednak ciągle widział rękę, choć słabiej. Tu znikła. Zdawało się, że kończy się w przegubie.

A gdyby przekroczył tę linię? Zapewne przestałby widzieć cokolwiek, znalazłby się w ciemności. Myśl o tym sprawiła mu nawet przyjemność.

Jakiś głos wyrwał go z zamyślenia. Cofnął się pośpiesznie, podnosząc wzrok.

Głos należał do Gladii Delmarre. To musiała być ona. Górna część świetlnej zasłony znikła i widać było jej głowę.

Uśmiechnęła się do Baley — witam ponownie. Przepraszam, że musiał pan czekać. Zaraz będę gotowa.

Miała trójkątną twarz o szerokich kościach policzkowych (widać to było przy uśmiechu), pełne usta i drobny podbródek. Nie była zbyt wysoka, pięć stóp i dwa cale (zgodnie z powszechną opinia kosmitki powinny być wysokie i majestatyczne). Nie była też szatynką. Włosy miała rudawe, prawie blond i niezbyt długie Rozwiewał je strumień ciepłego powietrza. Widok był wcale miły.

Baley, nieco zmieszany, powiedział — Jeśli wolałaby pani odłożyć rozmowę na później…

— Ależ nie! Jestem prawie gotowa. Możemy rozmawiać. Hannis Gruer uprzedził mnie, że chciał pan ze mną mówić. Słyszałam, że pochodzi pan z Ziemi — Wpatrywała się w niego wręcz łakomie.

Baley skłonił się i usiadł — Mój towarzysz pochodzi z Aurory.

Uśmiechnęła się, wciąż wpatrując się w Baleya jakby interesował ją tylko on. Było to zupełnie zrozumiałe.

Uniosła ramiona rozczesując włosy palcami jakby chciała przyśpieszyć ich wysychanie. Miała piękne ramiona. — Bardzo powabna — pomyślał Baley.

Potem pomyślał z niepokojem, że nie spodobałoby się to Jessie. Wtrącił się Daniel — Czy mogłaby pani kazać zasłonić to okno, pani Delmarre? Mój towarzysz źle znosi światło dzienne. Na Ziemi jak pani zapewne wiadomo…

Młoda kobieta (Baley dałby jej jakieś dwadzieścia pięć lat. choć z

żalem pomyślał, że wygląd kosmitów może nie odpowiadać ich wiekowi) podniosła ręce do ust, wykrzykując — Ależ tak! Wiem! Jak to głupio z mojej strony! Zaraz wezwę robota…

Wyszła spod suszarki i wyciągnęła rękę do płytki kontaktowej Ciągle powtarzam, że przydałoby się tu więcej tych płytek. Jeśli dom ma być wygodny, powinny być zawsze pod rękę, nie dalej niż o pięć stóp. Ale — czy coś się stało?

Patrzyła ze zdumieniem na Baleya, który zerwał się na nogi zaczerwieniony aż po uszy, wywracając krzesło i odwracając się pośpiesznie.

Daniel wyjaśnił ze spokojem — Byłoby lepiej proszę pani, gdyby wróciła pani do kabiny, albo zechciała włożyć na siebie coś z ubrania.

Gladia ze zdziwieniem spojrzała w dół na własną nagość — Ależ, naturalnie.

5. Opis morderstwa

— Przecież to było tylko oglądanie — mówiła ze skruchą Gladia. Owinęła się szlafrokiem, pozostawiając odkryte ramiona i nogi do pół uda. Baley doszedł już do siebie i czując, że zrobił z siebie głupca, po stoicku ignorował ten widok.

— Zaskoczyło mnie to, proszę pani, nic więcej…

— Proszę, niech mnie pan nazywa Gladia, chyba że wasze zwyczaje nie pozwalają na to.

— Ależ nie, Gladia. Chce też cię zapewnić, że tamta scena nie sprawiła mi przykrości, byłem jedynie zaskoczony — Wystarczy, że zachował się głupio, nie musi jeszcze dawać biedaczce do zrozumienia, że jej wygląd był mu niemiły. W rzeczywistości było całkiem, — całkiem…

Nie znalazł właściwych słów, pewien był jednak, że nie potrafi opowiedzieć o tym Jessie.

— Widzę, że uraziłam cię — mówiła Gladia — ale stało się to niechcący, przez brak zastanowienia. Wiem, oczywiście, że trzeba pamiętać o zwyczajach innych planet ale te zwyczaje są czasem takie dziwaczne — to znaczy nie dziwaczne — poprawiła się pośpiesznie — ale dziwne i tak łatwo o nich zapomnieć… Zapomniałam też i o zaciemnieniu okien.

— Ależ wszystko w porządku — wymamrotał Baley. Gladia była teraz w pokoju, w którym wszystkie okna były zasłonięte a łagodne oświetlenie było niewątpliwie sztuczne.

— Co do tamtej sceny — ciągnęła z powagą — to było przecież tylko oglądanie. Ostatecznie nie miałeś nic przeciw rozmowie ze mną, kiedy byłam pod suszarką i również nie miałam nic na sobie.

— No cóż — powiedział Baley, życząc sobie w skrytości, by ten temat wreszcie ją znużył — słyszeć to jedno, a widzieć to co innego.

— Ależ wcale nie chodzi o widzenie — zarumieniła się i spuściła wzrok — Nie sądzisz chyba, że zrobiłabym coś takiego — myślę o wyjściu spod suszarki — gdyby ktoś mnie widział. To było tylko oglądanie.

— To przecież jedno i to samo, nieprawdaż?

— To wcale nie to samo! W tej chwili oglądasz mnie. Nie możesz mnie dotknąć, ani powąchać, ani zrobić niczego w tym rodzaju, nieprawdaż? Gdybyś mnie widział, mógłbyś to zrobić. Jestem jednak oddalona od ciebie przynajmniej o dwieście mil. Jak możesz mówić, ze to jedno i to samo?

To zainteresowało Baleya — A jednak widzę cię na własne oczy.

— Nie, nie widzisz mnie. Widzisz mój obraz. Mnie oglądasz — więc to nie to samo?

— To zupełnie różne rzeczy.

— Rozumiem — I rozumiał, do pewnego stopnia. Rozróżnienie nie przychodziło mu łatwo ale była w tym jakaś logika.

— Czy naprawdę rozumiesz? — spytała, przechylając głowę.

— Naprawdę.

— A więc nie miałbyś nic przeciw temu, żebym zdjęła z siebie ten szlafrok? — zaśmiała się.

— Droczy się ze mną — pomyślał a głośno powiedział — To by mnie rozpraszało, ale wrócimy jeszcze do tego tematu.

— A czy nie przeszkadza ci, że mam na sobie szlafrok a nie coś bardziej formalnego? Pytam serio.

— Nie mam nic przeciw temu.

— Czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu?

— Proszę, korzystaj z okazji.

— A jak masz na imię?

— Eliasz.

— Świetnie — wtuliła się w fotel na pozór twardy, wyglądający wręcz jak wyrób ceramiczny, który jednak ugiął się, gdy usiadła i objął ją łagodnie.

— Przejdźmy teraz do sprawy — rzekł Baley.

— Przejdźmy.

Baley przekonał się, że będzie miał olbrzymie trudności. Nie wiedział jak zacząć. Na Ziemi pytałby o nazwisko, klasę, miasto, sektor mieszkalny, miałby setki pytań pod ręką. Gdyby nawet z góry znał odpowiedź na wstępne pytania, ułatwiałyby jednak one przejście do decydującej fazy przesłuchania. Służyłyby poznaniu przesłuchiwanej osoby i decydowały o dalszej taktyce.

Tutaj nie mógł być pewien niczego. Nawet słowo „widzieć" znaczyło dla każdego z ich dwojga co innego. Ile jeszcze było takich słów? Ile razy nie będą się rozumieli, a on nie będzie tego świadomy?

— Jak długo byłaś zamężna, Gladia?

— Dziesięć lat, Eliaszu.

— A ile masz lat?

— Trzydzieści trzy.

Baleyowi miło było to usłyszeć. Mogła przecież z powodzeniem mieć i sto trzydzieści trzy.

— Czy byłaś szczęśliwa w małżeństwie?

To zaniepokoiło Gladię — Co masz na myśli?

— No cóż… — Baley zmieszał się. Jak zdefiniować szczęście małżeńskie? Co mogli uważać za szczęśliwe małżeństwo Solarianie?

Spytał — Czy często się widywaliście?

— Co takiego?! Oczywiście, że nie! Nie jesteśmy przecież zwierzętami.

Baley skrzywił się — mieszkaliście w tym samym domu.

Myślałem…

— Oczywiście, że mieszkaliśmy w tym samym domu! Byliśmy przecież małżeństwem. Ja miałam jednak swoje apartamenty, a on swoje. On miał swoje sprawy zawodowe (zajmowały mu mnóstwo czasu), a ja swoje zajęcia.

— Czy mąż cię widywał?

— Nie wypada o tym mówić, ale owszem, widywał mnie.

— Czy macie dzieci?

Gladia poderwała się z oburzeniem — Tego już za wiele! Ze wszystkich nieprzyzwoitości…

— Chwileczkę! Chwileczkę! — Baley uderzył pięścią w poręcz fotela — Nie utrudniaj mi! To jest śledztwo w sprawie morderstwa. Morderstwa, czy to rozumiesz? Zamordowano twojego męża. Chcesz by wykryto i ukarano mordercę, czy nie?

— Więc pytaj o morderstwo a nie o… o…

— Muszę pytać o najróżniejsze rzeczy. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy żal ci męża — ta brutalność była zamierzona. — Nie widać tego po tobie.

Popatrzyła na mnie wyniośle — Zawsze mi żal kogoś, kto umiera, zwłaszcza, jeśli jest młody i mógłby być z niego pożytek.

— Czy nie żal ci go jednak trochę i dlatego, że był twoim mężem?

— Był mi przeznaczony i, cóż, widywaliśmy się zgodnie z planem, i — zaczęła mówić szybko — jeśli musisz to wiedzieć, nie mamy dzieci, bo nie mamy jeszcze przydziału. Nie widzę, co to wszystko ma wspólnego z odczuwaniem żalu po czyjejś śmierci.

— Może i nie ma — pomyślał Baley — to zależy od — uwarunkowań społecznych, których nie dane mi było poznać — zmienił temat — Mówiono mi, że znasz okoliczności morderstwa.

Wyczuł, że rośnie w niej napięcie — To ja… znalazłam ciało, czy tak powinnam się wyrazić?

— Więc właściwie nie byłaś świadkiem morderstwa?

— Ach, nie — powiedziała słabym głosem.

— Odpowiedz mi jednak swoimi słowami, co się zdarzyło — usiadł wygodniej i nadstawił ucha.

Zaczęła — Była wtedy trzydziesta druga piątej…

— A w standardowym czasie? — spytał szybko Baley.

— Nie jestem pewna. Nie wiem naprawdę. Myślę, że można to sprawdzić.

Głos jej drżał, oczy się rozszerzyły. Pomyślał, że są nieco zbyt szare by można było nazwać je niebieskimi.

— Przyszedł do mnie. Wiedziałam, że przyjdzie. To był — wyznaczony dzień.

— Czy zawsze przychodził wyznaczonego dnia?

— O tak, był bardzo sumienny, prawdziwy Solarianin. Nigdy na

opuścił wyznaczonego dnia i zawsze przychodził o tej samej porze.

Oczywiście nie bawił długo. Nie mamy przydziału na dz…

Nie dokończyła. Baley skinął głową.

— Tak, czy inaczej — powiedziała — przychodził zawsze o tej samej porze, to było wygodne. Rozmawialiśmy trochę. Widzenie jest ciężką próbą, ale zachowywał się całkiem zwyczajnie. Taki miał sposób bycia. Potem wyszedł, żeby zająć się jakimś projektem, nad którym pracował, nie wiem dokładnie, o co chodziło. Miał w moich apartamentach laboratorium, do którego mógł się wycofać w dniach widzeń. W swoich apartamentach miał znacznie większe.

Baley zastanawiał się czym zajmował się mąż Gladii w tym laboratoriach. Zapewne fetologią, cokolwiek to było.

— Czy nie wyglądał inaczej niż zwykle? Nie robił wrażenia zmartwionego?

Nie. Nigdy nie robił takiego wrażenia — była bliska śmiechu nie stłumiła tę chęć. — Był zawsze doskonale opanowany, zupełnie twój przyjaciel — wskazała dłonią Daniela, który ani drgnął.

— Rozumiem. Idźmy dalej.

Gladia jednak spytała — Czy pozwolisz, że się czegoś napiję?

— Ależ, proszę!

Dłoń Gladii przesunęła sio po poręczy fotela i nie minęła nawet minuta, gdy robot wniósł gorący napój (Baley widział unoszącą się parę). Gladia popijała małymi łyczkami, potem odstawiła napój.

— Teraz mi lepiej. Czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

— Pytaj, kiedy tylko masz ochotę — odpowiedział Baley.

— Otóż dużo czytałam o Ziemi. Zawsze mnie interesowała. To taki cudaczny świat — Tu zabrakło jej tchu i niezwłocznie dodała — Wiesz, co chcę powiedzieć.

Baley zmarszczył brwi — Każdy świat wydaje się cudaczny temu kto w nim nie mieszka.

— Chciałam powiedzieć „inny”. W każdym razie chce ci zadać niegrzeczne pytanie. Mam nadzieję, że nie wyda się takie Ziemianinowi. Solarianina nie mogłabym o to spytać.

— Co to za pytanie, Gladio?

— Chodzi o ciebie i twojego przyjaciela, pana Olivawa, tak się nazywa, prawda?

— Tak.

— Wy dwaj chyba nie oglądacie się?

— Jak to rozumiesz?

— Że nie oglądacie się nawzajem. Wy się widzicie.

— Tak. Jesteśmy blisko siebie, fizycznie.

— Mógłbyś go dotknąć, gdybyś chciał?

— Zgadza się.

Popatrzyła na nich kolejno i powiedziała „ach” Co mogło to

oznaczać? Niesmak? Zmianę zdania.

Baley wyobraził sobie siebie jak wstaje, podchodzi do Daniela i gładzi go po twarzy. Jej reakcja mogłaby być interesująca.

— Opowiadałaś, jak mąż przyszedł widzieć się z tobą — był pewien że dygresja, choć istotnie mogła być dla niej interesująca podyktowana była chęcią uniknięcia odpowiedzi.

Chwilę znów popijała swój napój. — Nie ma wiele do opowiadania. Widziałam, że był zajęty, więc wróciłam do swoich zajęć. Jakieś piętnaście minut później usłyszałam krzyk.

Przerwała i Baley ponaglił ją — Jaki krzyk?

— Rikaina, mojego męża. Po prostu krzyk, bez słów. Krzyk strachu albo raczej zdziwienia, zaskoczenia, czegoś w tym rodzaju. Nigdy nie słyszałam go krzyczącego.

Podniosła dłonie jakby chciała zasłonić uszy przed wspomnieniem tego krzyku. Szlafrok powoli zsunął się jej aż do pasa. Nie zwróciła na to uwagi, Baley zaś patrzył niezachwianie w swój notes.

— I co zrobiłaś? — spytał.

— Pobiegłam. Biegłam. Nie wiedziałam gdzie on jest.

— Mówiłaś, że poszedł do laboratorium w twojej części domu.

— Poszedł tam, Eliaszu, ale nie wiedziałam gdzie to jest. Nigdy tam nie byłam. Wiedziałam, że to gdzieś w zachodnim skrzydle ale byłam tak rozstrojona że nie pomyślałam o wezwaniu robota. Zaprowadziłby mnie, ale oczywiście żaden nie zjawił się bez wezwania Kiedy tam w końcu dotarłam — jakoś znalazłam drogę — on już nie żył.

Przerwała i ku zażenowaniu Baleya pochyliła głowę i zapłakała Nie usiłowała ukryć twarzy. Zamknęła po prostu oczy, a łzy ciekły jej po policzkach. Płakała bezgłośnie. Ramiona jej drżały.

Potem otworzyła oczy i spojrzała przez łzy na Baleya — Nigdy nie widziałam umarłego. Był cały we krwi a jego głowa była… Całkiem… Zdołałam jakoś wezwać robota a on przywołał inne. Zajęła się mną i Rikainem. Nie pamiętam…

— Jak to, zajęły się Rikainem?

— Wyniosły go stamtąd i posprzątały — powiedziała głosem oburzonej pani domu. — Był straszny bałagan.

— A co stało się z ciałem?

Pokręciła głową — Nie wiem. Chyba je spalono, jak to się robi z ciałami.

— Nie wezwałaś policji?

Patrzyła na niego tępym wzrokiem. Przypomniał sobie: tu nie ma policji. — Kogoś chyba jednak wezwałaś, jeśli zajęto się tą sprawą? — Roboty wezwały doktora, ja zawiadomiłam pracownię Rikaina.

Jego roboty musiały dowiedzieć się, że nie wróci.

— Doktora wezwano zapewne do ciebie?

Skinęła głową. Teraz dopiero zauważyła szlafrok spowijający jej biodra. — Podciągnęła go mrucząc ze smutkiem — przepraszam!

Żal było patrzeć na nią, jak siedzi drżąc, z wyrazem zgrozy na twarzy. Przywołały go wspomnienia. Nigdy nie widziała zwłok. Nigdy nie widziała krwi ani roztrzaskanej głowy. Jeśli nawet małżeńskie uczucia nie bywały na Solarii zbyt głębokie, było to jednak dla niej spotkanie z martwą istotą ludzką.

Baley nie wiedział, co począć. Miał ochotę przepraszać, ale przecież jako policjant spełniał tylko swój obowiązek.

Czy jednak ona to zrozumie? W jej świecie nie było policji.

Spytał łagodnie — Czy oprócz krzyku męża, Gladio, nie słyszałaś niczego?

Podniosła wzrok. Na jej pięknej twarzy malowało się strapienie — Niczego.

— Żadnych krzyków, żadnych głosów?

Pokręciła głową — Niczego nie słyszałam.

— Czy mąż był sam, kiedy go znalazłaś? Byliście tam tylko wy dwoje?

— Tak.

— Żadnych oznak czyjejś obecności?

— Niczego nie zauważyłam. Nie mogło tam zresztą być nikogo — Dlaczego?

Zaskoczyło ją to pytanie. Potem z przygnębieniem wyjaśniła Zapominam, że jesteś z Ziemi. Po prostu nikogo tam być nie mogło.

Mąż nigdy nie widział nikogo poza mną. To nie w jego stylu.

Był bardzo akuratny. Przestrzegał zwyczajów.

A jeśli ktoś przybył bez zaproszenia, nie uprzedzając twego męża? Nie uniknąłby widzenia z tym kimś, mimo dbałości o formy.

— Wezwałby roboty i kazał odprawić tamtego. Zrobiłby to! Nikt zresztą nie próbowałby widzieć się z nimi bez zaproszenia. Nie wyobrażam sobie tego. A Rikain z pewnością nie zaprosiłby nikogo. Co za pomysł!

— Zginął od uderzenia w głowę. Zgadzasz się z tym?

— Tak sądzę. Był… całkiem…

— Nie chodzi mi o szczegóły. Czy można było rozbić mu głowę jakimś zdalnie sterowanym przyrządem?

— Niczego takiego nie zauważyłam.

— A zauważyłabyś, gdyby tam było. Czyli jakaś ręka trzymała narzędzie zbrodni i opuściła je na głowę męża. Ktoś musiał siać o cztery stopy od niego. Ktoś widział się z nim.

— Niemożliwe — powiedziała stanowczo. — Solarianin nie zniósłby niczyjego widoku.

— Solarianin zdolny do morderstwa mógłby się może na to zdobyć, (Nie był tego pewien. Zetknął się kiedyś na Ziemi ze sprawą

szczególnie bezwzględnego mordercy, który został ujęty tylko dlatego, że nie mógł zdobyć się na zakłóceniˆ ciszy w łazienkach publicznych).

Gladia kręciła głową. — Ty nie rozumiesz, co to znaczy widzieć kogoś. Ziemianie widują innych nieustanniˆ, nie rozumieją więc.

Widać było, że walczy z ciekawością. Oczy jej zabłysły — Dla ciebie to normalne widzieć kogoś.

— Zawsze uważałem to za oczywiste.

— Nie wprawia cię to w zakłopotanie?

— Dlaczego miałoby wprawiać?

— Nie dowiedziałam się o pewnej rzeczy z filmów, a zawsze chciałam to wiedzieć… Czy mogę o coś spytać?

— Pytaj — rzekł flegmatycznie Baley.

— Masz wyznaczoną żonę, prawda?

— Jestem żonaty. Nie wiem, o co chodzi z tym wyznaczaniem.

— Widujesz żonę, kiedy tylko zechcesz a ona ciebie i nie zastanawiacie się nad tym.

Skinął głową.

— Przypuśćmy, że zechcesz, widzieć ją… — uniosła dłonie jakby szukając słów. Znów zaczęła — Czy możesz… Zawsze — pytanie zawisło w powietrzu.

Baley nie starał się jej pomóc.

— Zresztą, mniejsza o to. Nie będę ci zawracać głowy. Czy już skończyliśmy? — Wyglądała, jakby zbierało się jej na płacz.

— Jeszcze tylko jedno, Gladio. Zapomnij na chwilę, ze nikt nie 4nógł widzieć męża. Wyobraź sobie, że ktoś go widział. Kto to mógł być?

— Nikt. Nie warto się zastanawiać.

— Musiał być ktoś taki. Dyrektor Gruer wspomniał o jedne] podejrzanej osobie, sama więc widzisz.

Po jej dziewczęcej twarzy przemknął niewesoły uśmiech — Wiem, kogo miał na myśli.

— Kogo?

Dotknęła dłonią piersi — Mnie.

6. Odrzucona teoria

— Powiedziałbym, partnerze Eliaszu — odezwał się znienacka Daniel — że to oczywisty wniosek.

Baley spojrzał ze zdziwieniem na robota.

— Dlaczego oczywistty?

— Ta pani sama oświadczyła — odpowiedział Daniel — że była jedyną osobą która widziała albo mogła widzieć się z jej mężem. Sposób życia mieszkańców Solarii każe odrzucić inne możliwość. Dyrektor Gruer uznał za rozsądne a nawet za konieczne przyjąć, że tylko żona może widzieć Solarianina. Jeśli tylko jedna osoba może znaleźć się w zasięgu wzroku, tylko jedna też może być mordercą, czy raczej morderczynią. Gruer mówił, jak pamiętasz, że mogła to zrobić tylko jedna osoba.

— Powiedział też — przypomniał Baley — że i ta jedna osoba nie mogła tego zrobić.

— Miał pewnie na myśli to, że na miejscu zbrodni nie znaleziono broni. Pani Delmarre potrafi nam to chyba wyjaśnić.

Skłonił się z chłodną uprzejmością Gladii, która siedziała z opuszczonymi oczami i zaciśniętymi ustami.

— Na Jozafata — pomyślał Baley — zapominamy o damie.

Chyba to irytacja sprawiła, że o niej zapomniał, a przyczyną irytacji był Daniel ze swym pozbawionym emocji podejściem do sprawy. A może on sam ze swym emocjonalnym podejściem? Nie zamierzał się w to zagłębiać.

— To na razie byłoby wszystko, Gladio. Gdyby ktoś chciał cię niepokoić, przerwij połączenie. Żegnaj!

Odpowiedziała cichym głosem — Tu się mówi „koniec oglądania" ale wolę słowo „żegnaj"! Wydajesz się zaniepokojony, Eliaszu. Przymi. Przywykłam, że ludzie myślą, że to zrobiłam. Niech cię to denerwuje.

— A czy zrobiłaś to, Gladio?

— Nie! — odpowiedziała z gniewem.

— A więc żegnaj!

Wciąż miała w twarzy gniew, znikając. Baley zaś wciąż jeszcze odczuwał napór tych niezwykłych szarych oczu.

Mogła mówić że przywykła do tego, iż uważają ją za morderczynię, była to jednak najwyraźniej nieprawda. Jej gniew ją zdradzał.

Baley zastanawiał się do jakich jeszcze kłamstw byłaby zdolna.

— Gdyby zostali sami, powiedział — Danielu, nie jestem zupełnym głupcem!

— Nigdy tak nie uważałem, Eliaszu.

— Wyjaśnij mi więc, dlaczego twierdziłeś, że na miejscu zbrodni

nie znaleziono broni. Nie usłyszelibyśmy dotąd niczego co pozwoliłby wysnuć taki wniosek.

— Masz rację. Otrzymałem dodatkowe informacje z którymi się jeszcze nie zapoznałeś.

— Tak myślałem. Co to za informacje?

— Dyrektor Gruer obiecał przysłać nam kopię sprawozdania z dochodzenia. Przysłano ją dziś rano.

— Czemu mi jej nie pokazałeś?

— Myślałem, że lepiej będzie, jeśli pozwolę ci przeprowadzić własne dochodzenie. Nie sugerowałeś się wnioskami ludzi, którzy, jak sami przyznali, do niczego nie doszli. Dlatego też, czując że ich wnioski mogą wpływać na moją logikę, nie brałem udziału w rozmowie.

— Logika! Mimo woli przypomniał sobie Baley dawną rozmowę z robotykiem. Tamten mówił: roboty są logiczne, ale nie są rozsądne.

— Włączyłeś się jednak w końcu w rozmowę.

— Zrozumiałem to Eliaszu, bo znalazłem dowód potwierdzający podejrzenia Gruera.

— Jaki to dowód?

— Wnioski wyciągnięte z zachowania pani Delmarre.

— A dokładniej, Danielu?

— Zauważ, że jeśli ta dama jest winna a usiłuje udowodnić swą niewinność, byłoby jej na rękę przekonać o swej niewinności prowadzącego śledztwo…

— I co dalej?

— Może zdołałaby to osiągnąć, wykorzystując jego słabe punkty — To tylko przypuszczenie.

— Wcale nie — padła chłodna odpowiedź — Zauważyłeś chyba, że skupiła swą uwagę wyłącznie na tobie?

— Bo prowadziłem rozmowę.

— Tak było od samego początku, kiedy należało raczej oczekiwać że to ja — przedstawiciel Aurory będę prowadził śledztwo. Mimo to skoncentrowała się na tobie.

— Jaki stąd wniosek?

— Że związała swe nadzieje z tobą, Eliaszu. Jesteś Ziemianinem.

— I co z tego?

— Zdobyła pewną wiedze o Ziemi. Dała tego dowody. Wiedziała o co chodzi, kiedy prosiłem o zasłonięcie okien. Nie była też zdziwiona a gdyby nie znała warunków życia na Ziemi, byłoby inaczej.

— Co dalej?

— Należy przypuścić, że studiując sprawy Ziemi odkryła słaby punkt Ziemian. Musiała wiedzieć, że nagość stanowi tabu i że robi wrażenie na Ziemianach.

— Wyjaśniła przecież, że oglądanie…

— Tak mówiła, ale czy to cię przekonało? Dwukrotnie pozwoliła oglądać się w stroju niezupełnie kompletnym, jak mógłbyś to ująć — Z czego wnosisz, że próbowała mnie uwieść, nieprawdaż?

— Odwieść cię od zawodowej bezstronności. Na to mi wyglądało.

Nie reaguję na tego rodzaju bodźce jak człowiek, mogę jednak sądzić na podstawie zakodowanych danych, że ta dama odpowiada wszelkim standardom atrakcyjności. Z twego zachowania wynikało, że odpowiada ci jej wygląd. Słusznie więc uważała, że zachowując się tak a nie inaczej, działa na własną korzyść.

— Posłuchaj — powiedział Baley. — Niezależnie od wrażenia, jakie na mnie zrobiła, pozostaję przedstawicielem prawa świadomym, czego wymaga etyka zawodowa. Chcę, żeby to było jasne. Zobaczymy teraz to sprawozdanie.

Czytał je w milczeniu. Skończył, odwrócił i przeczyta! jeszcze raz.

— Mamy tu nowy element. Tego robota — powiedział.

Daniel Olivaw skinął głową.

— Nie wspomniała o nim — zauważył z namysłem Baley.

— Postawiłeś niewłaściwe pytanie. Pytałeś, czy była sama kiedy ciało, czy nie był obecny ktoś jeszcze. Robot nie jest „kimś".

Baley zgodził się z tym. Gdyby to on był podejrzanym, na pytanie, kto jeszcze był na miejscu zbrodni nie odpowiedziałby — tylko stół.

— Widzę, że powinienem spytać, czy były tam jakieś roboty. Na nie ważne jest świadectwo robota. Danielu?

— Co masz na myśli?

— Czy robot może być na Solarii świadkiem? Czy może dostarczyć dowodu?

— Czemu w to wątpisz?

— Bo robot nie jest człowiekiem, Danielu. Na Ziemi nie mógłby świadczyć w żadnej sprawie.

— Zaś odcisk stopy mógłby o czymś świadczyć, choć jest daleko mniej ludzki, niż robot. W tej kwestii postępujecie nielogicznie. Na Solarii świadectwo robota jest dopuszczalne, o ile jest w danej sprawie kompetentny.

Baley nie zamierzał się spierać. Podparł podbródek ręką i zastanawiał się nad problemem tamtego robota.

Stojąc nad ciałem męża, Gladia wezwała w skrajnym przerażeniu Roboty. Zanim przybyły, straciła przytomność.

Roboty znalazły ją leżącą obok zabitego. Był tam również robot, który nie został wezwany. Nie był to robot domowy. Żaden z robotów nie widział go przedtem, nie znał też jego zadań ani przydziału.

Od robota nie można było dowiedzieć się niczego. Nie funkcjonował. Jego ruchy były bezładne. Jego pozytronowy mózg był w stanie chaosu. Nie reagował na polecenia. Robot po przebadaniu

przez ekspertów został uznany za zniszczonego.

Jedynym znakiem zorganizowanej aktywności był nieustanne powtarzanie: — Chcesz mnie zabić… chcesz mnie zabić… chcesz mnie zabić…

Nie znaleziono broni zdolnej strzaskać czaszkę zabitego.

— Zamierzam coś zjeść, Danielu, a potem chcę się widzieć z Gruerem czy raczej oglądać go.

Zastali Hannisa Gruera przy stole. Jadł nie spiesząc się, wybierając starannie kąski z różnych półmisków, jakby szukał jakiejś najbardziej go zadowalającej kombinacji.

— Ten mógłby mieć i paręset lat — pomyślał Baley. — Jedzenie zaczyna go nudzić.

— Witam panów! — przemówił Gruer — Zapewne otrzymali panowie nasze sprawozdanie? — Sięgnął po jakiś smakołyk, łysina zalśniła.

— Tak jest. Odbyliśmy też rozmowę z panią Delmarre — odpowiedział Baley.

— To świetnie. I do jakich wniosków panowie doszli?

— Że jest niewinna.

— Gruer podniósł wzrok — Doprawdy?

Baley skinął głową.

— A jednak nikt prócz niej nie mógł widzieć się z nim, zbliżyć się do niego.

— Niezależnie od tego, jak ściśle na Solarii przestrzega się zwyczajów, nie wydaje mi się to rozstrzygające. Czy mogę wyjaśnić, o co mi chodzi?

— Ależ oczywiście — Gruer wrócił do swego obiadu.

— Morderstwo opiera się na trzech elementach: motywie, środkach, sposobności. Wszystkie one są jednakowo ważne. Zgadzam się, że pani Delmarre miała sposobność. Nie usłyszałem jednak nic o motywach.

— Bo nie znamy motywów — wzruszył ramionami Gruer. Oczy jego na chwilę spoczęły na milczącym Danielu.

— Podejrzana nie miała więc motywu, może jednak być patologiczną morderczynią. Załóżmy, że tak jest i zastanówmy się. Jest z mężem w laboratorium. Ma jakiś powód by go zabić. Wymachuje jakimś ciężkim przedmiotem. Tamten już po chwili zdaje sobie sprawę z jej zamiarów. Woła „chcesz mnie zabić!" i gdy rzuca się do ucieczki, dosięga go cios, który miażdży mu czaszkę. Nawiasem mówiąc, czy lekarz zbadał ciało?

— Tak — i nie. Roboty wezwały lekarza aby zajął się panią Delmarre i, oczywiście, obejrzał ciało zabitego.

— W sprawozdaniu o tym się nie wspomina.

— Uznano to za nieistotne. Prawdę mówiąc, zanim lekarz zdążył

obejrzeć ciało, zostało ono rozebrane, umyte i zgodnie ze zwyczajem przygotowane do kremacji.

— Innymi słowy, roboty zniszczyły dowody rzeczowe — powiedział Baley z irytacją. — Ale mówi pan „obejrzeć ciało". Czy lekarz nie widział ciała?

— Wielki Kosmosie! — wykrzyknął Gruer — A cóż to za pomysł? Oczywiście, że obejrzał ciało, ze wszystkich stron i z bliska.

Lekarze nie mogą czasem uniknąć widzenia pacjentów nie ma jednak powodu żeby musieli widzieć zwłoki. Medycyna to paskudny fach ale nawet tam są pewne granice.

— Chodzi mi o następującą rzecz: czy lekarz wspomniał jakiego rodzaju obrażenia były przyczyną śmierci?

— Rozumiem do czego pan zmierza. Przypuszcza pan, że obrażenia były zbyt poważne, by mogła je zadać kobieta?

— Kobieta jest słabsza od mężczyzny a pani Delmarre jest drobnej budowy.

— Jest jednak całkiem sprawna fizycznie, agencie. Dajmy jej tylko odpowiednią broń, a prawa fizyki zrobią swoje. Kobieta zresztą może w furii dokonać zadziwiających rzeczy.

Baley wzruszył ramionami — Mówi pan o broni. Gdzie jest ta broń?

Gruer poruszył się. Sięgnął po szklankę a wtedy w polu widzenia pojawiał się robot i napełnił ją przeźroczystym płynem, zapewne wodą.

Gruer podniósł szklankę, zaraz jednak odstawił ją, jakby się rozmyślił — Nie udało nam się jej odnaleźć, jak to zaznaczyliśmy w sprawozdaniu.

— Wiem, co mówi sprawozdanie. Chcę się upewnić. Czy szukano broni?

— Bardzo starannie.

— Czy to pan jej szukał?

— Roboty pod moim nadzorem. Nie udało się znaleźć niczego, co mogło posłużyć jako broń.

— To osłabia oskarżenie przeciw pani Delmarre, nieprawdaż?

— Osłabia — zgodził się ze spokojem Gruer — To jedna z rzeczy, których nie rozumiem i jeden z powodów, że nie oskarżono pani Delmarre. Dlatego też mówiłem panu, że nie mogła popełnić tej zbrodni.

— Powinienem może powiedzieć ,ze oczywiście nie mogła…

— Oczywiście?

— Musiałaby jakoś pozbyć się broni. Jak dotąd nie zdołaliśmy ustalić jak.

— Czy rozważaliście wszystkie możliwości? — pytał Baley z uporem.

— Tak mi się zdaje.

— Wątpię. Zastanówmy się. Broń, której użyto, by strzaskać czaszkę człowiekowi nie została odnaleziona na miejscu zbrodni. Jędrną możliwością jest, że została wyniesiona. Nie mógł tego zrobić Rikain Delmarre, bo nie żył. Czy mogła ją wynieść Gladia Delmarre?

— Tak musiało być — odpowiedział Gruer.

— Ale jak to zrobiła? Kiedy przybyły roboty, leżała nieprzytomna na podłodze. Może udawała, w każdym razie jednak była tam.

Ile upłynęło czasu od momentu zabójstwa do przybycia pierwszego robota?

— Nie wiemy, kiedy dokonano zabójstwa.

— Czytałem sprawozdanie, panie dyrektorze. Jeden z robotów słyszał szamotaninę i krzyk doktora Delmarre'a. Najwidoczniej był najbliżej. W pięć minut później zabrzmiał sygnał wzywający roboty.

Robotowi nie trzeba nawet minuty, by przybyć na wezwanie (Baley pamiętał, jak błyskawicznie się zjawiały). Jak daleko mogła zanieść broń pani Delmarre by zdążyć wrócić i udawać nieprzytomną?

— Mogła zniszczyć broń w dezintegratorze.

— Nie był używany od poprzedniego dnia. Zbadano natężenie szczątkowego promieniowania gamma.

— Wiem o tym — powiedział Gruer — Podałem tylko przykład na to — co mogła zrobić.

— Słusznie, wytłumaczenie może być nawet prostsze. Domowe roboty Delmarre'a zostały zapewne dokładnie sprawdzone?

— O, tak.

— I wszystkie są sprawne.

— Tak.

— Czy któryś z nich nie mógł wynieść broni, nie zdając sobie sprawy, co to jest?

— Żaden z nich niczego nie wyniósł ani nawet niczego nie dotykał.

— Niezupełnie. Przeniosły przecież ciało i przygotowały je do kremacji.

— Tak, oczywiście — ale to się nie liczy. Tego się po nich — spodziewano.

— Na Jozafata — Baley zmuszał się do zachowania spokoju, powiedział — Przypuśćmy więc, że był tam ktoś inny.

— Niemożliwe! Jak mógłby ktoś nachodzić doktora Delmarre'a?

— Przypuśćmy to — wykrzyknął Baley — Roboty mogły o tym nie pomyśleć. Nie sądzę, by przeszukały teren wokół domu. Sprawozdanie nic o tym nie wspomina.

— Nie zrobiono tego, dopóki szukaliśmy broni, ale niedługo potem tak.

— Czy nie znaleziono śladów postoju pojazdu albo ładowania?

— Nie.

— Jeśli wiec ktoś zdobył się na najście doktora Delmarre'a, jak to pan ujął, mógł z łatwością oddalić się. Nikt by go nie zatrzymał a nawet nikt by go nie widział. Wszyscy byliby pewni, że nie mogło tam być nikogo z zewnątrz.

— I nie mogło — oświadczył Gruer.

— Jeszcze tylko jedno. W tę sprawę wmieszany jest robot. Robot był przy tym obecny.

Po raz pierwszy włączył się w rozmowę Daniel — Robot nie był przy tym obecny. Gdyby tam był, zbrodnia nie zostałaby popełniona.

Baley odwrócił się zaskoczony a Gruer który znów podniósł szklankę do ust, odstawił ja i utkwił wzrok w Danielu.

— Czy nie mam racji? — spytał Daniel.

— Całkowitą! — zgodził się Gruer — Robot powstrzymałby każdego przed wyrządzeniem komuś krzywdy. To Pierwsze Prawo.

— Zgoda. Musiał jednak być blisko, może w sąsiednim pokoju.

Gdy morderca zbliżył się do Delmarre'a a ten krzyknął „Chcesz mnie zabić.'" inne roboty nie słyszały tych słów, jedynie krzyk, nie przybyły więc, nie wzywane. Ten robot słyszał i Pierwsze Prawo kazało mu zjawić się bez wezwania. Spóźnił się. Być może widział, jak dokonano zabójstwa.

— Mógł widzieć końcowe momenty — zgodził się Gruer — To go właśnie rozstroiło. Widzieć jak człowiekowi dzieje się krzywda i nie zapobiec temu, to naruszenie Pierwszego Prawa, powodujące uszkodzenie pozytronowego mózgu. W tym przypadku bardzo poważne uszkodzenie.

— A więc robot był świadkiem zabójstwa. Czy go przesłuchano?

— A po co? Był niesprawny. Zdołał wypowiedzieć słowa „Chcesz mnie zabić". Zgadzam się z pańską oceną przebiegu wydarzeń. Ostatnie słowa Delmarre'a wypaliły się w świadomości robota gdy wszystko inne zginęło.

— Wiem, że robotyka to tutejsza specjalność. Czy nie można jakoś naprawić tego robota?

— Nie — odrzekł sucho Gruer.

— A gdzie on teraz jest?

— Poszedł na złom.

Baley uniósł brwi — Ależ to sprawa! Żadnych motywów, żadnych świadków, żadnych dowodów, a to od czego można było zacząć — zniszczone. Ma pan osobę podejrzaną, wszyscy są przeświadczeni, ze ona jest winna, a przynajmniej, że nikt inny nie może być winny.

Po co więc mnie tu ściągano?

Gruer zachmurzył się — Denerwuje się pan. — Zwrócił się do Daniela — Nie zechciałby pan sprawdzić czy wszystkie okna są zasłonięte? Agent Baley odczuwa, być może działanie otwartej

przestrzeni.

Baley osłupiał. W pierwszym odruchu chciał nakazać Danielowi, by został na miejscu, usłyszał jednak nutę paniki w głosie Gruera i spostrzegł niemą prośbę w jego oczach. Pozwolił Danielowi wyjść Maska spokoju opadła z twarzy Gruera. — Poszło łatwiej niż myślałem. Zastanawiałem się, jakby to zrobić, by zostać z panem sam na sam. Nie miałem wielkiej nadziei, że nasz gość z Aurory wyjdzie, jeśli go poproszę, ale nie wymyśliłem nic lepszego.

— I teraz jesteśmy sam na sam.

— Nie mogłem przy nim mówić swobodnie. Zależało nam na panu, więc musieliśmy zgodzić się i na niego — Solarianin pochylił się; — Chodzi nie tylko o morderstwo. Ujęcie sprawcy to nie jedyny cel.

Na Solarii istnieje tajne stowarzyszenie…

— W tej sprawie nie mogę panu pomóc.

— Ależ może pan. Proszę tylko posłuchać: doktor Delmarre należał do Tradycjonalistów. Wierzył w stare, dobre metody. Nowe siły dążyły jednak do zmian i Delmarre został zmuszony do milczenia.

— Przez panią Delmarre?

— Musiała być narzędziem, ale to bez znaczenia. Ważna jest stojąca za nią organizacja.

— Czy ma pan dowody?

— Niezbyt pewne. Rikain Delmarre był na jakimś tropie. Kiedy mnie zapewnił, że znalazł dowód, uwierzyłem. Znałem go na tyle.

by wiedzieć, że nie jest ani naiwny, ani głupi. Niestety, niewiele mi powiedział. Chciał, oczywiście zakończyć dochodzenie przed przekazaniem sprawy w ręce władz. Musiał być bliski końca, inaczej tamci nie odważyliby się na jawne morderstwo. Delmarre powiedział mi jedno: zagrożona jest cała ludzkość.

To wstrząsnęło Baleyem. Przez chwilę czul się jakby słuchał znów Minnima. Czy wszyscy będą zwracać się do niego w sprawach kosmicznej wagi?

— Czemu pan sądzi, że mogę w tym pomóc?

— Bo jest pan Ziemianinem. Rozumie pan? My tu na Solarii nie mamy doświadczenia w podobnych sprawach. Nie rozumiemy zbiorowości. Jesteśmy zbyt nieliczni. Tak właśnie myślę, chociaż koledzy śmieją się ze mnie. Wydaje mmi się, że Ziemianie muszą rozumieć ludzi daleko lepiej niż my, po prostu dlatego, że są ich takie tłumy. Zgadza się pan ze mną?

Baley skinął w milczeniu głową.

— Z tym morderstwem w pewnym sensie, dobrze się złożyło.

Nie śmiałem wspominać nikomu o dochodzeniu Delmarre'a, póki nie wiedziałem, kto bierze udział w spisku. Delmarre nie chciał przekazać żadnych informacji przed końcem dochodzenia. Gdyby

nawet je zakończył, co mielibyśmy robić dalej? Jak postępować z przeciwnikami? Nie wiedziałem. Od początku czułem, że potrzeba nam Ziemianina, odkąd zaś usłyszałem o pańskiej działalności w sprawie morderstwa w Kosmopolu na Ziemi wiedziałem, że to pan jest nam potrzebny. Skontaktowałem się z Aurorą — współpracował pan z ich człowiekiem — a za ich pośrednictwem z rządem Ziemi. Wtedy zdarzyło się morderstwo. Przedtem trudno mi było przekonać kolegów. Szok był tak wielki, że się zgodzili. Zgodziliby się na wszystko.

— Niełatwo jest prosić Ziemianina o pomoc, ale musiałem to zrobić. Zagrożona jest cała ludzkość. Ziemia także.

Gruer był niewątpliwie szczery. Ziemia była więc podwójnie zagrożona.

Jeśli jednak to właśnie morderstwo pozwoliło Gruerowi przeforsować swoje propozycje, czy był to wyłącznie przypadek? Przed Baleyem otwierało się nowe pole dla domysłów.

— Zrobię co będę mógł, aby pomóc — oświadczył.

Gruer podniósł swą wielokrotnie odstawianą szklankę i spojrzał na Baleya — To świetnie. Ani słowa tamtemu proszę. O cokolwiek tu chodzi, Aurora może być w to wmieszana. Z pewnością ta sprawa niezwykle ich zainteresowała. Weźmy choćby to, że nalegali by pan Olivaw został włączony do sprawy. Tłumaczyli, że to dlatego iż pracował z panem poprzednio ale może to też oznaczać, że chcieli mieć w sprawie swego człowieka. Aurora jest potężna, trzeba przyznać.

Pociągnął łyk, patrząc na Baleya.

Baley przesunął palcami po policzku — Jeśli to… Nie dokończył.

Zerwał się z krzesła i rzucił ku tamtemu, zapominając, że patrzy na obraz.

Gruer, wytrzeszczając oczy chwycił się za gardło szepcząc ochryple — Pali… pali…

Szklanka wypadła mu z ręki. Zawartość wylała się. Gruer upadł obok szklanki z twarzą wykrzywioną bólem.

7. Ponaglanie lekarza.

W drzwiach .stanął Daniel — Co się stało, Eliaszu?

Wyjaśnienia były zbyteczne. Głos Daniela przeszedł w donośny krzyk — Roboty Hannisa Gruera! Wasz pan jest ranny! Roboty!

Metalowa postać wkroczyła do sali jadalnej a w ciągu następnej minuty pojawiło się kilkanaście. Trzy roboty wyniosły ostrożnie Gruera, inne zajęły się uprzątaniem bałaganu i zbieraniem porozrzucanej po podłodze zastawy.

— Hej tam, roboty! — zawołał Daniel — Mniejsza o porcelanę.

Szukajcie człowieka! Przeszukać dom! Przeszukać teren posiadłości!

Jeśli znajdziecie człowieka, zatrzymajcie go nie robiąc mu krzywdy (ta uwaga była zbyteczna), nie pozwólcie mu tylko odejść. Jeśli nie znajdziecie nikogo dajcie mi znać. Będę pod tym samym numerem.

Roboty rozbiegły się. Eliasz mruknął do Daniela — To dopiero początek. Mamy niewątpliwie do czynienia z trucizną.

— Tak, to oczywiste, partnerze Eliaszu — Daniel usiadł w jakiś dziwny sposób, jakby ugięły się pod nim kolana. Baley nigdy dotąd nie widział go w takim stanie.

— Widok człowieka, któremu dzieje się krzywda bardzo źle działa na mój mechanizm — wyjaśnił Daniel.

— Nie mogłeś nic na to poradzić.

— Wiem, a jednak w moich ścieżkach myślowych powstały jakieś zatory. Możnaby to nazwać szokiem.

— Jeśli tak, to nic poważnego — Baley nie miał litości ani współczucia dla wrażliwego robota. — Musimy zastanowić się, kto jest winien. Nie ma trucizny bez truciciela.

— Przypadkowe zatrucie? W tak doskonale funkcjonującym świecie? Niemożliwe. Poza tym trucizna była w napoju a objawy zatrucia wystąpiły nagle i wszystkie naraz. Danielu, pójdę to sobie przemyśleć. Połącz się z panią Delmarre. Upewnij się że jest u siebie i sprawdź, jaka odległość dzieli posiadłości jej i Gruera.

— Czy myślisz, że ona…

Baley uniósł rękę — Po prostu sprawdź to, zgoda?

Wyszedł. Chciał być sam. Z pewnością nie były to dwa niezależne od siebie usiłowania morderstwa, tak zbieżne w czasie, w świecie takim jak Solaria. Jeśli zaś istniał między nimi związek, najprościej było przyjąć, że opowiadanie Gruera o konspiracji było prawdą.

Baley czuł, jak rośnie w nim znajoma gorączka. Przybył tu z głowa pełną kłopotów Ziemi i własnych. Morderstwo wydawało się sprawą odległą ale oto zaczęły się łowy. Zacisnął zęby. Niezależnie od

wszystkiego innego morderca czy też mordercy (albo morderczyni) uderzyli w jego obecności i to go ubodło. Czy tak mało się z nim liczono? Zraniono jego dumę zawodową. Musiał przyjąć to do wiadomości. Wreszcie miał wyraźne podstawy by uznać to za zwykły przypadek morderstwa, niezależnie od powiązań z grożącym Ziemi niebezpieczeństwem.

Pojawił się Daniel — zrobiłem, o co prosiłeś, Eliaszu. Oglądałem panią Delmarre. Jest u siebie, to jest ponad tysiąc mil od posiadłości dyrektora Gruera.

— Zobaczę się z nią później, to jest obejrzę ją — powiedział — Baley. Spojrzał z namysłem na Daniela — Czy myślisz, że jest w to wmieszana?

— Bezpośrednio oczywiście nie, Eliaszu.

— Czy to ma sugerować związek pośredni?

— Mogła nakłonić kogoś, by to zrobił.

— Kogoś? — spytał szybko Baley. — Kogo?

— Jeśli ktoś działał w jej imieniu, musiał być na miejscu zbrodni.

— Tak. Ktoś musiał wlać truciznę do tego płynu.

— Czy możliwe jest, by zrobiono to wcześniej, może nawet dużo wcześniej?

— Myślałem o tym, Eliaszu. Dlatego właśnie użyłem słowa „oczywiście" gdy oświadczyłem, że pani Delmarre nie jest bezpośrednio związana ze zbrodnią. Mogła jednak być na miejscu zbrodni wcześniej. Należałoby sprawdzić jej ruchy.

— Więc zróbmy to! Sprawdźmy, czy kiedykolwiek była tu we własnej osobie!

Baley podejrzewał już uprzednio, że robocia logika musi mieć krótki zasięg i oto przekonywał się o tym. Było tak, jak mówił robotyk: są logiczne ale nie są rozsądne.

— Wracajmy do sali spotkań — powiedział — i obejrzyjmy jeszcze raz posiadłość Gruera.

Pomieszczenie lśniło czystością i porządkiem. Żaden ślad nie wskazywał, że przed godziną wił się tu w boleściach człowiek.

Trzy roboty stały pod ścianą w zwykłej postawie uniżonego szacunku.

— Co słuchać z Waszym panem? — spytał Baley.

Środkowy robot odpowiedział — Zajmuje się nim lekarz, proszę pana.

— Czy to oglądanie, czy widzenie?

— Oglądanie, proszę pana.

— Co mówi lekarz? Czy wasz pan będzie żył?

— To jeszcze nie jest pewne, proszę pana.

— Czy dom został przeszukany?

— Starannie przeszukany, proszę pana.

— Czy były oznaki obecności kogoś innego niż Wasz pan?
— Nie, proszę pana.
— A oznaki takiej obecności w przeszłości.
— Żadnych, proszę pana.
— Czy przeszukano teren?
— Tak, proszę pana.
— Czy są jakieś wyniki?
— Nie, proszę pana.

Baley skinął głową — Chcę mówić z robotem, który podawał dziś wieczór do stołu.

— Czeka na zbadanie ,proszę pana. Reaguje nieprawidłowo.
— Czy może mówić?
— Tak, proszę pana.
— Więc sprowadźcie mi go bez zwłoki!

Nastąpiła jednak chwila zwłoki i Baley zaczął:

— Mówiłem…

Daniel wpadł mu w słowo — Te solariańskie roboty porozumiewają się między sobą przez radio. Już wezwano robota, o którego ci chodziło. Opóźnieniu winien jest wstrząs jaki mu się przytrafił. Baley skinął głową. Mógł się domyślić istnienia tego radia. W świecie tak całkowicie zależnym od robotów musiały one jakoś komunikować się ze sobą jeśli system nie miał się załamać. Wyjaśniało to, czemu gdy wezwało się jednego robota zjawiał się ich tuzin, oczywiście tylko wtedy, kiedy było to potrzebne.

Wszedł robot. Kulał, pociągając nogą. Co było tego powodem?

Baley wzruszył ramionami. Nawet u prymitywnych ziemskich robotów nie można było przewidzieć reakcji na uszkodzenia pozytronowych ścieżek. Przerwanie obwodu mogło, jak w tym przypadku skończyć się paraliżem. Dla robotyka mogło to znaczyć wiele, dla laików zupełnie nic.

Baley spytał ostrożnie — Czy pamiętasz płyn, który wlewałeś do szklanki twego pana?

— Thak, proszę pana.

A więc mamy i wadę wymowy.

— Co to był za płyn?
— To była woda, proszę phana.
— Tylko woda? Nic poza tym?
— Thylko woda, proszę phana.
— Skąd ją wziąłeś?
— Ze zbhiornika, proszę pana.
— Czy przed przyniesieniem stała w kuchni?
— Mój phan nie lubił zimnej, proszę phana. Khazał ją nalewać godzinę przed posiłkiem.

Baley pomyślał, że mogło to być na rękę komuś, kto o tym

wiedział.

— Kiedy tylko będzie to możliwe, niech jeden z was połączy mnie z lekarzem, który ogląda waszego pana. Tymczasem, niech mi któryś wyjaśni, jak działa zawór zbiornika. Chcę wiedzieć, jak wygląda u was zaopatrzenie w wodę.

Lekarz już wkrótce był osiągalny. Był to najstarszy kosmita, jakiego Baley kiedykolwiek widział, mógł mieć ponad trzysta lat. Żyły występowały mu na dłoniach a gładko zaczesane włosy były całkiem siwe. Miał zwyczaj stukania paznokciem w przednie zęby, co drażniło Baleya. Nazywał się Olthim Thool.

— Szczęściem, większą część dawki zwrócił — mówił lekarz wciąż jednak istnieje groźba, że nie wyżyje. Cóż za tragedia — westchnął ciężko.

— Co to była za trucizna, doktorze? — spytał Baley.

— Obawiam się, że nie wiem. (klik — klik — klik) — Jak to? Jak wiec go pan leczy?

— Pobudzając bezpośrednio system nerwowo-mięśniowy a poza tym pozwalam by natura zrobiła, co do niej należy — Jego pożółkła twarz, przypominająca znoszony wyrób ze skóry dobrego gatunku miała zadowolony z siebie wyraz — Mamy niewielkie doświadczenie w takich sprawach. Nie przypominam sobie drugiego takiego przypadku w ciągu z górą dwustu lat praktyki.

Baley patrzył na niego z politowaniem — Ma pan przecież jakieś wiadomości na temat trucizn, nieprawdaż?

— O, tak — (Klik — klik) — Wiedzę ogólną.

— Macie książkofilmy, z których mógłby pan zaczerpnąć wiadomości.

— To zajęłoby parę dni. Istnieje bardzo wiele trucizn mineralnych. Używamy środków owadobójczych i nie byłoby niemożliwością uzyskania toksyn bakteryjnych. Nawet posługując się wzorami z filmów trzebaby wiele czasu na zgromadzenie wyposażenia i przygotowanie technik testowania.

— Jeżeli nikt na Solarii nie zna się na tym, — doradził posępnie Baley — proponowałbym skontaktowanie się z innymi światami.

Tymczasem mógłby pan sprawdzić zawór zbiornika na obecność trucizny. Niech się pan tam uda osobiście, jeśli to konieczne i zrobi to.

Baley ostro poganiał czcigodnego Kosmitę rozkazując mu niczym robotowi i zupełnie się nad tym nie zastanawiając. Kosmita zresztą nie protestował.

Doktor Thool miał jednak wątpliwości Jak można zatruć zawór zbiornika? Jestem pewien, że to niemożliwe.

— Prawdopodobnie nie, — zgodził się Baley, — ale tak czy inaczej proszę to dla pewności sprawdzić.

Było to rzeczywiście mało prawdopodobne. Z wyjaśnień robotów

wynikało, że zawór był typowym produktem solariańskiej zapobiegliwości.

Woda wpływająca do zbiornika była uzdatniana. Zapewniano jej właściwą ilość tlenu, a także najróżniejszych jonów, nawet w śladowych ilościach, o ile organizm człowieka ich potrzebował. Było wysoce nieprawdopodobne by jakakolwiek trucizna nie została wychwycona przez któreś z urządzeń kontrolnych.

Jeśliby zbiornik został uznany za bezpieczny znacznie ograniczałoby to możliwy czas. Mogło chodzić wyłącznie o tę godzinę, kiedy karafka (niezakorkowana, pomyślał Baley z goryczą) miała się wolno nagrzewać, zgodnie z zachcianką Gruera.

Doktor Thool spytał marszcząc czoło — Ale jak mam to sprawdzić?

— Na Jozafata! Weźmie pan ze sobą jakieś zwierzę i wstrzyknie mu trochę tej wody albo zmusi je pan do wypicia. Ruszże głową, człowieku! To samo zrobi pan z zawartością karafki i jeśli została zatruta, a musiało tak być, przeprowadzi pan kilka najprostszych testów, opisywanych w filmach. Niechże pan cokolwiek zrobi!

— Chwileczkę! O jakiej karafce pan mówi?

— O karafce z wodą, tę z której robot napełnił szklankę trucizną.

— Ależ, została już umyta, jak sądzę. Z pewnością sprzątnięto]ą rutynowo.

Baley jęknął. Oczywiście: Zachowanie dowodów było niemożliwością gdy tłum pracowitych robotów niszczył je starannie w imię porządku. Powinien był wydać odpowiedni rozkaz ale to nie był przecież jego świat. Nigdy nie nauczy się tu postępować jak należy.

— Na Jozafata!

Nadeszła w końcu wiadomość, że przeszukano posiadłość Gruera i nie wykryto żadnych śladów nieproszonych gości.

— To raczej utrudnia rozwiązanie, Eliaszu. Wygląda na to, że nikt nie może być trucicielem — zauważył Daniel.

Baley, pogrążony w myślach, nie słuchał uważnie. — Co takiego?

…Wcale nie. Wcale nie. Wcale nie. To rozjaśnia sprawę — Nie wyjaśnił tych słów, wiedząc, że Daniel nie zrozumiałby ani nie wierzył w to, co dla niego samego było już niewątpliwa prawdą.

Daniel nie prosił zresztą o wyjaśnienia. Takie wdzieranie się w myśli człowieka, nie byłoby w jego stylu.

Baley chodził tam i z powrotem. Obawiał się nadejścia nocy gdy budził się w nim lek przed otwartą przestrzenia i rosła tęsknota za Ziemią. Pragnął, by coś się działo.

— Może byśmy zobaczyli się znów z panią Delmarre? Każ — robotom nawiązać łączność — zwrócił się do Daniela.

Przeszli do sali spotkań. Baley przyglądał się jak robot wywija swymi zwinnymi metalowymi palcami. Jakieś niejasne myśli

przesłaniały mu ten obraz, pierzchły jednak na widok stołu, nakrytego do obiadu, który zajął nagle połowę sali.

Powitał ich głos Gladii a w chwile później pokażą.'?, się ona sama — Niech cię to nie dziwi, Eliaszu. Jest właśnie pora obiadu. Jak widzisz, jestem odpowiednio ubrana.

Tak też było. Miała na sobie jasnobłękitną suknię z długimi rękawami, spływająca jej aż do kostek. Do szyi i ramion przylegała żółta kreza odrobinę jaśniejsza od jej ułożonych w fale włosów.

— Nie chciałbym ci przeszkadzać przy jedzeniu.

— Jeszcze nie zaczęłam. Może chciałbyś rai towarzyszyć? — Towarzyszyć ci? — Baley spojrzał na nią podejrzliwie.

Zaśmiała się — Wy, Ziemianie, jesteście zabawni. Nie miałam na myśli ciebie we własnej osobie. To przecież byłoby niemożliwe. Idź do swojej jadalni a wtedy będziecie mogli obaj zjeść ze mną razem.

— Ale jeśli stąd wyjdę…

— Twój technik będzie utrzymywał łączność.

Daniel skinął głową. Baley ruszył niepewnie ku drzwiom. Gladia jej stół i otoczenie ruszyły wraz z nim. Gladia uśmiechała się zachęcająco — widzisz? Twój technik utrzymuje połączenie.

Baley i Daniel podróżowali ruchomym chodnikiem, którego Baley zupełnie sobie nie przypominał. Najwyraźniej sale w tej nieprawdopodobnej budowli połączone były różnymi przejściami, z których on znał nieliczne, Daniel zaś, oczywiście wszystkie.

Gladia i jej zastawiony stół towarzyszyli im przez cały czas, przenikając ściany, czasem unosząc się nad posadzką, a czasem nieco się w niej pogrążając.

Baley zatrzymał się, mrucząc — To się zaczyna robić męczące…

— Czy nie kręci ci się w głowie? — spytała natychmiast Gladia.

— Trochę.

— Więc każ swojemu technikowi zatrzymać mój obraz i połącz nas na nowo, kiedy znajdziesz się w jadalni.

— Każę to zrobić, Eliaszu — powiedział Daniel.

Czekał na nich nakryty stół. W talerzach parowała jakaś brunatna zupa, w której pływały kawałki mięsa pokrojonego w kostki, a pośrodku stołu królował przygotowany do krojenia jakiś wielki pieczony ptak. Daniel pomówił z usługującym robotem i oba rozstawione nakrycia umieszczono w jednym końcu stołu.

Jak na dany znak ściana usunęła się, stół pozornie wydłużył, a w jego przeciwległym końcu pojawiła się Gladia. Obie sale i oba stoły połączyły się z taką precyzją, że gdyby nie odmienny styl zastawy stołowej i różne wzory ścian i posadzek można by uwierzyć, że jedzą razem.

— No proszę! — powiedziała z zadowoleniem Gladia — Czy tak nie jest wygodniej?

— Jest bardzo wygodnie — zgodził się Baley. Skosztował zupy, stwierdził że jest wyśmienita i nie żałował sobie — Czy słyszałaś o agencie Gruerze?

Troska pojawiła się w jej twarzy. Odłożyła łyżkę — Czy to nie okropne? Biedny Hannis.

— Mówisz mu po imieniu? Znajomy?

— Znam prawie każdego, kto znaczy coś na Solarii. Tu zresztą wszyscy wszystkich znają.

— Oczywiście! Ilu ich w końcu jest? — pomyślał Baley.

— Znasz więc chyba doktora Althima Thoola? Opiekuje się Gruerem.

Gladia zaśmiała się. Usługujący robot ukroił jej płat mięsa i dołożył kilka małych brunatnych ziemniaczków i nieco marchewki — Oczywiście, że go znam. Mnie też leczył.

— Kiedy to było?

— Po tym… tych kłopotach z moim mężem.

— Czy na tej planecie jest tylko jeden lekarz? — spytał zdumiony Baley.

— Och, nie! — Przez chwilę poruszała wargami, jakby coś — liczyła — Jest ich co najmniej dziesięciu. I jeden młody człowiek, o którym wiem, że studiuje medycynę. Doktor Thool należy do najlepszych. Ma największe doświadczenie. Biedny doktor Thool.

— Dlaczego biedny?

— Ach, wiesz co mam na myśli. To takie okropne zajęcie być lekarzem. Kiedy się nim jest, trzeba widywać ludzi i nawet dotykać ich! Doktor Thool już się z tym pogodził. Nie uchyla się od widzenia się z pacjentem, jeśli uważa to za konieczne. Leczył mnie odkąd byłam dzieckiem. Zawsze był miły i przyjacielski i zawsze miałam wrażenie, że nie miałby nic przeciw widzeniu mnie. Widział mnie, na przykład, ostatnio.

— Po śmierci twego męża?

— Tak. Możesz sobie wyobrazić, co czuł widząc ciało mojego meta i mnie leżącą obok.

— Mówiono mi, że oglądał ciało.

— Ciało tak. Kiedy jednak upewnił się, że żyję i nic mi nie grozi, kazał robotom podłożyć mi poduszkę pod głowę, zrobić mi zastrzyk z czegoś tam i wyruszył. Przyleciał tu odrzutowcem. Naprawdę! Zajęło mu to niecałe pół godziny. Zaopiekował się mną i upewnił, że wszystko w porządku. Byłam tak zamroczona kiedy przyszłam do siebie, że narobiłam wrzasku kiedy mnie dotknął, bo myślałam, że go tylko oglądam. Był strasznie zakłopotany, biedak, ale wiem, że chciał jak najlepiej.

Baley skinął głową — lekarze nie mają chyba wiele do roboty na Solarii?

— Spodziewam się!

— Wiem, że o chorobach zakaźnych nie ma mowy, ale co z zaburzeniami przemiany materii, miażdżycą, cukrzycą i tak dalej?

— To się zdarza i wtedy jest naprawdę okropnie. Lekarze mogą zapewnić takim ludziom znośne życie, przynajmniej jeśli chodzi o ich stan fizyczny ale to najmniej ważne.

— Czyżby?

— Oczywiście. To oznacza, że analiza genetyczna była — niedoskonała. Nie sądzisz chyba, że pozwolilibyśmy rozwijać się cukrzycy?

Każdy u którego wykryto coś takiego musi poddać się bardzo szczegółowym ponownym badaniom. Cofnięty zostaje przydział małżeński, co jest strasznie kłopotliwe dla współmałżonka. To również oznacza, że nie… żadnych… — jej głos przeszedł w szept — dzieci.

— Żadnych dzieci? — Spytał głośno Baley.

Gladia zaczerwieniła się — Nie wypada wymawiać tego słowa! — Dz… dzieci.

— Można się przyzwyczaić — powiedział Baley szorstko.

— Tak, ale jeśli do tego przywyknę, może mi się zdarzyć, że powiem to w towarzystwie, a wtedy nic tylko pod ziemię się zapaść…

W każdym razie, jeśli małżeństwo miało dzieci (widzisz powtórzyłam to słowo) trzeba je odnaleźć i przebadać — to było jedno z zajęć Rikaina, nawiasem mówiąc — i to dopiero kłopot.

Baley pomyślał o Thoolu. Niekompetencja lekarza była naturalnym następstwem uwarunkowań społecznych i nie oznaczała niczego złego. Nie musiała oznaczać. — Można go skreślić, ale cienką kreską — pomyślał.

Przyglądał się jedzącej Gladii. Jej ruchy były zgrabne i eleganckie, apetyt miała normalny. Jego własny ptak był wyśmienity.

Gdy chodziło o jedzenie, Zaziemskie światy potrafiłyby rozpieścić Baleya.

— Co sądzisz, Gladio, o tym otruciu? — spytał.

Podniosła wzrok — Staram się o tym nie myśleć. Może to nie było otrucie.

— To było otrucie.

— Ale przecież nikogo tam nie było.

— Skąd wiesz?

— Tam nikogo nie mogło być. Nie miał żony, odkąd wyczerpał swój limit dz… — wiesz o co mi chodzi. A skoro nie było tam nikogo, kto mógłby podać mu truciznę, jak mógł zostać otruty?

— A jednak został otruty. To fakt, z którym trzeba się pogodzić.

Zachmurzyła się — Czy sądzisz, że sam to zrobił?

— Wątpię. Dlaczego miałby to robić, i to jeszcze publicznie?

— A wiec to się nie mogło zdarzyć, Eliaszu. Nie mogło!

— Przeciwnie, Gladio! Łatwo można było tego dokonać. Chyba odgadłem ,jak to było.

8. Wyzwanie rzucone kosmicie.

Gladia wstrzymała oddech — Ja nie mogę zgadnąć. Czy wiesz kto to zrobił?

Baley skinął głowa — Ten, kto zabił twego męża.

— Jesteś pewien?

— A ty nie? Morderstwo twojego męża było pierwsze w historii Solarii. W miesiąc później mamy następne morderstwo. Czy to może być przypadek? Dwaj mordercy w jednym miesiącu w świecie, który nie zna zbrodni? Przy tym druga ofiara prowadziła śledztwo w sprawie pierwszej zbrodni, stanowiła zagrożenie dla mordercy.

— Więc dobrze! — Gladia zajęła się swoim deserem, mówiąc miedzy jednym a drugim łykiem — Jeśli tak, jestem niewinna.

— Jak to, Gladio?

— No jakże, Eliaszu! W życiu nie byłam nawet w pobliżu posiadłości Gruera, nie mogłam go więc otruć, a jeśli nie — no to cóż.

nie zabiłam też męża.

Baley jednak milczał. Dobry humor Gladii zniknął i opadły jej kąciki ust — Czy tak nie uważasz, Eliaszu?

— Nie mam pewności — odpowiedział Baley — Jak ci mówiłem.

znam sposób, którego użyto by otruć Gruera. Każdy mógłby się nim posłużyć, czy był kiedyś u Gruera, czy nie.

Gladia zacisnęła pięści — Chcesz powiedzieć, że to zrobiłam?

— Tego nie mówię.

— Ale dajesz do zrozumienia — wargi jej zbielały z gniewu, na policzkach wystąpiły plamy — Czy dlatego chciałeś mnie oglądać?

Zęby mi zadawać podchwytliwe pytania, złapać mnie w pułapkę?

— Chwileczkę…

— Udawałeś, że mi współczujesz, że mnie rozumiesz. Ty… ty Ziemianinie!

Ostatnie słowa wymówiła już ochrypłym głosem.

Daniel odezwał się zwracając ku Gladii swą idealnie spokojną twarz — Proszę wybaczyć, pani Delmarre ale tak pani ściska nóż, ze może się skaleczyć. Proszę uważać.

Gladia spojrzała z wściekłością na krótki, tępy i niewątpliwie całkiem nieszkodliwy nóż, który trzymała w ręku. Uniosła go raptownie.

— Nie możesz mnie dosięgnąć, Gladio — rzekł Baley.

— A kto by cię chciał dosięgnąć? Uch — wzdrygnęła się z przesadnym wstrętem i zawołała — Przerwać połączenie!

Ostatnie słowa musiały być skierowane do niewidocznego robota i oto jej połowa sali znikły. Znów pojawiła się ściana.

— Czy się mylę, czy też uważasz ją za winną — spytał Daniel.

— Mylisz się — odpowiedział Baley. — Ktokolwiek to zrobił, potrzebował zupełnie innych cech niż je ma ta biedaczka.

— Ma temperament.

— I co z tego? Większość ludzi go ma. Pamiętaj, że ona żyje w stałym napięciu. Gdyby ktoś naskoczył na mnie tak, jak na nią, nie skończyłoby się na wywijaniu głupim małym nożem.

— Nie mogę wydedukować, jak można otruć kogoś na odległość.

— Wiem, że nie możesz — powiedział z satysfakcją Baley. Rozwiązanie tej akurat łamigłówki nie jest w twojej mocy.

Daniel przyjął te słowa ze zwykłym spokojem.

— Mam dla ciebie dwa zadania, Danielu — rzekł Baley.

— Jakie to zadania, Eliaszu?

— Po pierwsze, skontaktuj się z doktorem Thoolem i spytaj o stan pani Delmarre po tym, jak zabito jej męża, jak długiego leczenia wymagała i tak dalej…

— Czy zależy ci na czymś szczególnym?

— Nie, po prostu gromadzę dane. W tym świecie to niełatwa sprawa. Po drugie: dowiedz się, kto zastąpi Gruera na stanowisku dyrektora służby bezpieczeństwa i załatw mi połączenie z nim jutro rano. Co do mnie — powiedział, nie usiłując ukryć niechęci — idę spać i mam nadzieję, że w końcu zasnę.

— Czy myślisz — spytał z rozdrażnieniem — że mają tu jakieś przyzwoite książkofilmy.

— Radziłbym wezwać robota — bibliotekarza — odpowiedział Daniel.

Rozmowa z robotem zirytowała Baleya. Wolałby sam wybierać książki.

— Nie, — mówił — nie chodzi o klasykę. Chodzi mi o powieści z życia współczesnej Solarii. Przynieś mi ich z pół tuzina.

Robot podporządkował się (bo musiał) ale nawet sięgając manipulatorami, by wydobyć książkofilmy z przegródek, plótł coś z uniżonością o innych działach biblioteki.

— Może panu spodobałyby się powieści przygodowe z czasów pionierskich, a może znakomite przeglądowe opracowania z dziedziny chemii z ruchomymi modelami atomów, a może coś z fantasy, a może z galaktografii? — Ta lista me miała końca.

Baley czekał w ponurym milczeniu na swoje pół tuzina książek, powiedział — Wystarczy — Sięgnął (własnymi rakami) po czytnik i wyszedł.

Gdy robot poszedł za nim, pytając — Czy życzy pan sobie pomocy przy dostrajaniu, proszę pana? — Baley odwrócił się i warknął — Nie! Zostań, gdzie jesteś.

Robot skłonił się i przystanął.

Leżąc potem w łóżku, którego szczyt jarzył się światłem, Baley

pożałował lej decyzji. Czytnik był nieznanego mu typu. Zawziął się jednak i metodą cofania się i posuwania drobnymi kroczkami naprzód zdołał przecież coś osiągnąć. Jeżeli nawet ostrość była nienajlepsza, nie była to wysoka cena niezależności od robotów.

W ciągu godziny przejrzał cztery z sześciu filmów. Rozczarowały go.

Miał swoją teorię. Sądził, że nie ma lepszego sposobu poznania życia i poglądów w te sprawy, jeśli miał prowadzić śledztwo.

‘Trzeba było jednak porzucić teorię. Pobieżna lektura ukazała mu ludzi, którzy mieli śmieszne problemy, zachowywali głupio i reagowali w niezrozumiały sposób. Dlaczego jakaś kobieta miałaby porzucać pracę dowiedziawszy się, że jej dziecko obrało ten sam zawód?

Dlaczego odmawiała wyjaśnienia powodów, dopóki nie wynikły z tego przykre i śmieszne komplikacje? Dlaczego lekarz i artystka mieliby się wstydzić tego, że przydzielono ich sobie? Co było tak szlachetnego w upieraniu się lekarza przy prowadzeniu badań nad robotami?

Wprowadził piątą powieść do czytnika i ustawił ostrość. Był piekielnie zmęczony. Był tak zmęczony, że nie zapamiętał z niej (była to powieść sensacyjna) niczego, oprócz początku, w którym nowy właściciel posiadłości wchodzi do domu i przegląda sprawozdania i rachunki, które pokazuje mu pełen szacunku robot.

Zasnął zapewne z czytnikiem przy oczach i przy zapalonych światłach a robot wszedł, wyjął mu z rąk czytnik i zgasił światło.

W każdym razie zasnął i śnił o Jessie. Wszystko było po staremu. Nigdy nie opuszczał Ziemi. Właśnie udawali się do komunalnej stołówki a potem mieli oglądać z przyjaciółmi jakiś spektakl subeteryczny. Czekała ich przejażdżka drogą ekspresową. Przyglądali się ludziom i nie martwili o losy świata. Baley był szczęśliwy.

A Jessie była piękna. Straciła nieco na wadze. Dlaczego była aż tak szczupła? I tak piękna?

I jeszcze coś było nie tak. Świeciło nad nimi słońce. Gdy spojrzał w górę, zobaczył tylko sklepienie, podstawę górnych poziomów, a jednak słońce świeciło zalewając wszystko jasnym blaskiem i nikogo to nie przerażało.

Baley obudził się wstrząśnięty. Kazał robotom podawać śniadanie a do Daniela nawet się nie odezwał. Nic nie mówił, o nic nie pytaj, wypił znakomitą kawę, nie czując jej smaku.

Dlaczego śnił o tym słońcu, widzialnym i niewidzialnym zarazem? Mógł zrozumieć to, że śni o Ziemi i o Jessie ale co miało do tego słońce? Tak czy inaczej, dlaczego miałby się tym martwić?

— Partnerze Eliaszu! — odezwał się cicho Daniel.

— Co takiego?

— Za pół godziny mamy mieć połączenie z Corwinem Attlebishem. Jesteśmy umówieni.

— Kto to, u diabła jest ten Corwin Jakiś tam — spytał ostro i dolał sobie kawy.

— Był zastępcą Gruera, Eliaszu, a obecnie jest dyrektorem służby bezpieczeństwa.

— Daj mi go!

— Spotkanie — jak mówiłem, ma się odbyć za pół godzin.

— Nie szkodzi. Daj mi go zaraz. To rozkaz!

— Spróbuję, Eliaszu. On jednak może nie przyjąć wezwania.

— Zaryzykujmy, Danielu. Zrób to.

Dyrektor służby bezpieczeństwa przyjął wezwanie i po raz pierwszy na Solarii ujrzał Baley Kosmitę, który wyglądał tal:, jak sobie Ziemianie wyobrażali Kosmitę. Attlebish był wysoki, szczupły i opalany. Miał piwne oczy i wydatny podbródek.

Przypominał nieco Daniela, o ile jednak Daniel miał twarz idealną, prawie olimpijską, w twarzy Corwina Attlebisha były cechy człowieczeństwa.

Attlebish golił się. Mały ołówek abrazyjny wyrzucał strumień czas.?????-, który unosił i rozpylał zarost. Baley rozpoznał ten znany mu tylko ze słyszenia przyrząd.

— Pan jest tym Ziemianinem? — spytał Attlebish, ledwie otwierając usta, gdy chmurka pyłu przelatywała mu przed nosem.

— Eliasz Baley, agent C-7. Pochodzę z Ziemi.

— Zjawia się pan za wcześnie — Attlebish wyłączył swą maszynkę do golenia i rzucił ją gdzieś poza zasięg widoczności. — Co pan sobie myśli?

Taki ton nie spodobałby się Baleyowi nawet gdyby był w lepszym humorze. Teraz go to rozwścieczyło. Spytał — Jak się czuje dyrektor Gruer?

— Jeszcze żyje. Chyba będzie żył — odpowiedział Attlebish.

Baley skinął głową — Wasi truciciele nie mają pojęcia o dawkowaniu. Brak im doświadczenia. Podali Gruerowi zbyt dużą dawkę, no i zwrócił ją. Połowa tej ilości zabiłaby go.

— Truciciele? Nie ma dowodów, że to było otrucie.

Baley wytrzeszczył oczy — Na Jozafata! Co to mogłoby być innego?

— Wiele rzeczy może się człowiekowi przytrafić — Attlebish sprawdzał palcami dokładność golenia. — Niełatwo powiedzieć coś o przemianie materii u kogoś, kto ma ponad dwieście pięćdziesiąt.

— Czy zasięgnął pan opinii lekarzy?

— Sprawozdanie doktora Thoola…

To wystarczyło. Gniew kipiący w Baleyu wybuchnął. Krzyknął na całe gardło — Nie obchodzi mnie doktor Thool. Mówię o

kompetentnych lekarzach! Wasi lekarze tak samo nie znają się na niczym jak wasi detektywi. Musieliście sprowadzać detektywa z Ziemi, Sprowadźcie też lekarza.

Solarianin patrzył na Baleya lodowatym wzrokiem — Czy chce mnie pan pouczać?

— Tak, mniejsza o rangę. Może pan być moim gościem. Gruer został otruty. Byłem tego świadkiem. Wypił, zemdliło go, zaczął jęczeć, że go pali gardło. Biorąc pod uwagę, że prowadził dochodzenie…

— Baley urwał.

— Jakie dochodzenie? — spytał Attlebish.

Baley uświadomił sobie, że o dziesięć stóp od niego siedzi jak zwykle Daniel. Gruer nie chciał aby przedstawiciel Aurory dowiedział się o dochodzeniu. Powiedział bez przekonania — Były pewne implikacje polityczne.

Attlebish skrzyżował ramiona. Miał nieobecny, znudzony i trochę nieprzyjazny wyraz twarzy — Na Solarii nie ma polityki. Hannis Gruer jest dobrym obywatelem ale ma za dużo wyobraźni. Usłyszawszy o panu, upierał się by pana sprowadzić. Zgodził się nawet na pańskiego towarzysza z Aurory, bo taki był warunek. Nie uważałem tego za konieczne. Wszystko jest jasne. Rikaina Delmarre zabiła żona. Dowiemy się jak i dlaczego. Nawet zresztą, gdybyśmy się nie dowiedzieli i tak zostanie poddana analizie genetycznej i podejmiemy odpowiednie kroki. Co do Gruera, pańskie fantazje o otruciu są bez znaczenia.

Baley z niedowierzaniem spytał — Chce pan powiedzieć, że jestem tu zbędny?

— Tak właśnie uważam. Może pan wracać na Ziemie. Doradzałbym nawet pośpiech.

Baley był zaskoczony własną reakcją. Krzyknął — Nie proszę pana! Ja się stąd nie ruszę!

— Wynajęliśmy pana, agencie. Możemy pana zwolnić. Wróci pan na swoją planetę — Nie! Radzę słuchać! Pan jest Kosmitą a ja Ziemianinem, ale muszę stwierdzić, że pan się po prostu boi.

— Proszę cofnąć te słowa! — Attlebish patrzył wyniośle na Ziemianina z wysokości sześciu stóp.

— Boi się pan jak wszyscy diabli. Sądzi pan, że jeśli będzie się pan wgłębiał w tę sprawę, przyjdzie kolej i na pana. Ustępuje im pan, by pozostawili pana w spokoju, darowali panu pańskie marne życie — Baley nie miał pojęcia, kim byli „oni”. Uderzał na oślep i cieszył się, że dźwięk tych słów wyprowadził tamtego z równowagi.

— Wyjedzie pan — Attlebish wskazał palcem z wściekłością i to w ciągu godziny. Nie będzie żadnych dyplomatycznych względów zapewniam pana!

— Może pan sobie darować te groźby, Kosmito! Wiem, że ma pan Ziemię za nic, ale nie jestem sam. Mój partner. Daniel Olivaw jest z Aurory. Niewiele mówi, nie po to tu jest. Mówienie to moja sprawa.

Potrafi jednak diabelnie dobrze słuchać. Nie zapomina ani słowa!

— Krótko mówiąc panie Attlebish — Baley z przyjemnością pominął tytuły — Aurorę i czterdzieści parę innych światów interesuje, jakie to małpie figle stroicie tu, na Solarii. Jeśli wyrzuci pan nas, następna delegacja odwiedzi Solarię na okrętach wojennych.

Przekonaliśmy się już na Ziemi, jak działa ten schemat. Urażona duma oznacza okręty wojenne w rewanżu.

Attlebish spojrzał na Daniela z namysłem. Spuścił nieco z tonu — Nie dzieje się tu nic, co zasługiwałoby na uwagę.

— Gruer myślał inaczej i mój partner o tym wie.

Daniel przeniósł przy tych słowach wzrok na Ziemianina, ale Baley nie zważał na to. — Zamierzam kontynuować to śledztwo.

Normalnie zrobiłbym wszystko by móc wrócić na Ziemie. Nie mogę o tym myśleć spokojnie. Gdybym był właścicielem tego zarobocianego pałacu oddałbym go razem z robotami, z panem i pańskim ohydnym światem w dodatku, za bilet powrotny na Ziemię.

— Nie zamierzam jednak odchodzić na pański rozkaz. Nie odejdę dopóki nie zakończę powierzonej mi sprawy. Niech pan spróbuje się mnie pozbyć wbrew mej woli a zajrzy pan w lufy kosmicznej artylerii!

— Poza tym, od tej chwili to śledztwo będzie prowadzone po mojemu. Ja nim będę kierował. Będę widział ludzi których zechcę zobaczyć, widział, a nie oglądał. Żądam na to oficjalnej zgody pańskiego urzędu.

— To niemożliwe, to nie do przyjęcia…

— Danielu, wytłumacz mu!

Humanoid przemówił beznamiętnym tonem — Jak poinformował pana, dyrektorze Attlebish mój partner, zostaliśmy tu skierowani by przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa. To sprawa zasadniczej wagi. Nie zamierzamy oczywiście, naruszać któregokolwiek z waszych zwyczajów. Być może widywanie ludzi nie będzie konieczne. byłoby jednak pomocne, gdyby udzielił pan zgody na te widzenia, które okażą się niezbędne, jak tego żądał agent Baley, Co do opuszczenia tej planety wbrew naszej woli, nie doradzalibyśmy tego, chociaż byłoby nam przykro gdyby nasz dalszy pobyt wydał się panu, czy komukolwiek na Solarii, uciążliwy.

Baley słuchał tych napuszonych zdań, z zimnym zacięciem ust, które nie było uśmiechem. Dla kogoś, kto wiedział, że Daniel jest robotem, jasne było ze usiłuje on nie urazić nikogo, Baleya ani Attlebisha. Dla kogoś jednak, kto brał Daniela za przedstawiciela Aurory, najstarszego i najpotężniejszego z Zaziemskich światów, brzmiało to jak seria zawoalowanych gróźb.

Attlebish dotknął palcami czoła — Pomyśle o tym.

— Byle nie za długo — powiedział Baley — bo chcę złożyć komuś wizytę w ciągu godziny i to nie w stereowizji. Koniec oglądania.

Dał znać robotowi by przerwał połączenie i przez chwilę jeszcze patrzył z niedowierzaniem w miejsce, które zajmował Attlebish. Nie zaplanował niczego z tego, co zaszło. Był to odruch, u przyczyn którego leżał jego cen — i niepotrzebna arogancja Attlebisha. Cieszy i się jednak ze ta'; się stało. Miał, czego chciał. Przejął ster.

— Tak właśnie należy rozmawiać z tym parszywym Kosmitą! pomyślał Gdyby tak cała ludność Ziemi mogła tego posłuchać! Przy tym tamten wyglądał jak typowy Kosmita. Tym lepiej.

Nie rozumiał jednak, dlaczego tak gwałtownie pragnął tych widzeń. Widzenie (nie oglądanie) było częścią jego planu. Mówił jednak o tym w takim uniesieniu, że gotów był rozwalić ściany tego domu, choć było to, oczywiście bezcelowe.

— Dlaczego?

Było coś oprócz tej sprawy, co go pobudziło, coś co nie miało nic wspólnego z bezpieczeństwem Ziemi. Dziwne, ale przyszedł mu na myśl sen o słońcu świecącym poprzez wszystkie nieprzejrzyste poziomy olbrzymich podziemnych miast Ziemi.

Daniel powiedział z namysłem (o ile dawało się to odczytać z jego głosu) — Czy to aby bezpieczne, Eliaszu? Zastanawiam sio nad tym.

— W każdym razie to poskutkowało. Nie był to zresztą bluff.

Myślę, że dla Aurory jest naprawdę ważne wykrycie tego co się dzieje na Solarii i że Aurora o tym wie. Przy okazji, dziękuje żeś nie sprostował moich słów.

— To całkiem naturalne. Zaprzeczyć ci znaczyłoby zaszkodzić ci, Attlebish zaś poniósł szkodę raczej nieznaczna. Powtarzam jednak, że twoja nowa propozycja jest niebezpieczna.

— O jakiej propozycji mówisz?

— O twoim zamiarze widywania ludzi. Chodzi o przeciwieństwo oglądania. Nie aprobuję tego.

— Rozumiem, o co chodzi, Nie proszę o aprobatę.

— Otrzymałem instrukcje, partnerze Eliaszu. Nie wiem, co ci powiedzie! dyrektor — Gruer podczas mojej nieobecności zeszłego wieczoru. Ze zmiany twego podejścia do sprawy wynika jedno, że coś ci powiedział. Jeślibym miał zgadywać, musiał cię uprzedzić o możliwym zagrożeniu innych planet wynikającymi z rozwoju sytuacji na Solarii.

Baley sięgnął po fajkę. Robił to od czasu do czasu i zawsze wtedy irytował się, nie znajdując jej i przypominając sobie, że nie może palić. Powiedział — Jej s, ich tylko dwadzieścia tysięcy. Jakie mogą stanowić zagrożenie?

— Moich zwierzchników na Aurorze niepokoi od pewnego czasu

Solaria. Nie powiedzieli mi wszystkiego…

— …A i tego, co ci powiedzieli, nie wolno ci powtórzyć, nieprawdaż?

— Trzeba będzie wiele wyjaśnić, zanim będziemy mogli mówić o tym swobodnie — odpowiedział Daniel.

— Więc dobrze, jakie mogą być dokonania Solarian? Nowe bronie? Opłacanie działalności wywrotowej? Kampania indywidualnych zabójstw? Co może zdziałać dwadzieścia tysięcy przeciw setkom milionów Kosmitów?

Daniel milczał — Wiesz, ze zamierzam to wyjaśnić — Ale chyba nie w sposób, jaki proponujesz. Eliaszu? Mam polecenie, by jak najtroskliwiej strzec twego bezpieczeństwa.

— Tak czy inaczej musiałbyś to robić Pierwsze Prawo!

— A nawet coś więcej. Gdyby zaistniał konflikt miedzy bezpieczeństwem twoim a czyimś, mam bronić twojego — Wiem, dlaczego. Gdyby mi się coś stało, me mógłbyś pozostać na Solarii. Wynikłyby komplikacje, których nie życzy sobie Aurora. Póki zaś żyję, jestem tu na prośbę Solarii i możemy użyć tego argumentu, by ich zmusić do zatrzymania nas. Moja śmierć zmienia wszystko, masz wiać rozkaz zachowania mnie przy życiu. Czy me mam racji?

— Nie ośmielam się poddawać w wątpliwość otrzymanych rozkazów.

— W porządku. Możesz się nie martwić Jeśli uznam za konieczne widzieć kogoś, nie zabije mnie otwarta przestrzeń. Przeżyje i chyba nawet przywykną.

— Chodzi me tylko o otwartą przestrzeń, Eliaszu. Nie pochwalam zamiaru widywania Solarian.

— Chodzi o to, ze tego nie lubią.

— Tym gorzej dla nich. Niech wkładają rękawice i noszą filtry w nosie. Niech odkażają powietrze, a jeśli widzenie mnie we własnej osobie jest dla nich obraza moralności, mech się krzywią i niech się rumienią. Uważam widywanie ich za konieczne i będę to robił.

— Nie mogę ci na to pozwolić.

— Ty nie możesz pozwolić mnie?

— Chyba rozumiesz, Eliaszu, dlaczego?

— Nie rozumiem!

— Weź pod uwag,., że dyrektor Gruer, główna solariańska osobistość w tym śledztwie, został otruty. Jeśli pozwolę ci postępować według twego planu, będzie to oznaczało narażenie twej osoby. Będziesz nieuchronnie następna ofiarą. Jak więc mógłbym ci pozwolić opuścić ten niebezpieczny dom?

— A jak możesz mnie zatrzymać. Danielu?

— Sil.,, jeśli to będzie konieczne, partnerze Eliaszu — powiedział chłodno Daniel. — Nawet gdybym musiał cię zranić. Zginiesz z

pewnością, jeśli tego me zrobię.

9. Szach robotowi.

— Zranisz mnie, by mnie zachować przy życiu, Danielu?

— Nie sądzę, by to było konieczne, Eliaszu. Wiesz, że jestem silniejszy i nie będziesz się Opierał W razie konieczności jednak będę musiał cię zranić.

— Mógłbym cię zaraz na miejscu zastrzelić — powiedział Baley.

Mnie nic nie powstrzymuje — Przewidziałem to. że mógłbyś zająć takie stanowisko w jakimś momencie naszych obecnych stosunków, partnerze Eliaszu.

Przyszło mi to na myśl, kiedy zacząłeś zachowywać się agresywnie!

w pojeździe. Kiedy więc zasnąłeś, moja pierwszą czynnością było rozładowanie twojego blastera.

Baley zagryzł wargi. Sięgnął do kabury, wydobył broń i spojrzał na licznik. Wskazywał zero.

Przez chwilę ważył w roku bezużyteczny kawał metalu. Mógłby cisnąć nim w głowę Daniela, ale po co? Robot zdążyłby się uchylić.

Schował blaster. Naładuje go przy pierwszej okazu — Nie uda ci się racje! oszukać, Danielu!

— Jak to, Eliaszu?

— Zachowujesz sio nazbyt władczo. Całkowicie mnie zneutralizowałeś. Czy jesteś robotem?

— Miałeś już kiedyś co do tego wątpliwości.

— Przed rokiem na Ziemi, miałem wątpliwości czy R. Daniel Olivaw jest robotem okazał D się, ze jest Teraz jednak pytani' czy ty jesteś R. Danielem?

— Jestem nim.

— Doprawdy? Daniela zaprojektowano by dokładnie naśladował Kosmitę. Czemu nie miałby istnieć Kosmita, j dokładnie naśladujący Daniela?

— Jaki miałoby to cel?

— Prowadzenie tego śledztwa wymaga więcej inicjatywy i zdolności niż mógłby ich mieć robot. Przyjmując! role Daniela i pozwalając mi uważać się za szefa, miałbyś mnie pod kontrola,, dając mi fałszywe poczucie wyższości. W końcu mnie zawdzięczasz tę prace, wiec powinienem pozostać uległy.

— Wcale tak nie jest, Eliaszu.

— Czemu więc wszyscy Solarianie, z którymi mieliśmy do czynienia uznali cię za człowieka? Są przecież biegli w robotyce. Czy tak łatwo ich oszukać? Wydaje mi się, że oni wszyscy nie mogą się mylić. Dużo bardziej prawdopodobne jest, że to ja się myliłem.

— Wcale nie, partnerze Eliaszu.

— Udowodnij to — powiedział Baley, zbliżając się do stołu. Nie będziesz miał z tym trudności, jeżeli jesteś robotem. Pokaż, że masz metal pod skórą!

— Zapewniam cię… — zaczął Daniel.

— Pokaż ten metal! — rzekł szorstko Baley — To rozkaz. A może nie musisz słuchać rozkazów?

Daniel rozpiął koszulę. Ukazała się gładka, brązowa skóra. Palce Daniela nacisnęły mocno tuż pod prawą brodawką. Skóra i mięśnie rozszczepiły się bezkrwawo na całej długości klatki piersiowej i spod spodu błysnął metal.

W tym momencie palce Baleya oparte na krawędzi stołu przesunęły się o pół cala, popychając płytkę kontaktową. Natychmiast pojawił się robot.

— Nie ruszaj się Danielu! — krzyknął Baley. — To rozkaz!

Daniel stał nieruchomo, jakby uleciało z j niego życie. Baley spytał robota — Czy możesz sprowadzić jeszcze! paru chłopców nie wychodząc samemu?

— Tak, proszę pana — odpowiedział robot. Pojawiły się jeszcze dwa roboty. Cała trójka ustawiła się w szeregu.

— Chłopcy! — przemówił do nich Baley. — Czy widzicie ten twór, który uważaliście za człowieka?

Sześcioro płonących oczu zwróciło się ku Danielowi. Roboty odpowiedziały uniżono — Widzimy, proszę pana.

— Czy widzicie, że ten niby człowiek jest w istocie robotem, tak jak wy, że jego wnętrze jest z metalu, że tylko wygląda jak człowiek?

— Tak, proszę pana!

— Nie musicie wykonywać jego rozkazów, rozumiecie?

— Tak, proszę pana!

— Ja natomiast jestem naprawdę człowiekiem…

Roboty zawahały się. — Teraz pewnie niczego, co wygląda jak człowiek, nie będą uważały za człowieka — pomyślał Baley.

Potem jednak jeden z robotów oświadczył — Pan jest człowiekiem, proszę pana. — Baley odetchnął.

— Możesz się już ruszać, Danielu.

Daniel przyjął swobodniejszą pozycję i powiedział chłodno A więc twoje wątpliwości co do mojej tożsamości to był po prostu podstęp ułożony aby wyjawić moją naturę tamtym!

— Baley odwrócił wzrok. — To tylko maszyna. Nie oszukuje się maszyny!, nie mógł jednak pozbyć się uczucia wstydu. W Danielu, nawet kiedy stał tak, z otwartą klatką piersiową było coś ludzkiego, coś co mogło być zdradzone.

— Danielu, zaniknij to i posłuchaj. Nie jesteś silniejszy od tych trzech robotów. Zgadzasz się?

— To oczywiste, partnerze Eliaszu.

— W porządku! Co do was chłopcy, — Baley zwrócił się do trzech robotów — nie wolno wam nikomu mówić, że Daniel jest Robotem.

Nigdy i nikomu, chyba że otrzymacie ode mnie i tylko ode mnie inne polecenie.

— Dziękuję! — wtrącił Daniel cicho.

— Temu robotowi o ludzkim wyglądzie nie wolno jednak mi przeszkadzać. Jeśli będzie tego próbował macie go powstrzymać, uważając by go nie uszkodzić. Nie wolno mu oglądać ani widzieć nikogo z ludzi, oprócz mnie, ani żadnych robotów, oprócz was. Ma przebywać w tej sali. Wy też tu pozostańcie. Zwalniam was z innych obowiązków. Czy to jasne?

— Tak, proszę pana — odezwał się Chór głosów.

— Daniel stał z opuszczonymi rękami — Nie wolno mi przez swą bezczynność dopuścić do wyrządzenia ci krzywdy, Eliaszu, ale w tych okolicznościach pozostała mi tylko bezczynność. Nie mogę nic zrobić.

Mam nadzieję, że wyjdziesz z tego zdrów i cały.

— Otóż to — pomyślał Baley. — To przykład robociej logiki.

Logika mówi Danielowi, ze znalazł się w szachu. Rozsądek, gdyby go miał, powiedziałby mu że trudno wszystko przewidzieć i że druga strona może się pomylić. Nic z tego jednak. Robot jest logiczny ale nie jest rozsądny.

Baley znów poczuł ukłucie wstydu. Nie mógł się powstrzymać przed próbą pocieszenia tamtego — Danielu, gdyby mi nawet groziło niebezpieczeństwo, a tak nie jest, — dodał szybko, spojrzawszy na inne roboty — wykonywałbym jedynie swoje obowiązki. Płacą mi za to. Mam obowiązek nie dopuścić, by ludzkość poniosła szkodę. To tak jak z twoim obowiązkiem ochrony pojedynczego człowieka. Rozumiesz?

— Nie rozumiem, partnerze Eliaszu.

— Nie jesteś do tego stworzony. Daję ci słowo, że gdybyś był człowiekiem, rozumiałbyś to.

Daniel skinął przyzwalająco głową i pozostał na miejscu gdy Baley ruszył ku drzwiom. Roboty rozstąpiły się by go przepuścić. Ich fotoelektryczne oczy utkwione były w Danielu.

Baley szedł ku swobodzie. Serce biło mu szybciej. Nagle podskoczyło. Z drugiej strony drzwi stał robot.

Czyżby coś było nie w porządku?

— O co chodzi, chłopcze? — warknął.

— Przesyłka do pana. Z biura dyrektora służby bezpieczeństwa Attlebisha.

Baley wziął do ręki kapsułkę, która natychmiast się otworzyła.

Nie zaskoczyło go to. Solaria miała w aktach jego odciski palców (kapsuła otwierała się przy zetknięciu z jego liniami papilarnymi).

Przeczytał pismo. Była to oficjalna zgoda na widywanie osób,

które zechce przesłuchać, za zgodą tych osób, które jednak zobowiązano do udzielenia „agentom Baleyowi i Olivawowi” wszelkiej możliwej pomocy.

Attlebish skapitulował tak całkowicie, że jako pierwsze wypisał nazwisko Ziemianina. Wróżyło to śledztwu jak najlepiej. Wreszcie będzie prowadzone tak, jak powinno.

Baley znów leciał samolotem jak niedawno z Nowego Jorku do Waszyngtonu. Tym razem było jednak inaczej. Okna w tym samolocie były odsłonięte i lśniły błękitem. Był piękny, słoneczny dzień.

Baley próbował nie zwijać się w kłębek. Krył głowę w kolanach tylko wtedy gdy naprawdę już nie mógł wytrzymać. Miał, czego sam chciał. Poczucie wolności, wrażenie triumfu po zwycięstwie nad Attlebishem i Danielem, wymuszenie na Kosmitach uznania godności Ziemi, wszystko to zobowiązywało. Zaczął od tego, że przeszedł pod gołym niebem do samolotu. Lekki zawrót głowy wydał mu się zabawny. W przypływie pewności siebie polecił nie zasłaniać okien.

— Muszę do tego przywyknąć — myślał, wpatrując się w błękit, dopóki serce nie zaczęło mu bić gwałtownie a ściskanie w gardle stało się trudne do zniesienia.

Musiał zamykać oczy i chować głowę w ramiona w coraz krótszych odstępach czasu. Jego pewności siebie z każdą chwilą ubywało i nawet dotyk świeżo naładowanego blastera nie mógł tego zahamować.

Próbował skupić się na swoich planach. Musi najpierw poznać zwyczaje tej planety, narysować tło do którego wszystko inne będzie pasować, albo straci sens.

Zobaczyć socjologa!

Spytał robota o nazwisko najbardziej znanego socjologa na Solarii. Dobrą strona kontaktów z robotami było to, że nie stawiały pytań. Robot podał nazwisko i zauważył, że jest właśnie pora lunchu, zapewne więc socjolog poprosi o przesunięcie spotkania.

Pora lunchu? Nie bądź śmieszny! — powiedział ostro Baley. Do południa jeszcze dwie godziny.

— Używam czasu lokalnego, proszę pana.

Baley wytrzeszczył oczy, ale po chwili zrozumiał, o co chodzi W Miastach Ziemi dzień i nie następowały po sobie stosowanie do wymagań społeczeństwa. Na planecie zaś, jak ta wystawionej ku słońcu dzień i noc nie były wcale sprawą wyboru. Trzeba było przyjąć, chcąc nie chcąc, narzuconą kolejność ich Następowania po sobie.

Baley spróbował wyobrazić sobie świat jako kulę oświetlaną w miarę obracania się. Niełatwo mu to przyszło i poczuł coś w rodzaju pogardy dla pyszałkowatych kosmitów, którzy w tak podstawowej kwestii jak upływ czasu zdali się na kaprysy planet.

— Tak czy owak, skontaktuj się z nim.

Kiedy samolot wyładował roboty wyszły na spotkanie. Baley przekonał się, ?Ą cały się trzęsie.

— Podaj | mi ramie, chłopcze — mruknął do najbliższego robota.

Socjolog czekał w hallu. Uśmiechnął się półgębkiem — Pan Baley! Dobry wieczór!

— Dobry wieczór panu! Czy byłby pan uprzejmy kazać zasłonić okna? — poprosił Baley goniąc resztkami tchu.

— Są już zasłonięte. Wiem coś niecoś o ziemskich zwyczajach.

Proszę za mija.

Baley radził już sobie bez pomocy robota. Szedł za gospodarzem przez labirynt korytarzy a kiedy w końcu usiadł w wielkiej stylowej komnacie, rajd był, że może odpocząć.

W niszach ściennych stały różowo-złote abstrakcyjne rzeźby.

Przyjemnie było na nie patrzeć. Nie nasuwały zbyt oczywistych skojarzeń. Wielkie pudło z wiszącymi białymi cylindrami i licznymi pedałami wyglądało na instrument muzyczny.

Kosmita wyglądał dokładnie tak samo, jak podczas seansu łączności tego dnia. Był wysoki, szczupły, siwowłosy. Miał trójkątną twarz, wydatny nos, głęboko osadzone bystre oczy.

Nazywał się Anzelmo Quemot.

Przyglądali się sobie aż w końcu Baley poczuł że musi już polegać na swym głosie. Jego pierwsze słowa, zupełnie niezaplanowane, nie miały nic! wspólnego ze śledztwem.

— Czy mógłbym się czegoś napić?

— Napić? Myśli pan o wodzie? — Spytał socjolog nieco zbyt wysokim głosem?

— Wolałbym coś mocniejszego.

Socjolog zrobił taką minę, jakby nie słyszał o obowiązkach gościnności. — I pewnie tak było — myślał Baley. W świecie gdzie jedynie oglądano się! nawzajem, nie było zwyczaju częstowania gości.

Robot przyniósł emaliowany pucharek. Napój w nim był jasnoróżowy. ‘Baley powąchał ostrożnie i jeszcze ostrożniej skosztował.

Pierwszy łyk wyparował, pozostawiając miłe wrażenie gorąca. Następny był już bardziej materialny.

— Może i jeszcze trochę?

— Może | później, dziękuję. Bardzo to uprzejmie, że zgodził się pan mnie widzieć.

Quemot usiłował się uśmiechnąć ale nie zdołał. — Minęło wiele czasu odkąd robiłem takie rzeczy! — Aż się skręcał, mówiąc to.

— Musi to panu sprawiać kłopot.

— Owszem — Quemot odszedł w drugi koniec sali i obrócił stojący tam fotel tak, że kiedy usiadł nie patrzył na Baleya. Zaciskał urękawiczone dłonie. Nozdrza mu drżały.

Baley wypiwszy czuł miłe ciepło i odzyskał nieco pewności siebie.

— Co pan właściwie czuje w mojej obecności, doktorze?

— To bardzo osobiste pytanie — mruknął socjolog.

— Wiem. Jak panu mówiłem prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i musze stawiać wiele pytań, także osobistych.

— Mam nadzieje, że będą przyzwoita — Quemot nie patrzył na Bak'a — a jeśli już spotykał jego wzrok, umykał spojrzeniem.

— Nie pytam z czystej ciekawości, co „pan czuje. To ważne dla śledztwa.

— Nie rozumiem dlaczego.

— Muszę wiedzieć jak najwięcej o tym świecie, rozumieć uczucia Solarian.

Quemot nie patrzył już wcale na Baleya, gdy mówił wolno Moja żona zmarła przed dziesięciu laty. Nie było mi łatwo ją widywać ale można do tego przywyknąć. Nie narzucała rei się. Nowej żony mi nie przydzielono. Nie jestem już w wieku… — patrzył na Baley „a jakby spodziewał się że dokończy ja a gdy ten milczał ciągnął zniżając głos — płodzenia. Z braku żony odwykłem od widzenia ludzi.

— Czy odczuwa pan panikę? — Baley pomyślał o samolocie.

— Nie — Quemot obrócił głowę b" spojrzeć na Baleya, po czym odwrócił wzrok. Szczerze mówiąc wydaje mi się, że czuje pański zapach.

— Mój zapach? — Baley odchylił się do tylu.

— To oczywiście, sprawa wyobraźni. Nie wiem, czy wydziela pan jakąś woń, bo nawet gdyby tak było, filtry by jej nie przepuściły.

Wyobraźnia jednak… — wzruszył ramionami.

— Rozumiem.

— Jest i coś więcej. Proszę, mi wybaczyć ale w obecności drugiego człowieka mam wrażenie, że dotyka mnie coś śliskiego, coś, przed czym się wzdrygam. To bardzo nieprzyjemne.

Baley poskrobał się za uchem. Starał się powściągać irytację. Była to, mimo wszystko, chorobliwa reakcja tamtych na coś zupełnie normalnego.

— Jeśli tak, dziwię się, że zgodził się pan widzieć się ze mną. Musiał pan przewidywać nieprzyjemności.

— Zgadza się ale, wie pan, byłem ciekaw. Pan jest Ziemianinem.

Baley pomyślał, że chyba powinno to być argumentem przeciw widzeniu ale spytał tylko — I cóż stąd.?

Coś w rodzaju entuzjazmu zabrzmiało w głosie Quemota — To nie tak łatwo wyjaśnić. Zajmuję się socjologią od dziesięciu lat. Wysunąłem parę nowych twierdzeń. W związku z jednym z nich zainteresowałem się Ziemią i Ziemianami. Otóż, jeśli przyjrzeć się społeczeństwu i zwyczajom Solarii staje się oczywiste, że to społeczeństwo i te zwyczaje wywodzą się z Ziemi.

10. Historia kultury

— Co takiego? — Baley nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

Quemot spojrzał przez ramię — Nie chodzi Q obecną kulturę Ziemi.

— Ach tak?

— Chodzi o przeszłość, o historię starożytną. Zna ją pan, oczywiście, jak Ziemianin.

— Oglądałem książki — powiedział wymijająco Baley.

— A wiec wie pan, co mam na myśli.

Baley, który tego nie widział, rzekł — Chciałbym, żeby mi pan wytłumaczył, doktorze, dlaczego Solaria tak się różni od innych Zaziemskich Światów, skąd tu tyle robotów, dlaczego wasze zwyczaje są takie, jakie są. Przepraszam, jeśli to wygląda na zmianę tematu.

Zależało mu na zmianie tematu. Dyskusja o różnicach i podobieństwach kultur Ziemi i Solarii byłaby strata czasu. Mógłby tu spędzić cały dzień, nie dowiedziawszy się niczego użytecznego.

Quemot uśmiechnął się — Woli pan porównywać Solarię z innymi Zaziemskimi Światami, niż Solarię z Ziemią?

— Ziemie znam, proszę pana.

— Jak pan woli — Solarianin zakasłał. — Nie obrazi się pan, jeśli się odwrócę? Tak będzie mi wygodniej — Jak pan sobie życzy — rzekł sucho Baley.

— Świetnie — robot obrócił fotel. Choć oparcie zasłoniło socjologa całkowicie, jego głos nabrał życia, pogłębił się nawet i okrzepł.

— Solaria została zasiedlona przed trzystu laty. Pierwsi osadnicy byli Neksonianami. Zna pan Nekson?

— Niestety nie.

— To niedaleko, zaledwie dwa parseki stąd. Solaria i Nekson są parą najbliższych sobie zamieszkałych światów w Galaktyce. Solaria była nosicielką życia. Zanim jeszcze zamieszkali na niej ludzie, znakomicie nadawała się do zasiedlenia. Przyciągała zamożnych Neksonian. którym coraz trudniej było żyć na poziomie do którego nawykli w miarę, jak zapełniała się ich planeta.

— Zapełniała się? — Myślałem że Kosmici praktykują kontrolę urodzeń — wtrącił Baley.

— Solaria, tak ale światy Zaziemskie w ogóle — raczej rzadko.

W czasie, o którym mówię liczba ludności Neksonu osiągnęła dwa miliony. Było wystarczająco ciasno, by stało się konieczne ograniczenie liczby robotów, które mogła posiadać jedna rodzina. Kto więc tylko mógł, budował sobie letni dom na Solarii, żyznej, pozbawionej drapieżników, z umiarkowanym klimatem.

— Osadnicy mogli żyć na Solarii według swych upodobań. Mogli mieć tyle robotów na ile ich było stać. Posiadłości mogły być dowolnie duże. Na pustej planecie nie było problemu z przestrzenią a przy nieograniczonej liczbie robotów nie było problemów z uprawą ziemi.

Liczba robotów wzrosła tak znacznie, że trzeba je było wyposażyć w system łączności radiowej i takie były początki naszych sukcesów w robotyce.

— Zaczęliśmy wytwarzać nowe modela o nowych zdolnościach.

Rozwój kultury matką wynalazków — to moje! — zachichotał Quemot.

Robot przyniósł mu coś do picia. Baleyowi tym razem nie podano niczego i zdecydował się nie prosić.

Quemot mówił dalej — Solaria stawała się modna. Coraz więcej Neksonian budowało tam domy aż stała się „planetą willową". Osadnicy coraz częściej zamieszkiwali tu na stałe pozostawiając swe interesy na Neksonie w rękach pełnomocników. Na Solarii rosły fabryki robotów a rozwój górnictwa i rolnictwa umożliwił eksport.

— Krótko mówiąc stało się oczywiste, że w ciągu stulecia Solaria będzie równie zatłoczona jak Nekson. Oszczędzę panu politycznych zawiłości, powiem tylko, że Solaria zdołała bez wojny uzyskać niezależność. Była użyteczna jako wytwórca wyspecjalizowanych robotów, co zdobyło nam przyjaciół w Światach Zaziemskich i to nam, oczywiście, pomogło.

— Po uzyskaniu niezależności naszą pierwszą troska było ustanowienie granic wzrostowi ludności. Wprowadzono regulację urodzin i ograniczono imigrację.

— A dlaczego Solarianie nie chcą widywać się nawzajem? — spytał Baley, trochę podrażniony sposobem jaki wybrał Quemot by mówić o socjologii.

Quemot zerknął ponad oparciem fotela — To było nieuniknione.

Nasze posiadłości są bardzo wielkie. Posiadłość o powierzchni dziesięciu tysięcy mil kwadratowych nie jest niczym niezwykłym, chociaż te największe składają się w znacznej części z nieużytków. Moja własna ma dziewięć i pół tysiąca mil kwadratowych ale to wyłącznie ziemia uprawna.

— Wielkość posiadłości decyduje o pozycji właściciela. Właściwością dużej posiadłości jest to, ze kiedy się po niej wędruje nie ryzykuje się wejścia na teren sąsiada i spotkania go, rozumie pan?

— Tak sądzę — wzruszył ramionami Baley.

— Solarianin ma za punkt honoru nie spotykać sąsiadów. Posiadłością zajmują się roboty, jest ona samowystarczalna i nie ma powodu do spotkania kogokolwiek. Chcąc tego uniknąć udoskonalono stereowizję a im była doskonalsza tym bardziej zbędne było widzenie sąsiadów. To samonapędzający się system, rozumie pan?

— Nie musi pan aż tak wszystkiego upraszczać, doktorze. Nie jestem, socjologiem ale miałem na uczelni zajęcia z socjologii. Była to, oczywiście, zZiemska uczelnia — dodał skromnie Baley uprzedzając ewentualne uszczypliwe uwagi — Matematykę jednak zrozumiem.

— Matematykę?

— Nie mówię o takiej matematyce, jaka stosuje się w robotyce z tym bym sobie me poradził, ale z socjologią dam sobie rade. Zależność Teramina, na przykład…

— Co takiego proszę pana?

— Może używacie tu innej nazwy? Znoszenie niedogodności i korzystanie z przywilejów: „Di" podstawiamy „J" podniesiono do n-tej…

— O czym pan mówi, do licha? — spytał ostro Kosmita, a zdumiony Baley zamilkł.

Z pewnością zależność miedzy przyznanymi przywilejami a niedogodnościami które należało znosić leżała u podstaw sztuki kierowania ludźmi. Chociażby prywatka w łaźni komunalnej i kolejka X osób czekających cierpliwie — do czasu! Wartość X zależała od warunków w których przyszło im czekać i od temperamentu oczekujących a wszystko to wyczerpująco opisywała Zależność Teramina.

Może jednak wybrał zły przykład. W tym świecie przywilejów nie istniały niedogodności.

Spróbował jeszcze raz — zależałoby mi na wyjaśnieniu wzrostu uprzedzeń do widywania się. Chciałbym poznać analizy tego zjawiska by móc mu stawić czoła. Chcę przekonywać ludzi, by widywali się ze mną.

— Nie może pan traktować uczuć ludzkich, jak procesów zachodzących w mózgu pozytronowym.

— Wcale tego nie mówię. Robotyka jest wiedza dedukcyjną, a socjologia indukcyjną ale matematyka znajduje zastosowanie w obu przypadkach.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Quemot spytał drżącym głosem Mówił pan, że nie jest pan socjologiem?

— Tak. A mnie powiedziano, że pan nim jest. Najlepszym na tej planecie.

— Jedynym na tej planecie. Możnaby powiedzieć, że stworzyłem te naukę.

— Ach tak? — Baley szukał sposobu, by następne pytanie nie wypadło impertynencko — Czy oglądał pan książki z tej dziedziny.

— Wydane na Aurorze, tak.

— A wydane na Ziemi?

— Na Ziemi? — Quemot zaśmiał się zakłopotany. — Nie zdarzyło mi się czytać żadnego z dzieł Ziemskiej nauki. Bez urazy.

— No cóż, szkoda! Miałem nadzieję, ze uzyskam informacje, które pozwolą mi rozmawiać twarzą w twarz…

Quemot wdał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk. Fotel, w którym siedział wywrócił się z hałasem. Baley usłyszał coś jakby „proszę mi wybaczyć”!, zobaczył też jak Quemot biegnie do drzwi i znika.

Uniósł brwi. Co takiego, u diabła, powiedział?

Na Jozafata! Jaki znów niewłaściwy guzik nacisnął?

Wszedł robot — Mam pana poinformować, że mój pan za chwile się z panem zobaczy.

— Zobaczy ze mną, chłopcze?

— Tak, proszę pana.

Przyniesiono kolejny pucharek różowego płynu i jakieś słodycze, gorące i aromatyczne. Baley usiadł, spróbował ostrożnie napoju i odstawił go. Słodycze, twarde w dotyku dawały się łatwo rozgryzać.

Nie rozpoznawał smaku, musiały to być jakieś miejscowego pochodzenia korzenie lub przyprawy.

Pomyślał o skromnej drożdżowej diecie Ziemian. Odmiany drożdży naśladujące smak produktów Zaziemskich światów miałyby na pewno powodzenie.

Raptowne pojawienie się socjologa przerwało te rozmyślania. Tym razem patrzył mu w twarz. Tamten siedział w fotelu w jakimś pokoju o ścianach i posadzce wyraźnie niepodobnych do wystroju komnaty Baleya. Uśmiechał się, co pogłębiało zmarszczki na jego twarzy a jednak odmładzało go. Oczy mu błyszczały.

— Najmocniej przepraszam. Spodziewałem się, że to wytrzymam, ale byłem w błędzie. Byłem już bliski załamania a pańskie ostatnie słowa przepełniły czarę, że się tak wyrażę.

— Jakie słowa, proszę pana? — Mówił pan coś o rozmowie twarzą w… Wolałbym tego nie powtarzać. Te słowa wywołały obraz ludzi, których oddech miesza się ze sobą… — Solarianin zadrżał — Nie sądzi pan. że to ohydne?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Kiedy to sobie wyobraziłem, zdałem sobie sprawę że przecież przebywamy w t* m samym pokoju i powietrze, którym pan oddychał musi docierać i do moich płuc. W moim stanie umysłu…

— Ależ wszystkie molekuły solariańskiej atmosfery przeszły przez tysiące płuc. Na Jozafata! Przeszły i przez rybie skrzela i przez płuca zwierząt.

— To prawda, nie pomyślałem o tym. Odczucie, że oddychamy tym samym powietrzem było tak nagle… To zadziwiające, jaką ulgę przynosi oglądanie.

— Wciąż jestem w tym samym domu co i pan, doktorze.

— To prawda i dlatego to takie zadziwiające. Zastosowanie

stereowizji zmienia wszystko. Wiem wreszcie, co to znaczy widzieć kogoś.

Nie będę więcej próbował.

— Brzmi to, jakby przeprowadzał pan eksperyment.

— Tak w pewnym sensie było. Rezultaty były ciekawe. Powinienem to zarejestrować.

— Co zarejestrować?

— Moje wrażenia — Quemot odpowiedział zdziwionym spojrzeniem na zdziwione spojrzenie Baley'a.

— Czy rozporządza pan jakimiś urządzeniami mierzącymi emocje, elektroencefalogramem czy czymś podobnym? — Rozejrzał się — nie dostrzegając niczego.

— Potrafię opisać swe uczucia bez pomocy przyrządów. Są wystarczająco wyraźne.

— Oczywiście, ale analiza ilościowa…

Quemot przerwał — Nie wiem, do czego pan zmierza. Chciałbym jednak przedstawić panu moją teorie. Nie znajdzie pan tego w książkach. Jestem z niej naprawdę dumny.

— Co to za teoria, proszę pana?

— Chodzi o to, że kultura Solarii wzoruje się na jednej z dawnych kultur Ziemi.

Baley westchnął. Jeśli me pozwoli tamtemu się wygadać, nie będzie mógł liczyć na jego współprace.

— Co to, za kultura?

— Sparta! — Quemot uniósł głowę a jego siwe włosy rozbłysły jak aureola — Musiał pan słyszeć o Sparcie! Baley poczuł ulgę. W młodości interesował się przeszłością Ziemian. Chętnie słuchano o supremacji Ziemi, o Ziemianach, ponad którymi nie było jeszcze kosmitów. Była to jednak obszerna dziedzina.

Quemot mówił o czymś z czym Baley nie był obeznany.

— Oglądałem filmy… — powiedział ostrożnie.

— Świetnie. Otóż w Sparcie w okresie jej rozkwitu żyło względnie niewielu spartiatów. pełnoprawnych obywateli, i nieco więcej periojków, obywateli drugiej kategorii. Ogromna większość ludności byli to pozbawieni praw niewolnicy, heloci. Liczba belotów dwudziestokrotnie przewyższała liczbę spartiatów a przecież heloci byli ludźmi, z ludzkimi słabościami i uczuciami.

— Aby zyskać pewność, że ewentualne powstanie helotów nie będzie mimo ich przewagi liczebnej udane, spartiaci ćwiczyli się w sztuce walki. Wszyscy dożywotnio służyli w armii. Cel został osiągnięty.

Nigdy nie doszło do udanego powstania helotów.

— My, Solarianie, jesteśmy kimś w rodzaju spartiatów. Mamy swoich belotów, tyle że nie są oni ludźmi a maszynami. Nie mogą się

zbuntować, nie musimy więc się ich obawiać chociaż tysiąckrotnie przewyższają nas liczebnie. Korzystamy z przywilejów Spartiatów a nie musimy poddawać się rygorom ich życia. Możemy żyć tak współcześni Spartanom Ateńczycy, którzy…

— Oglądałem też filmy o Ateńczykach — powiedział Baley.

Quemot mówił z coraz większym zapałem — Każda cywilizacja zbudowana jest na kształt piramidy. Ci bliscy szczytu, mają wiece i czasu dla siebie, więcej możliwości ubiegania się o szczęście. Kto pnie się ku szczytom, przekonuje się, że im więcej możliwości tym mniej ludzi z nich korzysta. Liczebna przewaga wydziedziczonych jest elementem stałym. Nie ma znaczenia, na jakim poziomie bezwzględnym posadowiono piramidę. Najbiedniejsi mieszkańcy Aurory żyją lepiej niż arystokraci Ziemi ale wobec arystokratów Aurory są wydziedziczeni, a z nimi się przecież porównują. W zwyczajnym społeczeństwie zawsze występują podział. Dążenie do rewolucji społecznych, próby zwalczania takich rewolucji, wszystko to powodowało ogrom nieszczęść. Historia jest pełna przykładów na to.

— I oto na Solarii mamy po raz pierwszy wyłącznie wierzchołek piramidy. Miejsce wydziedziczonych zajęły roboty. Zbudowaliśmy nowe społeczeństwo, pierwsze naprawdę nowe od czasów gdy rolnicy Sumeru i Egiptu zaczęli budować miasta.

Siedział, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Czy pan to opublikował? — spytał Baley.

— Jak dotąd nie, — powiedział niedbale Quemot — ale pewnego dnia opublikuję. To moja trzecia praca.

— A tamte dwie?

— Nie były to prace z socjologii. Byłem w swoim czasie rzeźbiarzem. To moja robota — wskazał posagi. — Byłem też kompozytorem. Rikain Delmarre namawiał mnie zawsze bym zajął się sztuka stosowaną. Zdecydowałem się na socjologię.

— Czy przyjaźnił się pan z Delmarrem?

— Człowiek w moim wieku zna tu wszystkich. Nie przeczę — jednak, że byliśmy bliskimi znajomymi.

— Co to był za człowiek? — O dziwo w myśli Baley'a pojawił się obraz Gladii, takiej jak widział ją ostatnio, wściekłej, z twarzą wykrzywioną gniewem.

Quemot zastanawiał się — Był to człowiek oddany Solarii i je] obyczajom…

— Idealista, inaczej mówiąc?

— Zdecydowanie tak. Musi pan wiedzieć, że do swej pracy zgłosił się na ochotnika.

— Czy to coś niezwykłego?

— A pan tak nie uważa? — ale zapominam, że pan jest Ziemianinem. Tak, to niezwykłe.

To jedno z tych zajęć, które muszą być wykonywane a nikt nie chce tego robić. Zwykle wyznacza się kogoś na określony czas. Delmarre zgłosił się na ochotnika dożywotnio. Uważał że to zbyt ważne zajęcie by je powierzać ludziom niechętnym tej pracy. Mnie też namawiał ale nie nadaje się do poświęceń.

— Chyba nie dość się orientuję w charakterze tej pracy.

Policzki Quemota zaróżowiły się — Czy nie lepiej byłoby o tyra pomówić z jego asystentem?

— Z pewnością już bym to zrobił, gdyby ktoś pofatygował się powiedzieć mi, że miał asystenta!

— Przykro mi, że nie powiedziano tego panu. Delmarre uważał, że powinien wykształcić swego następcę, zanim odejdzie na emeryturę — albo umrze.

Stary Solarianin westchnął ciężko — Był o tyle młodszy, a jednak przyszło mi go przeżyć. Często grywaliśmy w szachy.

— Jakim sposobem?

— Zwyczajnie — zdziwił się Quemot.

— Widzieli się panowie?

— A cóż to za pomysł! Może ja bym to zniósł ale Delmarre na pewno nie. Fetologia nie stępiła jego wrażliwości. Był wręcz przeczulony.

— A więc jak…

— Z użyciem dwóch szachownic. To proste.

— Czy znał pan panią Delmarre?

— Oglądałem ją czasami. Jest pejzażystką. Oglądałem jej prace.

Doskonała robota, chociaż to raczej ciekawostki, niż dzieła sztuki.

— Czy mogłaby zabić męża, zdaniem pana?

— Nie zastanawiałem się nad tym. Kobiety to zadziwiające istoty. Czy. jednak jest się nad czym zastanawiać? Tylko pani Delmarre była na tyle blisko Rikaina, by móc go zabić. Rikain nigdy nie zgodziłby się widzieć kogokolwiek. Był nazbyt drobiazgowy, może to zresztą nieodpowiednie słowo. Nie było w nim cienia odchyleń od normy. Był dobrym Solarianinem.

— To, że pozwolił mi pan na widzenie nazwałby pan odchyleniem od normy?

— Możnaby tak powiedzieć.

— Czy Delmarre mógł zginąć z powodów politycznych?

— Co takiego?

— Słyszałem że był tradycjonalistą.

— Wszyscy jesteśmy tradycjonalistami.

— Czy to znaczy, że na Solarii nie istnieją inne ugrupowania? Quemot odpowiedział ostrożnie — Są tacy, którzy uważają, że zbytni tradycjonalizm jest niebezpieczny. Są przeczuleni na punkcie naszej małej liczebności i przewagi liczebnej innych światów. Uważają że

wobec możliwej agresji jesteśmy bezbronni — oczywisty nonsens. Nie sądzę, by stanowili realną siłę. Nie ma ich wielu.

— Czemu uważa pan, że to nonsens? Czy Solaria może jakoś zrównoważyć przewagę liczebna tamtych? Czy macie jakąś nową broń?

— Mamy broń, chociaż wcale nie nową. Jest już w użyciu i nie sposób jej się oprzeć.

Oczy Baley'a zwęziły się — Mówi pan serio?

— Oczywiście.

— I pan wie, co to za broń?

— Wszyscy to wiemy. Pan też, jeśli się pan zastanowi. Ta broń nie zabija i nie rani a jednak jest nie do odparcia, tym bardziej, że nikt nie dostrzega jej istnienia.

— I cóż to za niezabójcza broń — spytał zirytowany Baley.

— Robot pozytronowy — odrzekł Quemot.

11. Inspekcja

Baley milczał. Robot pozytronowy był symbolem przewagi Kosmitów i już przez to miał charakter broni.

— To broń ekonomiczna — powiedział. — Solaria dostarcza nowych modeli Światom Zaziemskim i to ją przed nimi chroni.

— To oczywiste — powiedział Quemot obojętnie.

— Pomogło to nam uzyskać niepodległość. Myślę jednak o czymś innym, czymś na kosmiczną skalę…

— Czy to jeszcze jedna z pańskich teorii socjologicznych?

Quemotowi prawie się udało nie okazać dumy, pozwolił sobie jednak na uśmiech politowania.

— Teoria jest istotnie moja. O ile wiem, nikt jeszcze na to nie wpadł, chociaż rzecz powinna być oczywista dla każdego, kto zapoznałby się z danymi o zaludnieniu Zaziemskich Światów. Zacznijmy od tego, że odkąd mamy roboty pozytronowe, korzystamy z ich pracy — Nie na Ziemi — wtrącił Baley.

— Chwileczkę, agencie! Niewiele wiem o pańskiej Ziemi, wiadomo mi jednak, że i wasza gospodarka zaczyna korzystać z robotów.

Żyjecie w Miastach, pozostawiając większą część powierzchni planety niezamieszkałą. A kto pracuje w kopalniach i na farmach?

— Roboty — zgodził się Baley. — Ale jeśli już o tym mowa, to właśnie Ziemianie zbudowali pierwszego pozytronowego robota, doktorze.

— Czy jest pan tego pewien?

— Taka jest prawda. Można to sprawdzić.

— To ciekawe, bo w zastosowaniu robotów jesteście na ostatnim miejscu — zastanawiał się socjolog. — Może sprawia to wielka liczba ludności. A jednak i w Miastach są roboty?

Baley przytaknął.

— I jest ich obecnie więcej, niż przed pół wiekiem?

Baley potwierdził, nieco zniecierpliwiony.

— A więc wszystko się zgadza. To tylko kwestia czasu. Praca robotów zastępuje pracę ludzi. Więcej robotów, mniej ludzi, tak to właśnie wygląda. Przestudiowałem bardzo dokładnie dane demograficzne, sporządziłem wykresy i — właściwie było to zastosowanie matematyki w socjologii, nieprawdaż?

— Zgadza się — powiedział Baley.

— Może więc coś w tym jest? Powinienem to sobie przemyśleć.

W każdym razie moje wnioski, nie wątpię że prawidłowe, są następujące w gospodarce, która korzysta z pracy robotów, stosunek liczby robotów do liczby zatrudnionych ludzi zmienia się na korzyść

robotów, niezależnie od regulacji prawnych usiłujących temu zapobiec. Można ten proces opóźnić, nie można go jednak powstrzymać.

Liczba robotów rośnie szybciej niż liczba ludności. Osiągnięty zostaje punkt krytyczny…

Quemot zrobił przerwę — Zastanawiam się, czy Możnaby dokładnie określić ten punkt. Przyda się tu pańska matematyka.

— A co się stanie, doktorze, gdy ten punkt zostanie osiągnięty?

spytał niespokojnie Baley.

— Liczba ludności zaczyna maleć i wreszcie planeta dochodzi do stanu równowagi społecznej. Czeka to Aurorę, czeka to również i Ziemię. Na Ziemi może to potrwać kilka stuleci, ale rzecz jest nieunikniona.

— Co pan nazywa stanem równowagi społecznej?

— Sytuacje taką jak na Solarii. Świat w którym ludzie stanowią klasę wyższą. Nie ma powodu, by obawiać się Zaziemskich Światów.

Wystarczy poczekać sto lat a wszystkie one zmienią się w Solarię.

Będzie to w pewnym sensie koniec historii ludzkości, jej dopełnienie. Wszyscy otrzymają w końcu wszystko, czego im trzeba, czego pragną. Istnieje jakieś powiedzenie, nie wiem skąd wzięte, o swobodzie ubiegania się o szczęście…

— Stwórca obdarzył wszystkich pewnymi nienaruszalnymi prawami a w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście — powiedział Baley.

— Trafił pan! Z czego to jest?

— Z pewnego starego dokumentu…

— Czy nie widzi pan, że na Solarii jest inaczej? Tak w końcu będzie w całe] Galaktyce. Koniec z ubieganiem się o szczęście. Rodzaj ludzki dziedziczyć będzie prawa do życia, wolności i szczęścia, po prostu do szczęścia.

— Może i tak będzie — powiedział szorstko Baley — ale na razie na pańskiej Solarii zabito człowieka, a kolejny może umrzeć.

Pożałował tych słów, ledwie je wypowiedział. Quemot wyglądał jak uderzony w twarz. Zwiesił głowę — Odpowiedziałem na pańskie pytania jak umiałem najlepiej. Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze?

— To wystarczy, dziękuję panu. Przykro mi, że zakłóciłem panu żałobę po stracie przyjaciela.

Quemot powoli podniósł wzrok — Niełatwo będzie znaleźć takiego partnera do szachów. Nigdy nie opuścił partii i prowadził niezwykle wyrównaną grę. Był dobrym Solarianinem.

— Rozumiem pana — rzekł cicho Baley. — Czy mogę skorzystać z pańskiego sprzętu, by połączyć się z kolejnym rozmówcą?

— Moje roboty są do pańskich usług — odpowiedział Qu0mot.

— A teraz pożegnam już pana. Koniec oglądania.

Nie minęło pół minuty od zniknięcia Quemota a przy Baleyu stał już robot. Baley znów nie mógł się nadziwić. Widział tylko, za Quemot dotyka przycisku. Był to zapewne sygnał o charakterze ogólnym: ,,Róbcie swoje!". Zapewne roboty, które słuchały rozmowy, wiedziały czego w danym momencie może zażądać człowiek i jeśli nie były w stanie spełnić żądania do akcji wkraczał właściwy robot wezwany przez radio.

Na chwilę nawiedziła Baleya wizja Solarii jako zrobotyzowanej sieci o wciąż zmniejszających się okach, w których tkwili ludzie.

Pomyślał o nakreślonym przez Quemota obrazie światów zmieniających się w Solarie, o sieciach wiążących coraz ciaśniej Ziemię aż do…

Rozmyślania przerwał mu z mechaniczną pewnością siebie robot.

— Jestem gotów służyć pomocą, proszę pana.

— Czy wiesz, jak się połączyć z miejscem pracy Rikaina Delmarrea?

— Tak, proszę pana.

Baley wzruszył ramionami. Znów niepotrzebne pytanie. Robot wie. Kropka. Uświadomił sobie, że trzeba być ekspertem, kimś w rodzaju robotyka, by skutecznie kierować robotami. Jak sobie z tym radził przeciętny Solarianin? Zapewne o tyle, o ile…

— Połącz ronię z asystentem Delmarre'a. Jeśli go nie ma w pracy, znajdź go, gdziekolwiek jest.

— Tak, proszę pana.

Robot odchodził już, gdy Baley zawołał — Chwileczkę! Która godzina jest tam teraz?

— 06.30, proszę pana.

— Rano?

— Tak, proszę pana.

Baleya znów zdjęła irytacja na ten świat, który zrobił z siebie ofiarą wschodów i zachodów słońca. Takie są skutki życia na nieosłoniętej powierzchni planety!

Pomyślał o Ziemi, ale zaraz wziął się w garść. Pogrążanie się w tęsknocie za domem nie wyszłoby mu na dobre.

— Wywołaj tego asystenta, chłopcze. Powiedz mu, że to sprawa wagi państwowej i każ któremuś z chłopców przynieść mi coś do jedzenia. Wystarczy szklanka mleka i kanapka.

Jadł kanapkę z wędliną i myślał, że po tym co przytrafiło się Gruerowi, Daniel Olivaw uzna pewnie wszystko co jadalne za podejrzane i może mieć w tym rację. Skończył jednak jedzenie i popił mlekiem bez żadnych złych następstw (przynajmniej natychmiastowych).

Czegoś przecież dowiedział się od Quemota, chociaż nie tego, po co przybył. Nie dowiedział się wiele o morderstwie ale dość dużo o

sprawach ogólniejszych.

Wrócił robot — Wezwanie zostało przyjęte, proszę pana.

Przed Baleyem pojawiła się nagle siedząca w łóżku postać.

Wyraz twarzy miała dość nieprzychylny.

Odskoczył, jakby wpadł bez uprzedzenia na pole siłowe. Znów nie został należycie poinformowany! Znów nie postawił właściwego pytania.

Nikt go nie uprzedził, że asystent Rikaina Delmarre'a to kobieta.

Jej bujne włosy, obecnie w nieładzie, były ciemniejsze niż u większości Kosmitów. Miała owalną twarz, wydatny podbródek i nieco kartoflowaty nos. Podrapała się w ramię a Baley modlił się, by prześcieradło pozostało na swoim miejscu. Jeszcze miał w pamięci beztroskie podejście Gladii do tego, na co pozwala oglądanie. Pomyślał też, że oto pozbywa się złudzeń. Ziemianie wyobrażali sobie, że wszystkie Kosmitki są pięknościami. Gladia z pewnością odpowiadała tym wyobrażeniom. Ta jednak była taka sobie, nawet jak na ziemskie Standardy.

Przekonał się jednak, że ma pociągający głos, gdy spytała — Czy zdaje pan sobie sprawę, która jest godzina?

— Wiem, — odpowiedział — ale powinienem panią uprzedzić, ze mam zamiar widzieć się z panią.

— Widzieć się ze mną? Wielkie nieba! — jej oczy rozszerzyły się i uniosła dłoń do twarzy (Baley zauważył, że nosi pierścionek) — Czy nie jest pan przypadkiem moim nowym asystentem?

— Nie, nie jestem nikim takim. Badam sprawę śmierci Rikaina Delmarrea.

— Ach tak? Cóż, niech pan bada.

— Jak się pani nazywa?

— Klorissa Cantoro.

— Jak długo pracowała pani z doktorem Delmarrem?

— Trzy lata.

— Przypuszczam, że obecnie przebywa pani w miejscu pracy?

— Baley nie miał pojęcia, jak nazwać miejsce pracy fetologa.

— Chodzi panu o żłobek? Tak, oczywiście. Nie ruszam się stąd, odkąd zabito staruszka i wygląda na to, że się stąd nie ruszę, póki mi nie przydzielą asystenta. Przy okazji, może pan mógłby mi to załatwić?

— Niestety, proszę pani, nie mam tu żadnych wpływów.

— Spytać nigdy nie zaszkodzi…

Klorissa odrzuciła prześcieradło i nie zastanawiając się długo wstała z łóżka. Miała na sobie nocną koszulę. Sięgnęła do zapięcia pod szyją.

— Chwileczkę — powiedział pospiesznie Baley. — Jeśli zgadza się pani na widzenie, to na razie byłoby wszystko. Może się pani

ubierać na osobności.

— Na osobności? — wysunęła dolną wargę patrząc ze zdziwieniem na Baleya. — Pan jest drobiazgowy — nieprawdaż? Zupełnie jak szef.

— Czy zgadza się pani na widzenie? Chciałbym się trochę rozejrzeć.

— Nie bardzo wiem o co chodzi z tym widzeniem ale jeśli chce pan obejrzeć żłobek, mogę pana oprowadzić. Jeśli pozwoli mi pan umyć się i dojść trochę do siebie, będzie to nawet miła odmiana.

— Nie chcę niczego oglądać! Chcę widzieć!

Kobieta przechyliła głowę a w jej spojrzeniu pojawił się błysk zawodowej ciekawości — Czy jest pan może odchyleńcem? Kiedy robił pan ostatnio analizę genetyczną?

— Na Jozafata! — wymamrotał Baley. — Proszę posłuchać. Nazywam się Eliasz Baley. Jestem Ziemianinem.

— Ziemianinem! — wykrzyknęła. — Wielkie nieba! Co pan tu robi? Czy to jakiś głupi żart?

— Nie żartuję, proszę pani. Wezwano mnie, bym przeprowadził śledztwo w sprawie śmierci Delmarre'a. Jestem detektywem.

— Ach, wiec to o takie badania chodziło. Sądziłam jednak, ze jest oczywiste, iż zrobiła to jego żona.

— Mam co do tego wątpliwości, proszę pani. Czy pozwoli mi pani widzieć się z panią? Pojmuje pani, że jako Ziemianin nie przywykłem do oglądania. Mam pozwolenie szefa służby bezpieczeństwa na widywanie ludzi, którzy mogliby mi pomóc. Mogę pokazać pani odpowiedni dokument.

— Cóż, zobaczymy ten dokument.

Baley pokazał jej urzędowe pismo.

Pokręciła głową — Widzenia! Co za ohyda. Co prawda, wielkie nieba, całe to moje zajęcie jest ohydne, więc co za różnica? Niech się pan tylko do mnie nie zbliża. Będzie pan stał w przyzwoitej odległości. Możemy do siebie wołać albo przekazywać wiadomości przez roboty, w razie potrzeby. Czy to jasne?

— Jasne.

Jej nocna koszula rozpięła się wzdłuż szwu właśnie w chwili gdy łączność się przerwała. Usłyszał jeszcze jak wymamrotała — Ziemianin!

— To wystarczająca odległość — powiedziała Klorissa.

Baley, oddalony od niej o jakieś dwadzieścia pięć stóp odrzekł:

— Zgoda, chciałbym jednak wejść już do środka.

Tym razem nie było tak źle. Ledwie zauważył przelot, ale przeciąganie tego nie miało sensu. Powstrzymał się od rozpięcia kołnierzyka, by móc oddychać swobodniej.

— Co się z panem dzieje? — spytała Klorissa. — Marnie pan

wygląda.

— Nie jestem przyzwyczajony do otwartej przestrzeni.

— Zgadza się! Ziemianin! Wy przecież żyjecie zapuszkowani, czy coś w tym rodzaju. Wielkie nieba! — oblizała usta, jakby skosztowała czegoś, co jej nie smakowało. — Dobrze, niech pan wchodzi, odsunę się tylko. Już!

Włosy miała upięte w dwa grube warkocze, które owijały jej głowę, tworząc skomplikowany wzór geometryczny. Baley zastanawiał się, ile czasu zajmowało jej zaplatanie warkoczy, po czym przypomniał sobie, że prace te wykonały z pewnością nieomylne palce robota.

Uczesanie dodawało jej uroku, jeśli nie urody. Nie malowała twarzy. Miała na sobie codzienny strój, ciemnoniebieski jeśli nie liczyć długich liliowych rękawiczek, nie pasujących do reszty.

Baley zauważył zgrubienie na palcu, na którym nosiła pierścionek.

Stali, patrząc na siebie z dwóch końców sali.

— Nie lubi pani tego, nieprawdaż?

Klorissa wzruszyła ramionami. — Dlaczego miałabym to lubić?

Nie jestem przecież zwierzęciem. Mogę to jednak wytrzymać. Człowiek nabiera odporności, kiedy ma do czynienia z… z… — zadarła podbródek, jakby zdecydowała się wreszcie to powiedzieć — z dziećmi. — Wymówiła to słowo bardzo wyraźnie.

— Zabrzmiało to, jakby nie lubiła pani swego zawodu.

— To ważne i potrzebne zajęcie, ale rzeczywiście nie lubię go.

— A czy Rikain Delmarre je lubił?

— Myślę, że nie, chociaż nigdy tego nie okazał. Był dobrym Solarianinem.

— I był drobiazgowy.

Klorissa zrobiła zdziwioną minę.

— Sama pani to powiedziała. Kiedy wspomniałem o ubieraniu się na osobności, powiedziała pani, że jestem drobiazgowy jak szef.

— Aha. Cóż, był drobiazgowy. Nawet kiedy oglądał kogoś dbał o formy.

— Czy to coś niezwykłego?

— Właściwie nie. Formy należy zachować, ale nikt tego nie robi.

Nie podczas oglądania. Tak naprawdę nie ma nas tam, więc po co sobie utrudniać życie? Nie sądzi pan? Ja się tam nie przemęczam, chyba że chodziło o szefa. Przy nim trzeba było dbać o formy.

— Podziwiała go pani?

— Był dobrym Solarianinem.

— Nazwala pani to miejsce żłobkiem i wspomniała o dzieciach.

Czy tu się wychowuje dzieci?

— Od miesiąca wzwyż. Każdy płód z Solarii trafia tutaj.

— Płód?

— Tak. Sprawdza się je w miesiąc po poczęciu. Czy to pana wprawia w zakłopotanie?

— Nie! — uciął Baley. — Czy może mnie pani oprowadzić?

— Mogę. Proszę zachować odległość.

Baley z kamiennym wyrazem twarzy patrzył z góry w głąb wielkiej sali oddzielonej od nich szklaną przegrodą. Z pewnością sala była sterylna a temperatura i wilgotność kontrolowane.

Mieściły się w niej całe rzędy zbiorników a w każdym z nich w podobnym do wody płynie unosiła się drobna istotka. Rozwijało się życie.

Drobne, skulone stworzonka z wielkimi główkami, maleńkimi kończynami i zanikającymi ogonkami były czasem mniejsze niż pół pięści Baleya.

— Jak się to panu podoba, agencie? — spytała z odległości dwudziestu stóp Klorissa.

— Ile ich tu jest? — odpowiedział pytaniem Baley.

— Sto pięćdziesiąt dwa. Co miesiąc trafia do nas piętnaście do dwudziestu.

— Czy to jedyne takie miejsce na planecie?

— Tak. To wystarcza, przy założeniu, że długość życia wynosi trzysta lat a liczba ludności dwadzieścia tysięcy. Budynek jest nowy.

Doktor Delmarre nadzorował budowę i sporo rzeczy ulepszył. Śmiertelność jest praktycznie zerowa.

Między zbiornikami chodziły roboty i przyglądając się embrionom sprawdzały przyrządy, skrupulatnie, bez znużenia.

— Kto przeprowadza operacje? — spytał Baley. — Doktor Delmarre?

— Oczywiście, że nie! Lekarze. Nie myśli pan chyba, że doktor Delmarre zbliżyłby się… Zresztą mniejsza o to.

— Dlaczego nie używa się robotów?

— W chirurgii? Pierwsze Prawo ogromnie to utrudnia, Robot mógłby usunąć wyrostek robaczkowy aby uratować człowiekowi życie ale potem nadawałby się już tylko do kapitalnego remontu. Dla pozytronowego mózgu to wstrząsające doświadczenie.

— Widzę, że roboty opiekują się płodami. Czy pani albo doktor Delmarre czasem się tym zajmowali?

— Kiedy rzeczy idą źle, musimy. Gdy chodzi o życie, nie można zdać się na roboty.

— Zbyt duże ryzyko fałszywej oceny, jak sadzę?

— Wcale nie. Zbyt duże ryzyko przeceniania wartości życia.

Kobieta spochmurniała — Obowiązkiem fetologa jest dbać o to, aby rodziły się zdrowe dzieci. Nawet najstaranniejsza analiza genetyczna nie daje pewności, że wszystkie możliwe kombinacje

genów będą korzystne, nie mówiąc już o mutacjach. Mutacje, to nasza największa troska.

Szedł za nią wzdłuż galerii.

— Pokażę panu żłobek i dormitoria dzieci. Są dużo większym problemem, niż noworodki. Jeśli chodzi o nie, nie możemy polegać na robotach. Czy próbował pan kiedyś nauczyć robota dyscypliny?

Pierwsze Prawo uniemożliwia to i dzieci świetnie o tym wiedzą Widziałam, jak trzylatek unieruchomił tuzin robotów jęcząc „Boli!"

Krzywdzisz mnie!". Tylko najnowocześniejsze modele są w stanie zrozumieć, że dziecko może z rozmysłem kłamać.

— A jak radził sobie z dziećmi Delmarre? Wbijał im rozum do głowy?

— Miałby ich dotykać? Wielkie nieba! Potrafił jednak z nimi mówić i odpowiednio używać robotów. Widziałam, jak kiedyś przea kwadrans przyglądał się dziecku trzymając robota w gotowości by dać mu klapsa Klaps! klaps! Po kilku takich lekcjach dziecko nie ryzykowało więcej. Szef był w tym tak biegły, że wystarczyło tylko dostroić znów robota.

— A pani? Czy wychodzi pani czasem do dzieci?

— Będę musiała. Daleko mi do szefa. Może kiedyś poradzę sobie z tym zdalnym wychowaniem ale dziś poniszczyłabym roboty. Kiedy jednak o tym myślę… Chodzić wśród dzieci! Małe zwierzęta!

— Przypuszczam, że pan nie miałby nic przeciw widzeniu ich — powiedziała, oglądając się na Baleya.

— Nie sprawiłoby mi to przykrości.

Wzruszyła ramionami z rozbawieniem — Ziemianin! — Poszła dalej.

— A w ogóle, po co to wszystko? Musi pan dojść do wniosku, że to Gladia Delmarre jest morderczynią. Musi pan.

— Nie jestem tego pewien — rzekł Baley.

— Jak pan może nie być pewien? Kto jeszcze mógłby to zrobić?

— Cóż, na przykład pani.

Reakcja Klorissy zaskoczyła Baleya.

12. Chybiony cel

Wybuchnęła śmiechem.

Śmiała się do utraty tchu, aż jej okrągła twarz poczerwieniała.

Oparła się o ścianę, łapiąc oddech.

— Nie, niech się pan nie zbliża, proszę. Wszystko w porządku.

— Czy ta możliwość jest aż tak zabawna? — spytał posępnie Baley.

Próbowała coś powiedzieć, ale znów wybuchnęła śmiechem. Wyszeptała wreszcie.

— Ach, z pana prawdziwy Ziemianin! Jak mogłabym to być ja?

— Dobrze go pani znała. Znała pani jego zwyczaje. Mogła pani to uplanować.

— Myśli pan, że mogłabym widzieć się z nim? Że mogłabym podejść do niego na tyle blisko, by zdzielić go czymś w głowę? Pan po prostu nie ma o tym pojęcia!

Baley poczuł, ze się czerwieni — Dlaczego nie miałaby pani do niego podejść? Jest pani przyzwyczajona do przebywania z ludźmi.

— Z dziećmi.

— Jedno umożliwia drugie. Jest pani w stanie znieść moją obecność.

— Z odległości dwudziestu stóp — powiedziała z lekceważeniem.

— Właśnie odwiedziłem kogoś, kto prawie zemdlał, bo nie mógł tego znieść.

Klorissa spoważniała — To co innego.

— Moim zdaniem to wystarczy. Przyzwyczajenie do przebywania z dziećmi umożliwia widzenie Delmarre'a.

Klorissa nie była już rozbawiona — Chciałabym zauważyć, że to, co ja mogę wytrzymać, me ma tu znaczenia. To doktor Delmarre był przeczulony na tym punkcie, prawie jak sam Liebig. Prawie tak!

Gdybym nawet mogła znieść jego widok, on nigdy nie zniósłby mojego. Pani Delmarre była jedyną osobą, której wolno było się do niego zbliżyć.

— Kto to jest ten Liebig, o którym pani wspomniała?

Klorissa wzruszyła ramionami — Jeden z tych zwariowanych geniuszy, wie pan co mam na myśli. Pracował z szefem przy programowaniu robotów.

Baley zanotował to w pamięci i wrócił do tematu. — Można leż powiedzieć ,że pani miała powód.

— Jaki powód?

— Jego śmierć dała pani pozycję. Kieruje pani tym zakładem.

— Pan to nazywa powodem? Wielkie nieba! A któżby pragnął takiej pozycji? Na Solarii? To byłby powód, by go utrzymywać przy

życiu, by go chronić. Musi pan wymyślić coś lepszego.

Baley poskrobał się za uchem. Miała racje.

— Czy zauważył pan mój pierścionek? — spytała Klorissa.

— Zauważyłem.

— A czy zna pan jego znaczenie?

— Nie znam.

— Co by pan powiedział na mały wykład?

— Jeśli pomoże mi to zrozumieć ten przeklęty świat. — wypalił Baley — zgodzę się na wszystko.

— Wielkie nieba! — uśmiechnęła się Klorissa. — Widzę, że lubi pan nas tak samo, jak my Ziemie. Wyobrażam sobie! O, tu jest pusta sala. Usiądźmy. Nie, tu jest za mało miejsca. Zrobimy tak: pan usiądzie a ja zostanę tutaj.

Odstąpiła, robiąc mu przejście a potem stanęła pod ściana, tak by go widzieć.

Baley usiadł, zawahawszy się tylko przez chwile.

— Dlaczego nie?

Niech sobie Kosmitka stoi! — pomyślał.

Klorissa skrzyżowała muskularne ramiona — Kluczowa rolę odgrywa w naszym społeczeństwie analiza genetyczna. Badamy, oczywiście nie same geny ale enzymy, którymi rządzą geny. Ich znajomość pozwala poznać chemię organizmu, to znaczy poznać człowieka.

Czy to jasne?

Teorię rozumiem — odpowiedział Baley. — A jak się ją stosuje?

— W końcowej fazie rozwoju płodu pobieramy próbki krwi. To pozwala nam uzyskać pierwsze przybliżenie. Teoretycznie powinniśmy wtedy wyłapać wszystkie mutacje i decydować, czy ryzykować narodziny. W rzeczywistości za mało jeszcze wiemy, by uniknąć pomyłek. Może kiedyś… Po narodzinach robimy biopsje, prowadzimy badania płynów ustrojowych. Na długo przed osiągnięciem dojrzałości wiemy, co się kryje w naszych chłopcach i dziewczynkach.

(„Cukier i przyprawy…” z głębi pamięci Baley’a wypłynął dziecinny wierszyk).

— Kod genetyczny każdego zapisany jest w jego pierścieniu mówiła Klorissa. — To stary zwyczaj, pozostałość z czasów, gdy nie było jeszcze selekcji eugenicznej. Dziś wszyscy Solarianie są zdrowi.

— Ale pani wciąż nosi swój pierścień. Dlaczego?

— Bo jestem kimś wyjątkowym — powiedziała z dumą Klorissa, bynajmniej nie zakłopotana. — Doktor Delmarre poświęcił wiele czasu na wyszukanie sobie asystenta. Szukał kogoś wyjątkowego jeśli idzie o umysł, kogoś bystrego, pracowitego, zrównoważonego. To ostatnie było najważniejsze. Ten ktoś musiał nauczyć się przestawać z dziećmi

i uniknąć załamania.

— On sam tego nie potrafił, nieprawdaż? Czy to dowód braku równowagi?

— W pewnym sensie, — odpowiedziała Klorissa — ale w normalnych okolicznościach to pożądane. Myje pan ręce, nieprawdaż?

Baley spojrzał na swe dłonie. Były należycie czyste — Myję.

— Otóż gdyby komuś lęk przed pobrudzeniem rąk uniemożliwił naprawę mechanizmu w razie konieczności, byłoby to dowodem braku równowagi psychicznej. Jest natomiast pożądane utrzymywanie rąk w czystości w normalnych okolicznościach.

— Rozumiem. Idźmy dalej.

— To już wszystko .Mój kod genetyczny jest trzeci w historii Solarii pod względem doskonałości. Przyjemnie jest nosić taki pierścień.

— Gratuluję pani!

— Proszę się z tego nie śmiać. Nie ma w tym mojej zasługi. To przypadkowa przemiana genów rodziców ale można być z tego dumnym. Nikt nie uwierzyłby, że byłabym zdolna do morderstwa. Nie z takim kodem genetycznym. Oskarżać mnie to daremny trud.= Baley wzruszył ramionami. Ta dama najwyraźniej uważa kod genetyczny za dowód. Tak samo myśli pewnie cała Solaria.

— Czy chce pan zobaczyć dzieci? — spytała Klorissa.

— Dziękuję pani. Tak.

Wydawało się, że korytarze nie mają końca. Budowla musiała być kolosalna. Nie przypominało to olbrzymich bloków mieszkalnych w Miastach Ziemi ale ten pojedynczy, uczepiony powierzchni planety budynek musiał mieć rozmiary góry.

Były tam setki łóżeczek z różowiutkimi niemowlętami, wrzeszczącymi albo śpiącymi. Potem były sale zabaw dla raczkujących.

— W tym wieku nie sprawiają kłopotów — powiedziała Klorissa.

— Trzeba im tylko olbrzymiej ilości robotów. Praktycznie każde musi mieć swego robota, póki nie zacznie chodzić.

— Dlaczego?

— Jeśli nie mają własnego opiekuna, chorują.

Baley skinął głową — Potrzeba uczucia. Nie można ich tego pozbawić.

Klorissa zmarszczyła brwi i powiedziała szorstko — Dzieciom potrzeba opieki.

— Dziwie się trochę, że tę potrzebę uczucia mogą zaspokoić roboty.

Widać było, że jest niezadowolona — Jeśli chce mnie pan zaszokować, używając takich słów, nie uda się to panu. Wielkie nieba!

Niech pan nie będzie dziecinny!

— Zaszokować panią?

— Ja też potrafię użyć tego słowa! Uczucie! Może chce pan usłyszeć inne słowo w tym rodzaju? Mogę je również wymówić. Miłość.

Miłość! A teraz proszę się zachowywać przyzwoicie!

Baley nie zamierzał dyskutować o tym, co jest przyzwoite a co nie. Spytał — Więc czy roboty potrafią zapewnić dzieciom opiekę?

— Oczywiście, w przeciwnym razie ten żłobek nie mógłby funkcjonować. Roboty wygłupiają się z dziećmi. Niańczą je i przytulają.

Dzieciom nie przeszkadza fakt, że to tylko roboty. Gorzej jest później, między trzecim a dziewiątym rokiem życia.

— Czy tak?

— Dzieci w tym wieku upierają się, całkiem na oślep, by bawić Się z innymi.

— Spodziewam się, że pozwalacie im na to?

— Musimy, nie zapominając jednak, że naszym zadaniem jest przygotowanie ich do wymagań życia dorosłych. Każde dziecko ma własny pokój w którym może się zamykać. Od początku śpią same, ściśle tego przestrzegamy. Dalej, z upływem lat wydłuża się codzienna pora izolacji. Kiedy dziecko kończy dziesięć lat, potrafi przez tydzień zadowalać się oglądaniem. Warunki oglądania są, oczywiście odpowiednio dobierane Może to trwać cały dzień, na dworze, w ruchu…

— Dziwie się, że tak liczycie się z instynktem, bo że liczycie się, to widać.

— O jakim instynkcie pan mówi?

— O instynkcie stadnym. Jest taki. Sama pani powiedziała, że obstają przy tym, by się ze sobą bawić.

Klorissa wzruszyła ramionami — Więc to pan nazywa instynktem? I cóż stąd? Dziecko instynktownie boi się upadku, ale dorosły może się przyzwyczaić do pracy na wysokościach, gdzie niebezpieczeństwo upadku stale istnieje. Oglądał pan chyba akrobatów na linie? Są światy, w których ludzie mieszkają w wysokich budynkach.

Dzieci boją się też instynktownie hałasów, a czy pan się ich boi?

— Nie, jeśli nie ma powodu.

— Założę się, że ludzie na Ziemi nie mogą zasnąć, jeśli wokół jest naprawdę cicho. Nie ma takiego instynktu, który uniemożliwiałby wychowanie, przynajmniej nie u ludzi. Przy odpowiednim podejściu z każdym pokoleniem jest łatwiej. To sprawa ewolucji.

— Jak to?

— Każda istota rozwijając się powtarza historię ewolucji swego gatunku. Płody, które oglądaliśmy, mają do pewnego momentu skrzela

i ogonki. Nie można tych etapów przeskoczyć. Podobnie dziecko musi przejść przez „Zwierzęcą" fazę rozwoju społecznego. Doktor Delmarre był zdania, że z każdym pokoleniem trwa to krócej.

— A czy tak jest?

— Zakładał, że przy obecnym tempie, w ciągu trzech tysięcy lat dojdziemy do tego, iż dzieci będą od samego początku zadowalać się oglądaniem. Szef miał też inne pomysły. Interesował się udoskonalaniem robotów. Chciał umożliwić im, bez szkody dla ich równowagi umysłowej, wpajanie dzieciom dyscypliny. I dlaczego nie? Dyscyplina dziś dla lepszego życia jutro, to właściwa wykładnia Pierwszego Prawa, jeśli tylko robot zdoła to zrozumieć.

— Czy istnieją już takie roboty?

Klorissa pokręciła głową — Chyba nie. Doktor Delmarre i Liebig pracowali usilnie nad jakimiś modelami doświadczalnymi.

— Czy Doktor Delmarre wypróbowywał te nowe modele w swojej posiadłości? Czy był biegły w robotyce?

— O, tak. Często przeprowadzał próby z robotami.

— Czy wie pani, że był przy nim robot, kiedy go zamordowano?

— Słyszałam o tym, — Nie wie pani, co to był za model?

— Musi pan spytać o to Liebiga. To robotyk, który pracował z doktorem Delmarrem.

— Pani nie wie nic na ten temat?

— Nie.

— Proszę mi dać znać, gdyby przyszło coś pani na myśl.

— Zrobię to. Proszę nie myśleć, że doktor Delmarre interesował się tylko nowymi modelami robotów. Lubił powtarzać, że nadejdzie czas, gdy w swego rodzaju bankach, w odpowiednich warunkach gromadzone będą niezapłodnione jajeczka, wykorzystywane do sztucznego zapłodnienia. To będzie rzeczywiste zastosowanie zasad eugeniki. Przestanie istnieć ostatni powód, dla którego konieczne było widzenie. Nie wiem, czy odważyłabym się posunąć aż tak daleko. To był człowiek o szerokich horyzontach, prawdziwy dobry Solarianin.

Zmieniła temat — Czy chce pan teraz wyjść na zewnątrz? Grupa od pięciolatków do ośmiolatków bawi się na dworze i może pan ich zobaczyć w działaniu.

— Spróbuję — powiedział ostrożnie Baley. — Może będę musiał prędko wracać.

— Ach tak. Zapomniałam. Może nie chce pan wychodzić wcale?

Baley zmusił się do uśmiechu — Staram się przywyknąć do przebywania na dworze.

Wiatr był taki, że trudno było oddychać. Nie było zimno, ale uczucie, że ubranie przylega mu do ciała, przyprawiało Baley'a o dreszcze.

Kiedy spróbował coś powiedzieć, zęby tak mu szczekały, że

musiał mówić krótkimi zdaniami. Oczy go bolały od wpatrywania się W odległy horyzont, zamglony, zielono-niebieski. Pewną ulgę przynosiło patrzenie pod nogi, na ścieżkę. Przede wszystkim zaś unikał Baley patrzenia w błękitną pustkę, w której piętrzyły się tylko przypadkowe białe obłoki i lśniło nagie słońce.

Był jednak w stanie zwalczyć chęć ucieczki w zamknięcie.

Idąc za Klorissą, minął drzewo i wyciągnął rękę, bo go dotknąć.

Pień był szorstki i twardy. Palmiaste liście szeleściły mu nad głową, nie podniósł jednak oczu, by im się przyjrzeć. Żywe drzewo!

— Jak się pan czuje? — zawołała Klorissą.

— W porządku!

— Już widać grupę dzieci. Bawią się. Roboty organizują im zabawy i pilnują, żeby małe bestie nie powybijały sobie nawzajem oczu.

Nietrudno o to przy osobistym kontakcie Baley podniósł powoli oczy, spoglądając wzdłuż betonowej ścieżki, ponad trawnikiem, w dół zbocza i dalej — ostrożnie — gotów cofnąć wzrok, gdyby zdjął go strach.

Małe figurki chłopców i dziewczynek biegały tam jak szalone, nie dbając o to, że biegają tak po zewnętrznej powierzchni ich świata, mając nad głową tylko powietrze i przestrzeń. Błysnął poruszający się żwawo wśród dzieci robot. W powietrzu rozlegały się odległe, bezładne krzyki.

— Przepadają za tym — powiedziała Klorissa. — Za popychaniem się i pociąganiem, przewracaniem się i wstawaniem i w ogóle za dotykaniem się. Wielkie nieba! Jak im się udaje z tego wyrosnąć?

— A co robią te starsze? — Baley. wskazał stojącą na uboczu grupkę. — Oglądają. Nie są tu obecne. Mogą, oglądając się, spacerować, rozmawiać, bawić się, wszystko prócz dotykania.

— A dokąd udają się dzieci opuszczając ten zakład?

— Do swoich posiadłości. Śmiertelność średnio równa jest liczbie dorastających.

— Do posiadłości rodziców?

— Wielkie nieba, nie! To byłby dziwny traf, gdyby ojciec zmarł akurat w chwili, gdy dziecko dorasta. Zajmują wolne miejsca. Nie byłyby chyba specjalnie szczęśliwe zajmując dom, który należał do rodziców, zakładając, że znają swoich rodziców.

— A nie znają?

— Uniosła brwi — Czemu miałyby znać?

— Czy rodzice ich nie odwiedzają?

— Też pomysł? Komu by na tym zależało?

— Pozwoli pani, że coś sobie wyjaśnię? Czy to nietakt pytać kogoś o dzieci?

— To osobiste pytanie, nie sądzi pan?

— W pewnym sensie.

— Ja jestem z tym obyta. Dzieci to mój zawód. Inni nie są.

— A czy pani ma dzieci?

Klorissa najwyraźniej z trudem przełknęła ślinę — Należało mi się. A panu należy się odpowiedź. Nie mam.

— Czy jest pani zamężna?

— Tak. i mam własną posiadłość, w której bym przebywała, gdybym nie musiała być tutaj. Nie potrafię po prostu pilnować tych wszystkich robotów na odległość.

Odwróciła się ze zmartwiona miną — Teraz jedno się przewróciło i oczywiście płacze.

Robot nadbiegał wielkimi krokami.

— Podniesie je i przytuli a jeśli coś mu się stało, wezwie mnie.

— Mam nadzieję, że się bez tego obejdzie.

Baley nabrał tchu. Upatrzył sobie trzy drzewa, rosnące w małym trójkącie o pięćdziesiąt stóp w lewo. Poszedł w ich kierunku po paskudnie miękkiej murawie, brzydząc się trochę tą miękkością. (Było to jak chodzenie po rozkładających się zwłokach. Aż go zemdliło na samą myśl o tym).

Był już wśród drzew. Oparł się plecami o pień. Czuł się prawie jak pośród ścian. Słońce niegroźnie przebłyskiwało poprzez liście.

Klorissa patrzyła na niego ze ścieżki. Powoli zbliżyła się do połowy dzielącej ich odległości.

— Nie ma pani nic przeciw temu, że trochę tu postoje?

— Niech pan sobie nie przeszkadza.

— Jakie możliwości chodzenia ze sobą mają dzieci opuszczając zakład?

— Chodzenia ze sobą?

— Poznania się wzajemnie, — Baley nie był pewien, jakich słów wolno mu użyć — by móc się pobrać.

— To nie ich sprawa — odparła Klorissa. — Kojarzy się je w wyniku analizy genetycznej, zwykle we wczesnej młodości. To chyba rozsądne?

— A czy zawsze tego chcą?

— Czy chcą się pobrać? Nigdy tego nie chcą? To straszna robota, przekonać je do tego. Musza najpierw oswoić się ze sobą. Widują się po trochu co dzień, a kiedy mija początkowe skrępowanie, można z nimi dokazywać cudów.

— A jeśli partner im się nie podoba?

— Jak to? Czy to nie wszystko jedno, jeśli już analiza genetyczna wskazała partnera?

— Rozumiem — powiedział pośpiesznie Baley i westchnął, pomyślawszy o Ziemi.

— Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Baley zastanawiał się, czy ma sens przedłużanie tej wizyty. Nie miałby nic przeciw rozstaniu się z Klorissa i fetologią i przejściu do kolejnego etapu.

Właśnie otwierał usta, by to powiedzieć, gdy Klorissa krzyknęła do kogoś — Hej ty, dziecko! Ty tam! Co robisz!? — A do Baley'a Uwaga! Ziemianinie, uważaj!

Nuta popłochu w jej głosie sprawiła, że Baley'a zawiodły nerwy.

Ogarnęła go panika. Zwaliła się nań groza otwartej przestrzeni i nieskończonego przestworu niebios.

Zachwiał się. Słyszał, że wydaje jakieś dźwięki Czuł, że pada i wolno przewraca się na bok. Miał wrażenie, że patrzy na to z dala.

Z dala też dobiegł go przeszywający powietrze nad jego głowa świst, zakończony ostrym uderzeniem.

Baley zamknął oczy, jego palce zacisnęły się na cienkim korzeniu wystającym z gruntu, a paznokcie zaryły się w ziemi.

Otworzył oczy (musiała minąć ledwie chwila). Klorissa ostro karciła stojącego w pewnej odległości dzieciaka. Bliżej stał milczący robot. Baley zdążył tylko zauważyć, że chłopiec trzyma jakiś przedmiot z napiętą struną — i oczy uciekły mu w bok. Dysząc ciężko stanął na* nogach. Przyjrzał się lśniącemu metalowemu prętowi, tkwiącemu w pniu, pod którym stał przed chwilą. Chwycił za pręt i bez trudu go wyciągnął. Nie był głęboko wbity. Spojrzał na czubek, nie dotykając go. Był przytępiony, zdołałby jednak rozciąć mu skórę.

Dopiero za drugą próbą udało mu się poruszyć nogami. Postąpił ku Klorissie, wołając — Hej ty, dzieciaku!

Klorissa odwróciła się z zaczerwienioną twarzą — To był przypadek, Czy jest pan ranny?

— Nie! Co to za przedmiot?

— To strzała. Wystrzeliwuje się ją z łuku, dzięki pracy napięte] cięciwy.

— O, tak! zawołał zuchwale dzieciak i wypuścił w powietrze drugą strzałę a potem roześmiał się.

— Zostaniesz ukarany. Odejdź! — powiedziała Klorissa.

— Chwileczkę! — zawołał Baley. Potarł kolano, którym uderzył o kamień, padając. — Mam kilka pytań. Jak się nazywasz?

— Bik — powiedział chłopak niedbale.

— Czy strzelałeś do mnie, Biku?

— Zgadza się — odpowiedział chłopiec.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że mogłeś mnie trafić, gdybym nie został ostrzeżony?

Bik wzruszył ramionami — Strzelałem po to, żeby trafić.

Klorissa zaczęła z pośpiechem mówić — Niech mi pan pozwoli wyjaśnić. Łucznictwo jest zalecanym sportem. Zachęca do rywalizacji a przy tym nie wymaga kontaktu osobistego. Urządzamy zawody z

użyciem techniki oglądania. Obawiam się, że niektórzy chłopcy strzelają do robotów. Ich to bawi a robotom nie szkodzi. Jestem w tej posiadłości jedyną dorosłą osobą, chłopiec musiał wiec wziąć pana za robota.

Baley słuchał. Odzyskiwał jasność umysłu. Jego twarz przybrała zwykły zacięty wyraz — Czy myślałeś Biku, że jestem robotem? spytał.

— Nie — odpowiedział dzieciak. — Pan jest Ziemianinem.

— W porządku. Uciekaj.

Bik odbiegł pogwizdując a Baley zwrócił się do robota — Skąd chłopak wiedział, że jestem Ziemianinem? Czy to nie ty byłeś przy nim, kiedy strzelał?

— Ja, proszę pana. To ja powiedziałem mu, że jest pan Ziemianinem.

— Czy mówiłeś mu, co to takiego Ziemianin?

— Tak, proszę pana.

— I co mówiłeś?

— Ziemianin to gorszy gatunek człowieka. Nie powinno się go wpuszczać na Solarię, bo roznosi choroby zakaźne, proszę pana.

— Kto ci to powiedział, chłopcze?

Robot milczał.

— Czy wiesz, kto ci to powiedział?

— Nie wiem, proszę pana. To było w moim banku pamięci.

— Powiedziałeś mu chłopcze, ze roznoszę choroby zakaźne a on bez wahania strzelił do mnie. Czemu go nie powstrzymałeś?

— Powinienem to zrobić, proszę pana. Nie powinienem pozwolić mu próbować skrzywdzić człowieka, choćby to był Ziemianin. Nie byłem wystarczająco szybki.

— Może zawahałeś się, bo pomyślałeś, że jestem tylko Ziemianinem?

— Nie, proszę pana.

Baley zacisnął usta. Robot mógł zaprzeczać w dobrej wierze, on jednak był pewien, że ten czynnik odegrał swoje role.

— Co robiłeś przy tym chłopcu?

— Nosiłem mu strzały, proszę pana.

— Czy mogę im się przyjrzeć?

Wyciągnął rękę. Robot zbliżył się i wręczył mu tuzin strzał. Baley położył ostrożnie na ziemi strzałę, która trafiła w drzewo i obejrzał po kolei inne. Oddał je robotowi i podniósł strzałę.

— Dlaczego podałeś chłopcu właśnie tę strzałę?

— Nie wybierałem jej, proszę pana. Poprosił o strzałę i ta mi się trafiła pierwsza. Szukał celu, zobaczył pana, spytał, kto to jest teru dziwny człowiek, wyjaśniłem mu…

— Wiem, co mu wyjaśniłeś. Strzała, którą mu wręczyłeś ma szare lotki. Wszystkie inne mają czarne lotki.

Robot patrzył bezmyślnie.

— Czy przyprowadziłeś tu tego dzieciaka? celowo?

— Chodziliśmy bez celu, proszę pana.

Ziemianin spojrzał w lukę między dwoma drzewami, przez którą wpadła strzała zmierzająca do celu. Spytał — Czy przypadkiem ten dzieciak, Bik, nie jest najlepszym łucznikiem, jakiego tu macie?

— Robot pochylił głowę — On jest najlepszy, proszę pana.

Klorissa gapiła się na Baley'a — Jak pan na to wpadł?

— Ano tak — rzekł szorstko Baley. — Proszę porównać strzałę z szarymi lotkami z innymi. Tylko ta ma naoliwiony koniec. Może to zabrzmi melodramatycznie, proszę pani, ale uratowała mi pani życie.

Strzała, która mnie minęła jest zatruta.

13. Spotkanie z robotykiem.

— To niemożliwe! Wielkie nieba! Absolutnie niemożliwe!

— Tak właśnie jest, ponad wszelką wątpliwość. Czy macie tu jakieś zwierzę, na którego stratę możecie sobie pozwolić? Wystarczy zadrasnąć je tą strzała a zobaczy pani, co się stanie.

— Czemu ktoś miałby…

— Wiem, czemu — przerwał szorstko Baley. — Pytanie tylko, kto?

— Nikt!

Baley poczuł, że zawrót głowy powraca. Wpadł w gniew. Rzucił strzałę w stronę Klorissy.

— Niech ją pani podniesie. Jeśli nie chce pani jej badać, proszę ją zniszczyć. Jeżeli podniosą ją dzieci, dojdzie do wypadku.

Pośpiesznie podniosła strzałę trzymając ją dwoma palcami.

Baley popędził ku najbliższemu wejściu do budynku. Klorissa poszła za nim trzymając ostrożnie strzałę.

Pod dachem Baley poczuł że wraca do równowagi.

— Kto zatruł strzałę? — zastanawiał się.

— Nie mam pojęcia.

— Chyba nie zrobił tego sam chłopiec. Czy mogłaby pani ustalić, kim są jego rodzice?

— Możemy sprawdzić rejestry — powiedziała bez entuzjazmu Klorissa. — Potrzebujemy ich analiz genetycznych.

— Czy ten dzieciak mógł dowiedzieć się kim są jego rodzice?

— W żadnym razie — zaprzeczyła energicznie Klorissa — Musiałby włamać się do archiwum. To niemożliwe.

— A jeśliby dorosły odwiedził ten zakład i dowiadywał się o swoje dziecko?

— To bardzo mało prawdopodobne.

— Przypuśćmy jednak. Czy powiedziano by mu?

— Nie wiem. To nie jest zabronione ale po prostu nie jest przyjęte.

— Czy pani powiedziałaby?

— Starałabym się nie powiedzieć. Wiem że doktor Delmarre nie zrobiłby tego. Uważał że te informacje winny służyć tylko analizie genetycznej. Jego poprzednik mógł postępować inaczej. Czemu pan pyta?

— Nie widzę, jaki powód mógłby mieć ten dzieciak. Może mieli go jego rodzice.

— Wszystko to jest takie okropne — Wstrząs sprawił, że Klorissa zbliżyła się do Baleya bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Wyciągnęła nawet ku niemu rękę. — Jak to się mogło stać? Szef zabity. Pan omal

nie zginął. Nie ma na Solarii powodów, by robić takie rzeczy. Mamy wszystko, czego możemy zapragnąć.

Jej twarz rozjaśniła się — Ta strzała nie może być zatruta. Nie powinnam dać się panu przekonać.

— Skąd ta nagła pewność?

— Robot, który był z Bikiem nie pozwoliłby na to. Nie mógłby zrobić niczego, co mogło wyrządzić szkodę człowiekowi. Gwarancją jest Pierwsze Prawo Robotyki.

— Zastanawiam się, czym właściwie jest Pierwsze Prawo…

— Co pan ma na myśli?

— Nic. Jeśli zbada pani strzałę, przekona się, że jest zatruta. Baleya już to nie interesowało. Nie miał wątpliwości co do trucizny.

— Czy nadal uważa pani, że to pani Delmarre winna jest śmierci małżonka?

— Tylko ona była przy tym obecna.

— A pani była jedyną dorosłą osobą, obecną tu w chwili gdy strzelano do mnie zatrutą strzałą.

— Nie miałam z tym nic wspólnego.

— Być może. Być może też pani Delmarre jest tak samo niewinna. Czy mogę skorzystać z pani sprzętu łączności.

— Tak, oczywiście.

Baley wiedział, kto chce kogo zobaczyć i wcale nie była to Gladia. Z zaskoczeniem usłyszał, jak mówi — Połącz mnie z Gladią Delmarre!

Robot wykonał polecenie bez żadnych uwag a Baley, osłupiały przyglądał się jego manipulacjom, zachodząc w głowę, czemu wydał takie polecenie.

Może dlatego, że dopiero co była o niej mowa, a może martwił go sposób, w jaki zakończyła się ich ostatnia rozmowa a może potrzebował czegoś innego niż krzepkiej przytłaczająco rzeczowej Klorissy.

(— Można rozegrać sprawy kłócąc się — pomyślał) Pojawiła się przed nim w mgnieniu oka. Siedziała w dużym fotelu z wysokim oparciem przez co sprawiała wrażenie mniejszej i bardziej bezbronnej niż zwykle. Włosy miała ściągnięte ku tyłowi i związane w luźny zwój. Kamienie w jej kolczykach wyglądały na diamenty. Prostego kroju suknia podkreślała talię.

— Miło mi cię oglądać, Eliaszu. Próbowałam się z tobą skontaktować — powiedziała cicho.

— Dzień dobry, Gladio! (Dobry wieczór? Nie wiedział, jaka była u niej pora dnia i nie umiał tego odgadnąć z jej stroju). Dlaczego próbowałaś skomunikować się ze mną?

— Żeby ci powiedzieć, jak mi przykro że zawiodły mnie nerwy, kiedy cię oglądałam ostatnio. Pan Olivaw nie wiedział gdzie cię można znaleźć.

Baley wyobraził sobie Daniela pod strażą robotów i powstrzymał uśmiech — Wszystko w porządku. Chciałbym widzieć się z tobą w najbliższym czasie.

— Ależ, proszę… urwała. — Widzieć się ze mną?

— Osobiście — powiedział Baley z powagą.

— Czy jest po temu jakiś powód? — Jej oczy rozszerzyły się a palce zacisnęły na poręczy fotela.

— To konieczne.

— Nie sądzę…

— Czy pozwoliłabyś na to?

Odwróciła wzrok.

— Jeśli to absolutnie konieczne.

— To jest konieczne. Przedtem jednak muszę widzieć się z kimś jeszcze. Twój maż interesował się robotami. Sama mi o tym mówiłaś a słyszałem to i od innych. Nie był jednak robotykiem, nieprawdaż?

— Nie była to jego specjalność, Eliaszu — Wciąż unikała jego wzroku.

— Czy współpracował z robotykiem?

— Z Jothanem Leebigiem — odpowiedziała bez namysłu. — To mój stary przyjaciel.

— Doprawdy? — spytał żywo Baley. Zaskoczyło ją to.

— Czy nie powinnam tego mówić?

— Dlaczego nie, jeśli to prawda?

— Wciąż się boję, że powiem coś, co zrobi ze mnie… Nie wiesz, jak to jest, kiedy wszyscy są przekonani, że coś zrobiłeś.

— Nie przejmuj się. Jak to się stało, że zaprzyjaźniłaś się z Leebigiem?

— Ach, nie pamiętam. On mieszka w sąsiedniej posiadłości. Swobodne oglądanie prawie nie zużywa energii. Można pozostawać stale w łączności, bez żadnych problemów. Dużo razem spacerujemy, czy raczej spacerowaliśmy.

— Nie przypuszczałem, że byłabyś zdolna spacerować z kimkolwiek.

Gladia zaczerwieniła się — mówiłam o oglądaniu. Wciąż zapominam, ze jesteś Ziemianinem. Swobodne oglądanie oznacza, że można iść dokąd się chce, nie tracąc kontaktu wzrokowego. Ja chodziłam po swojej posiadłości a on po swojej i tak spacerowaliśmy razem.

Zadarła podbródek — To może być wcale miłe.

Potem zachichotała — Biedny Jothan!

— Czemu tak o nim mówisz?

— Myślałeś, że chodzimy razem bez oglądania. Chybaby umarł, gdyby się dowiedział, że ktoś mógł tak .o nim pomyśleć.

— Dlaczego?

— Jest na tym punkcie okropnie drażliwy. Mówił mi, że od piątego roku życia przestał widywać ludzi. Upierał się przy oglądaniu.

To się zdarza. Rikain mówił mi, kiedy rozmawialiśmy raz o Jothanie, że takich dzieci jest coraz więcej. Mówił, że to swego rodzaju ewolucja społeczna, która faworyzuje oglądanie. A co ty o tym sądzisz?

— Nie mam zdania w tej sprawie — odparł Baley.

— Jothan nie chciał się nawet ożenić. Rikain złościł się o to.

Mówił, że „społeczeństwu potrzebne są cechy genetyczne Jothana, ale on po prostu odmówił wzięcia tego pod uwagę.

— A czy ma prawo odmówić?

— Nie-e — powiedziała z wahaniem Gladia — ale, wiesz jak to jest. On jest bardzo wybitnym robotykiem, a tych się na Solarii ceni. Myślę, że zrobiono odstępstwo. Tyle ze Rikain zamierzał przerwać współpracę z Jothanem. Powiedział mi raz, że Jothan jest złym Solarianinem.

— Czy mówił to też Jothanowi?

— Nie wiem. Pracował z nim do końca.

— Czy uważał go za złego Solarianina, bo tamten nie chciał się żenić?

— Rikain powiedział mi kiedyś, że małżeństwo jest najcięższym z życiowych doświadczeń, ale że trzeba to przecierpieć.

— A co ty o tym sądzisz?

— O czym, Eliaszu?

— O małżeństwie. Czy też uważasz, że to najcięższe z życiowych doświadczeń.

Jej twarz straciła wszelki wyraz, jakby zmyto z niej uczucia.

— Nigdy o, tym nie myślałam.

— Powiedziałaś, ze stale chodzisz na spacery z Jothanem Leebigiem a potem poprawiłaś się mówiąc że chodziłaś dawniej. Już z nim nie spacerujesz?

Potrząsnęła głową. Jej twarz znów nabrała wyrazu smutku Nie. Tylko raz, czy dwa razy go oglądałam. Robił wrażenie zapracowanego, a ja nie lubię… Rozumiesz?

— Czy tak było od śmierci twego męża?

— Nawet wcześniej. Kilka miesięcy wcześniej.

— Czy nie myślisz, że to doktor Delmarre kazał mu przestać Zaskoczyło ją to — Jak mógłby nam coś kazać? Nie jesteśmy robotami, Jothan ani ja. I czemu miałby to robić?

Baley nie usiłował tego wyjaśniać. Mógłby to zrobić tylko w kategoriach ziemskich pojęć a nie ułatwiałoby to jej zrozumienia.

— Jeszcze tylko jedno, Gladio. Zobaczę cię znów, kiedy skończę z Leebigiem, a jaka to pora dnia?

Ledwie spytał, już tego pożałował. Robot odpowiedziałby

używając ziemskich miar czasu, ale Gladia mogła użyć miar Solariańskich.

Baley miał już dość popisywania się ignorancją.

Gladia jednak powiedziała po prostu — popołudnie.

— Świetnie. Zobaczymy się znów, by umówić się na widzenie.

Znów się zawahała — Czy to konieczne?

— Tak.

— Dobrze więc — odpowiedziała cicho.

Próby nawiązania łączności z Leebigiem przeciągały się. Baley wykorzystał czas, zjadając drugą kanapkę, którą przyniesiono mu w oryginalnym opakowaniu. Przez ostrożność sprawdził pieczęć przed otwarciem opakowania a potem starannie obejrzał zawartość. Otworzył za pomocą własnych zębów plastikowy pojemnik z mlekiem, prosto z lodówki i wypił mleko wprost z pojemnika. Przemknęła mu ponura myśl o bezwonnych i pozbawionych smaku truciznach o opóźnionym działaniu, które można było wprowadzić do pojemnika używając igieł albo strzykawek automatycznych ale odrzucił tę myśl jako dziecinną.

Jak dotąd morderstwa popełniano bądź usiłowano popełnić w możliwie najprostszy sposób. Cios w głowę, porcja trucizny zdolna zabić dwunastu chłopa, zatruta strzała — to nie były wyszukane środki.

Potem pomyślał że dopóki będzie skakał z jednej strefy czasu do drugiej, nie może liczyć na regularne posiłki ani na to, że się wyśpi.

Pojawił się robot — Doktor Lebieg radzi, aby pan spróbował połączyć się z mm jutro. Jest bardzo zajęty.

Baley zerwał się na równe nogi i ryknął — Powiedz temu…

Urwał. Krzyczeć na robota nie miało sensu. Taki sam rezultat osiągnie się mówiąc szeptem.

Normalnym już tonem powiedział — Powiedz doktorowi Leebigowi albo jego robotowi, jeśli inaczej się nie da, że prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa jego współpracownika, dobrego Solarianina. Powiedz mu, że nie mogę czekać, aż skończy prace i że jeśli nie zobaczę go za pięć minut, wsiądę w samolot i za godzinę będę się z nim widział w jego posiadłości. Użyj słowa widzieć, to nie pomyłka.

Potem zajął się znów swoją kanapką.

Nie minęło pięć minut a Leebig, czy raczej Solarianin, który musiał nim być, patrzył już z wściekłością na Baleya. Baley nie pozostał mu dłużny. Leebig był szczupły. Trzymał się prosto. Jego oczy miały wyraz roztargnienia pomieszanego z gniewem. Jedna z powiek nieco opadała.

— To Pan jest tym Ziemianinem?

— Eliasz Baley, agent C-7, prowadzący śledztwo w sprawie

morderstwa doktora Rikaina Delmarre'a. Pańskie nazwisko?

— Jestem doktor Jothan Leebig. Czemu pozwala pan sobie przeszkadzać mi w pracy?

— Przyczyna jest prosta. To mój obowiązek.

— Więc niech się pan z nim zabiera gdzie indziej.

— Przedtem zadam panu kilka pytań, doktorze. Był pan bliskim współpracownikiem doktora Delmarre'a. Zgadza się?

Leebig zacisnął pięści i podszedł do kominka na którego gzymsie niewielkie mechaniczne urządzenia poruszały się w skomplikowanym cyklu, hipnotycznie przyciągając wzrok.

Obraz podążył za Leebigiem, który idąc był w jego środku. Pokój stanowiący tło przesunął się w rytmie kroków w tył.

— Jeżeli jest pan tym cudzoziemcem, którego sprowadzenie zapowiadał Gruer…

— Jestem nim.

— Jeśli tak, znalazł się pan tutaj wbrew memu życzeniu. Koniec oglądania!

— Jeszcze nie. Nie przerywać połączenia! — Baley podniósł głos — i palec, który wycelował w robotyka. Leebig cofnął się z wyrazem niesmaku na twarzy.

— Jeśli mówię o widzeniu się z panem, nie są to puste słowa.

— Tylko bez tych ziemskich grubiaństw, wypraszam sobie.

— Stwierdzam tylko fakt. Będę musiał widzieć się z panem, jeśli nie uda mi się nakłonić pana do wysłuchania mnie. Przytrzymam pana za kołnierz.

— Jest pan plugawym zwierzęciem!

— Może pan sobie myśleć, co pan chce. Zrobię to.

— Jeśli spróbuje pan wtargnąć do mojej posiadłości to ja … ja pana…

Baley uniósł brwi — Zabije mnie pan? Często rzuca pan takie groźby?

— Nie rzucam żadnych gróźb.

— Więc porozmawiajmy! Można było sporo załatwić w tym czasie, który pan zmarnował. Był pan bliskim współpracownikiem doktora Rikaina Delmarre'a. Zgadza się?

Robotyk opuścił głowę, gdy podniósł wzrok, panował już nad sobą. Zdobył się nawet na przelotny zdawkowy uśmiech.

— Byłem.

— Delmarre interesował się, o ile wiem, nowymi rodzajami robotów.

— Tak było.

— Jakimi rodzajami?

— Czy pan jest robotykiem?

— Nie. Proszę to wyjaśnić laikowi.

— Nie wiem, czy potrafię.

— Proszę spróbować. Przypuszczam, że chodziło mu o roboty, zdolne do utrzymania dzieci w posłuchu. Jakie były z tym problemy?

Leebig odrzekł, unosząc brwi — Ujmując to jak najprościej, bez wdawania się w szczegóły, trzeba wzmocnić całkę C, rządzącą reakcją tandemu Sikorowicza na poziomie W-65.

— To niezrozumiałe.

— Ale tak jest.

— Dla mnie to niezrozumiałe. Czy mógłby pan ująć to inaczej?

— Oznacza to pewne osłabienie Pierwszego Prawa.

A to czemu? Dziecko jest przecież utrzymywane w posłuchu dla swego przyszłego dobra. Taka jest teoria.

— Ach, przyszłe dobro! — oczy Leebiga zapłonęły.

Wydawał się zapominać, kto go słucha. Zrobił się wymowny Myśli pan, że to takie proste? A iluż to ludzi zgodziłoby się na drobne choćby niewygody w imię znacznych korzyści w przyszłości? Ileż to czasu trzeba uczyć dziecko, że to, co mu smakuje teraz, oznacza ból brzucha potem, a to co mu nie smakuje teraz, wyleczy go z bólu brzucha potem. A pan chce, by robot to zrozumiał? Jeśliby robot sprawił dziecku przykrość, spowodowałoby to powstanie w pozytronowym mózgu potężnych niszczących napięć. Przeciwdziałanie temu poprzez umożliwienie robotowi zrozumienia owego przyszłego dobra wymagałoby uruchomienia tylu dodatkowych ścieżek, że masa mózgu wzrosłaby o połowę, chyba że zrezygnowałoby się z innych połączeń.

— Nie udało się więc panu zbudować takiego robota?

— Nie i nie zanosi się na to.

— Czy doktor Delmarre wypróbowywał model takiego robota zanim zginął?

— Nie takiego robota. Zajmowaliśmy się też innymi.

— Doktorze Leebig, chciałbym pana prosić o udzielenie mi lekcji. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o robotyce.

Leebig pokręcił głową a powieka opadła mu przy tym w upiornym zmrużeniu oka — To chyba oczywiste, że wykład robotyki nie jest sprawą paru chwil. Nie mam aż tyle czasu.

— Mimo to musi mnie pan poinformować. Cała Solaria — przesiąknięta jest wonią robotów. Jeśli to wymaga czasu, tym bardziej muszę widzieć się z panem. Nie umiem pracować ani myśleć korzystając z oglądania.

Nie wydawało się możliwe by Leebig mógł przybrać jeszcze bardziej sztywną postawę, a jednak udało mu się to.

— Nie interesują mnie pańskie ziemskie fobie. Widzenie nie wchodzi w grę.

— Może zmieni pan zdanie, gdy dowie się pan o czym chcę z

panem mówić.

— To nie ma znaczenia.

— Ach tak? Proszę więc posłuchać. Jestem pewien, że w dziejach robotyki omijano celowo Pierwsze Prawo.

— Omijano? Czy pan zwariował? Po co?

— Aby ukryć fakt — odpowiedział całkiem spokojnie Baley że robot może popełnić morderstwo.

14. Ujawnienie motywu

Leebig wykrzywił usta w grymasie, który był, jak to po chwili zrozumiał Baley, nieudaną próbą uśmiechu.

— Proszę tak nie mówić. Niech pan nigdy tego nie mówi.

— Dlaczego?

— Bo wszystko, co podważa zaufanie do robotów, jest szkodliwe.

Brak zaufania do nich to choroba.

Zachowywał się jakby pouczał dziecko. Mówił łagodnym tonem, mając ochotę krzyczeć. Starał się przekonywać kogoś, kto jego zdaniem zasługiwał na najwyższy wymiar kary.

— Czy zna pan historię robotyki?

— Trochę.

— A powinien pan, jako Ziemianin. Czy wie pan, że roboty zaczynały od walki z kompleksem Frankensteina? Ludzie nie ufali im i obawiali się ich. Robotyka była wręcz tajną nauką. Trzy Prawa wbudowano w roboty, by przezwyciężyć tę nieufność a mimo to Ziemia nigdy nie pozwoliła rozwinąć się zrobotyzowanemu społeczeństwu. Pierwsi pionierzy opuszczali Ziemię by kolonizować Galaktykę tworząc społeczeństwa, w których pozwolono robotom wyzwolić ludzi z ubóstwa i uwolnić ich od ciężkiej pracy. I wtedy nawet pozostało niezbyt głęboko uśpione podejrzenie.

— Czy spotykał się pan z tym uprzedzeniem?

— Nieraz — powiedział posępnie Leebig.

— Czy dlatego pan i inni robotycy przekręcają fakty by nie budzić na nowo, podejrzeń?

— Niczego nie przekręcamy.

— Czy na przykład Trzy Prawa nie są przytaczane w niepełnym brzmieniu?

— Nie!

— Mogę udowodnić, że tak jest i jeśli nie przekona mnie pan, że jest inaczej udowodnię to przed całą Galaktyką.

— Oszalał pan. Pańskie argumenty są fałszywe, zapewniam pana.

— Czy nie powinniśmy tego omówić?

— Jeśli to zbyt długo nie potrwa…

— Twarzą w twarz? Widząc się nawzajem?

Grymas wykrzywił twarz tamtego — Nie.

— Żegnam pana, doktorze! Wysłucha mnie kto inny.

— Chwileczkę! Na Galaktykę, niechże pan poczeka.

— Widząc się?

Robotyk uniósł ręce do twarzy. Przygryzł wielki palec i znieruchomiał w tej pozycji. Patrzył tępo na Baley'a.

Baley zastanawiał się, czy tamten nie cofa się w myślach do wieku

kiedy jeszcze mógłby widzieć się z nim.

Leebig pokręcił głową — Nie mogę. Nie mogę — mówił niewyraźnie, bo z palcem w ustach — Nie mogę. Niech pan robi co pan chce.

Baley patrzył jak tamten odwraca się twarzą do ściany. Patrzył na pochylone plecy i trzęsące się ręce ,zakrywające twarz. — Dobrze więc, oglądanie mi wystarczy — powiedział.

— Przepraszam na chwilę. Zaraz wracam — odrzekł Leebig, wciąż odwrócony.

Baley skorzystał z przerwy i oto przyglądał się swej twarzy w lustrze w łazience. Czy zaczynał rozumieć Solarię i Solarian? Nie był pewien.

Westchnął, nacisnął przycisk, pojawił się robot. Baley, nie odwracając się, spytał — Czy macie tu jeszcze inne urządzenia łączności, poza tym, z którego korzystam.

— Są trzy inne końcówki, proszę pana.

— Powiedz więc Klorissie Cantoro, swojej pani, że aż do odwołania będę korzystał z tego i proszę, żeby mi nie przeszkadzano.

— Tak, proszę pana.

Baley wrócił na swoje miejsce. W centrum obrazu miejsce Leebiga wciąż było puste, usiadł wiec, by czekać.

Nie czekał długo. Wszedł Leebig a pokój znów zatańczył w rytm jego kroków. Najwyraźniej obraz zogniskował się na człowieku. Baley przypomniał sobie złożoność tablicy kontrolnej i odczuł coś w rodzaju uznania dla tego, w czym uczestniczył.

Leebig panował już nad sobą. Poprawił uczesanie, zmienił ubranie. Nowy, luźny strój był z drogiego, połyskującego materiału. Usiadł w wysokim krześle, które wysunęło się ze ściany. Rzeczowym tonem spytał — Jakie wiec ma pan uwagi, odnośnie Pierwszego Prawa?

— Czy możemy być podsłuchani?

— Nie. Zadbałem o to.

— Baley skinął potakująco głową — Pozwoli pan, że zacytuję Pierwsze Prawo?

— To nie jest konieczne.

— Wiem, pozwoli pan jednak… „Robot nie może wyrządzić krzywdy człowiekowi ani przez swą bezczynność dopuścić do wyrządzenia mu krzywdy”.

— I cóż?

— Otóż, kiedy wylądowałem na Solarii, podróżowałem do wyznaczonej mi posiadłości w zamkniętym pojeździe. Chodziło o ochronę przed otwartą przestrzenią. Jako Ziemianin…

— Wiem — powiedział Leebig niecierpliwie. — Co to ma do rzeczy?

— Robot, który prowadził pojazd nie wiedział o tym. Poprosiłem go o odsłonięcie wnętrza i posłuchał. Drugie Prawo, musiał wykonać rozkaz. Poczułem się, oczywiście nieswojo i omal nie zemdlałem. Czy ten robot nie wyrządził mi krzywdy?

— Na pański rozkaz — warknął Leebig.

— Zacytuję Drugie Prawo: .Robot musi wykonywać rozkazy człowieka z wyjątkiem tych, które są sprzeczne z Pierwszym Prawem". Mój rozkaz powinien więc być zignorowany.

— Nonsens. Robot nie mógł wiedzieć…

Baley pochylił się w fotelu — Otóż to! Jak więc powinno brzmieć Pierwsze Prawo? „Robot nie może zrobić niczego co zgodnie z jego wiedzą może wyrządzić krzywdę człowiekowi ani przez swą bezczynność świadomie dopuścić do wyrządzenia mu krzywdy".

— To oczywiste!

— Nie dla przeciętnego człowieka. Przeciwnie, przeciętny człowiek jest w stanie zrozumieć, że robot może popełnić morderstwo.

Leebig zbladł — Pan jest szaleńcem! To obłęd!

Baley przyglądał się końcom swoich palców.

— Robot może wykonać jakąś niewinną czynność, nie przynoszącą szkody człowiekowi.

— Tak, oczywiście. Jeśli otrzyma polecenie. A drugi robot może wykonać inną, równie niewinną czynność, która również nie może zaszkodzić człowiekowi, jeśli otrzyma polecenie.

— Tak.

— A jeśli te dwie najzupełniej niewinne czynności zostaną połączone otrzymamy w rezultacie morderstwo.

— Jak to? — Leebig spoglądał spode łba.

— Chciałbym usłyszeć pańską opinię, jako eksperta — mówi Baley. — Rozważmy hipotetyczny przypadek. Człowiek mówi do robota: Wlej trochę tego płynu do szklanki z mlekiem, którą znajdziesz lam i tam. Płyn jest nieszkodliwy .Chcę zbadać jego wpływ na mleko a potem zostanie wylany. Po wykonaniu polecenia zapomnij o nim".

Leebig milczał z groźną miną.

Baley mówił dalej — Gdybym kazał robotowi wlać do mleka jakiś tajemniczy płyn i podać go człowiekowi, Pierwsze Prawo kazałoby mu spytać „Co to za płyn? Czy nie zaszkodzi człowiekowi?". Nawet gdyby go zapewnić, że płyn jest nieszkodliwy, Pierwsze Prawo wciąż jeszcze mogłoby kazać mu zawahać się i odmówić podania mleka. Mówimy jednak, że mleko będzie wylane.

Pierwsze Prawo nie ma zastosowania. Czy robot nie zrobiłby tego, co mu kazano?

Leebig patrzył z wściekłością na Baley'a.

— Teraz drugi robot bierze mleko, nie wiedząc, że je z czymś zmieszano. W nieświadomości podaje mleko człowiekowi i człowiek

umiera.

— Nie! — krzyknął Leebig.

— Dlaczego nie? Obie czynności są same w sobie niewinne. Tylko ich połączenie daje w wyniku morderstwo. Zgodzi się pan ze mną, że to się może zdarzyć?

— Mordercą będzie człowiek, który wydał polecenie!

— Z filozoficznego punktu widzenia, tak. Roboty były tylko narzędziami zbrodni.

— Nikt nie wydałby takiego polecenia.

— Wydałby i wydał. Dokładnie w taki sposób usiłowano zamordować doktora Gruera. Sądzę, że słyszał pan o tym?

— Na Solarii słyszy się o wszystkim — mruknął Leebig.

— Wie pan więc, że Gruer został otruty przy stole, na oczach moich i mojego partnera, pana Olivawa z Aurory. Czy zna pan może inny sposób w jaki można go było otruć? Prócz niego nie było tam nikogo. Jako Solarianin musi pan uznać znaczenie tego faktu.

— Nie jestem detektywem. Nie mam żadnego pomysłu.

— Jeden panu przedstawiłem. Chcę wiedzieć, czy to możliwe, czy dwa roboty nie mogły wykonać dwóch oddzielnych czynności, których połączenie dawało w rezultacie morderstwo. Pan jest ekspertem, doktorze. Czy to możliwe?

I oto Leebig, znękany i przyparty do muru, prawie niesłyszalnym głosem powiedział — Tak.

— Dobrze więc. Tyle o Pierwszym Prawie.

Leebig utkwił wzrok w Baley'u a jego opadająca powieka mrugnęła raz i drugi. Rozłączył splecione dłonie, palce jednak pozostały zgięte, jakby każda dłoń wciąż ściskała drugą. Rozluźnił palce dopiero gdy oparł dłonie na kolanach.

Baley nie zwracał na to uwagi.

— Teoretycznie, tak — powiedział Leebig — Teoretycznie! Niech pan nie lekceważy Pierwszego Prawa, Ziemianinie. Trzeba wielkiej zręczności w postępowaniu z robotami, by obejść Pierwsze Prawo.

— To oczywiste — odrzekł Baley. — Ja jestem tylko Ziemianinem i nie wiem prawie nic o robotach. Kiedy wydaję im polecenia, naśladuję tylko innych. Solarianin byłby o wiele zręczniejszy, zrobiłby to z pewnością o wiele lepiej.

Leebig zdawał się nie słuchać. Mówił głośno — Jeśli robotem można posłużyć się dla wyrządzenia człowiekowi szkody, oznacza to tylko, że trzeba rozszerzyć możliwości pozytronowego mózgu. Ktoś mógłby powiedzieć, że należałoby uczynić lepszymi ludzi. To niemożliwe, musimy więc lepiej zabezpieczyć roboty.

Wciąż idziemy naprzód. Nasze roboty są bardziej różnorodne, wyspecjalizowane, zręczniejsze i bardziej odporne niż te sprzed stulecia.

Za sto lat będziemy jeszcze dalej. Po cóż ma robot manipulować przy tablicy kontrolnej, skoro można wbudować mózg pozytronowy w samą tę tablicę. To przykład specjalizacji ale można to uogólnić. Czemu robot nie mógłby mieć odłączanych i wymiennych kończyn? Czemu nie? Jeżeli…

Baley przerwał — Czy jest pan jedynym robotykiem na Solarii?

— Niech pan nie robi z siebie głupca!

— Po prostu przyszło mi to na myśl. Doktor Delmarre był jedynym… inżynierem fetologiem, jeśli nie liczyć jego asystentki.

— Na Solarii jest ponad dwudziestu robotyków.

— Czy pan jest najlepszy z nich?

— Jestem najlepszy — odpowiedział Leebig bez skrępowania.

— Delmarre współpracował z panem?

— Zgadza się.

— Słyszałem jednak, że zamierzał przerwać tę współpracę…

— Pierwsze słyszę. Skąd ten pomysł?

— Nie podobało mu się, że jest pan nieżonaty.

— Możliwe. Był prawdziwym Solarianinem, nie wpływało to jednak na nasze kontakty zawodowe.

— Zmieńmy temat. Czy prócz projektowania zajmowali się panowie wytwarzaniem i naprawami?

— Wytwarzaniem i naprawą zajmują się roboty. Mam w swej posiadłości wielką fabrykę robotów i sklep — stację obsługi.

— Czy roboty często się psują?

— Bardzo rzadko.

— Czy to znaczy, że nie jesteście biegli w naprawie robotów?

— Bynajmniej — odrzekł cierpko Leebig.

— A co z robotem, który był obecny przy zabójstwie doktora Delmarre'a?

Leebig ściągnął brwi, jakby chciał zamknąć umysł przed jakąś bolesną myślą — Zupełnie zniszczony.

— Czy naprawdę zupełnie? Nie będzie w stanie odpowiadać na pytania?

— Absolutnie nie. Jest do niczego. Ma spalony mózg. Nie ocalała śni jedna ścieżka. Niech się pan zastanowi! Był świadkiem morderstwa, któremu nie mógł zapobiec.

— Dlaczego nie mógł, nawiasem mówiąc?

— Któż to może wiedzieć? Doktor Delmarre prowadził doświadczenia z tym robotem. Mógł na czas sprawdzania jakiegoś obwodu kazać mu zawiesić wszystkie funkcje. Jeśli niepodejrzany podjął nagle morderczy atak, mogło wystąpić opóźnienie reakcji zanim uruchomiony potencjał Pierwszego Prawa przełamał nakaz zawieszenia funkcji. Wielkość opóźnienia należy od charakteru tego nakazu i od rodzaju napaści. Mogę wymyślić tuzin innych przyczyn,

dla których robot nie zapobiegł morderstwu. Takie pogwałcenie Pierwszego Prawa spaliło wszystkie ścieżki pozytronowego mózgu.

— Jeśli jednak robot nie mógł zapobiec morderstwu, czemu ma ponosić odpowiedzialność? Czy Pierwsze Prawo żąda niemożliwości?

Leebig wzruszył ramionami — Pierwsze Prawo chroni człowieka z całą możliwą energią. Nie dopuszcza żadnych usprawiedliwień. Jeżeli naruszono Pierwsze Prawo, robot jest zniszczony.

— Czy tak jest zawsze i wszędzie?

— Tak samo jak zawsze i wszędzie używa się robotów.

— Nie dowiedziałem się więc niczego.

— Powinien się pan dowiedzieć, że teoria morderstwa, jako szeregu niewinnych czynności, wykonanych przez roboty, nie sprawdza się w przypadku śmierci doktora Delmarre'a.

— Bo zadano mu cios w głowę, a nie otruto. Żaden robot nie mógłby rozbić głowy człowiekowi. Ludzkie ramię musiało kierować narzędziem zbrodni.

— Przypuśćmy jednak, że robot nacisnąłby jakiś niewinny guzik, powodując upadek jakiegoś ciężaru …

Leebig uśmiechnął się kwaśno — Oglądałem miejsce zbrodni i wysłuchałem wszystkich wiadomości. Morderstwo to na Solarii, rzecz niezwyczajna. Wiedziałbym o jakimś ciężarze albo o jakimś mechanizmie.

— Albo o tępym narzędziu — dodał Baley.

— To pan jest detektywem. Niech je pan znajdzie.

— Jeśli jednak przyjmiemy, że robot nie jest winien śmierci Delmarre'a, kto jest winien?

— Wszyscy wiedzą, kto jest winien! — krzyknął Leebig. Jego żona Gladia!

— Taka przynajmniej jest powszechna opinia — pomyślał Baley a głośno powiedział — A kto kierował robotami, które otruły Gruera?

— Przypuszczam… — Leebig zwlekał z odpowiedzią.

— Nie sądzi pan chyba, że było dwóch morderców? Jeśli Gladia odpowiada za jedną zbrodnię, odpowiada też za drugą.

— Tak. Ma pan rację. — Głos Leebiga nabrał pewności. — Nie ma wątpliwości.

— Nie ma wątpliwości?

— Nikt inny nie mógł zbliżyć się do Delmarre'a. Tak jak ja, nie pozwalał na osobiste kontakty, tyle że robił wyjątek dla żony, a ja nie robię żadnych wyjątków. O tyle jestem mądrzejszy — zaśmiał się szorstko robotyk.

— Sądzę, że zna ją pan — rzekł sucho Baley.

— Kogo?

— Mówimy tylko o jednej kobiecie. O Gladii.

— Kto panu powiedział, że znam ją lepiej, niż innych? — Leebig

rozluźnił o cal zapięcie pod szyją.

— Sama Gladia. Chodziliście razem na przechadzki.

— I cóż stąd? Byliśmy sąsiadami. To normalne. Robiła miłe wrażenie.

— Nie miał pan nic przeciw jej towarzystwu.

Leebig wzruszył ramionami — Rozmowa z nią była jakąś odmianą.

— O czym rozmawialiście?

— O robotyce — w tej odpowiedzi był akcent zdziwienia, jakby pytanie było zbędne.

— Czy i ona mówiła o robotyce?

— Tylko słuchała. Nie wiedziała nic o robotyce. Sama zabawiała się eksperymentami z polami siłowymi. Nazywała to kolorystyką pól. Słuchałem jej, chociaż niezbyt uważnie.

— Czy podobała się panu?

— Jak to?

— Czy uważał pan ją za pociągającą? Pociągającą fizycznie?

Teraz nawet opadająca powieka Leebiga uniosła się. Wargi mu drżały. Mruknął — Plugawe zwierzę.

— Może więc spytam inaczej. Kiedy Gladia przestała robić na panu miłe wrażenie?

— O co panu chodzi?

— Mówił pan ,że robiła miłe wrażenie. Teraz myśli pan, że zabiła męża. To nie świadczy o miłym charakterze.

— Myliłem się co do niej.

— Doszedł pan jednak do tego wniosku zanim zabiła męża, o ile to zrobiła. Przestał pan przechadzać się z nią jakiś czas przedtem. Dlaczego?

— Czy to ważne?

— Wszystko jest ważne, dopóki nie dowiedzie się, że jest inaczej.

— Jeśli pan szuka informacji u robotyka, proszę o to pytać. Nie będę odpowiadał na pytania osobiste.

— Był pan bliskim znajomym zarówno zamordowanego jak i głównej podejrzanej. Czy nie rozumie pan, że pytania osobiste są nieuniknione. Czemu przestał pan przechadzać się z Gladią?

— Nadszedł czas, kiedy przestało mi to odpowiadać, kiedy byłem zbyt zajęty, kiedy nie było powodu, by kontynuować przechadzki…

— Kiedy przestała robić na panu miłe wrażenie, innymi słowy.

— Niech i tak będzie.

— Dlaczego przestała robić miłe wrażenie?

— Bez żadnego powodu! — krzyknął Leebig.

Baley puścił to mimo uszu — Jest pan kimś, kto dobrze znał Gladię. Jaki mogła mieć powód?

— Powód?

— Nikt dotąd nie wspomniał o motywie. Gladia nie popełniłaby morderstwa bez powodu.

— Na Galaktykę! — Leebig miał zamiar zaśmiać się, ale zrezygnował — Nikt panu nie mówił? Może nie wiedzieli. Ja wiedziałem.

Mówiła mi o tym. Często mówiła.

— Co panu mówiła, doktorze?

— No, przecież, że kłóciła się z mężem. Kłóciła się ostro i często.

Nienawidziła go, Ziemianinie. Czy nikt panu o tym nie mówił? Czy ona nie mówiła panu?

15. Barwy portretu

Cios był dobrze wymierzony.

Żyjąc po swojemu, Solarianie uważali zapewne życie osobiste za świętość. Pytania o małżeństwo i dzieci były w złym tonie. Małżonkowie mogli kłócić się całymi latami i nikomu nie wypadało zwracać na to uwagi.

Czy jednak i wtedy, gdy chodziło o morderstwo? Czy nikt nie spytał podejrzanej o kłótnie z mężem? Czy nikt nie wspomniałby o tym, gdyby wiedział?

No cóż, Leebig wspomniał.

— O co się kłócili?

— Myślę, że powinien pan ją samą o to zapytać.

— Powinienem — pomyślał Baley wstając. — Dziękuję za współpracę, doktorze. Może będę pana jeszcze potrzebował. Mam nadzieję, że będzie pan osiągalny.

— Koniec oglądania — powiedział Leebig i nagle, wraz ze swoją częścią pokoju, znikł.

Baley po raz pierwszy nie miał nic przeciw podróży samolotem.

Czuł się jak w swoim żywiole.

Nie pomyślał nawet o Ziemi ani o Jessie. Był poza Ziemią dopiero drugi tydzień a równie dobrze mogły to być lata. Na Solarii przebywał od trzech dni, a wydawało się, że od zawsze.

Czy można tak szybko przywyknąć do koszmaru?

Czy sprawiła to Gladia? Już wkrótce będzie ją widział a nie oglądał. Czy stąd płynęła pewność siebie i uczucia zrozumienia i oczekiwania?

Czy ona to wytrzyma? Czy nie wymknie się po paru chwilach, jak to zrobił Quemot?

Kiedy wszedł, stała w odległym końcu sali. Wyglądała jak blade odbicie siebie samej.

Usta ledwie muśnięte czerwienią, ledwie podkreślone brwi, blady błękit w muszlach uszu, nic poza tym. Była blada, wystraszona, bardzo młoda.

Ciemnoblond włosy były ściągnięte z tyłu głowy a szaroniebieskie oczy miały spłoszony wyraz. Miała na sobie granatową, prawie czarną suknię z długimi rękawami, z cienką białą lamówką po bokach, białe rękawiczki, pantofelki na płaskich obcasach. Prócz twarzy, ani cal skóry nie był odsłonięty. Nawet szyję zakrywała nie rzucająca się w oczy kryza.

Baley zatrzymał się — Czy to nie za blisko, Gladio?

Oddech miała szybki i płytki — Zapomniałam już, jak to jest. To całkiem jak oglądanie, jeśli nie myśli się o tym, jako widzeniu,

nieprawdaż?

— Dla mnie to zupełnie normalne — odpowiedział Baley.

— Tak, na Ziemi — przymknęła oczy. — Próbuję czasem wyobrazić to sobie, te tłumy ludzi dookoła. Idzie się drogą, inni idą obok, a jeszcze inni naprzeciw. Dziesiątki…

— Setki — powiedział Baley. — Czy oglądałaś sceny z życia na Ziemi w książkofilmach? A może oglądałaś powieści, których akcja rozgrywa się na Ziemi?

— Prawie nie mamy takich, ale oglądałam powieści, których akcja rozgrywa się w innych Światach Zaziemskich, gdzie ludzie widują się nieustannie. W powieściach nie robi to wrażenia. Wygląda to jak spotkania w stereowizji.

— Czy w tych powieściach ludzie się całują?

Mocno się zaczerwieniła — Nie czytam powieści tego rodzaju.

— Nigdy?

— Cóż, zawsze można trafić na jakieś nieprzyzwoite filmy, więc czasem, z ciekawości… To obrzydliwe, naprawdę.

— Naprawdę?

— Ziemia jest taka inna — mówiła z ożywieniem Gladia. — Tylu ludzi. Wyobrażam sobie, Eliaszu, że można tam dotknąć kogoś przechodząc? Mam na myśli przypadkowe dotkniecie.

Baley uśmiechnął się — Można nawet kogoś niechcący przewrócić — Pomyślał o tłumach na drogach ekspresowych, tłumach ludzi popychających się, wskakujących i zeskakujących z pasów i nieuchronnie zdjęła go tęsknota za domem.

— Nie stój tam — powiedziała Gladia.

— Czy mogę podejść?

— Chyba tak. Powiem ci, jaka odległość będzie odpowiednia.

Baley podchodził krok za krokiem a Gladia patrzyła rozszerzonymi oczami.

— Czy chciałbyś obejrzeć moje malarstwo pól? — spytała.

Baley był o sześć stóp od niej. Zatrzymał się i popatrzył na nią.

Wydawała się tak drobna i krucha. Spróbował wyobrazić ją sobie, jak godzi, czymś trzymanym w ręku (czym?) w głowę swego męża Spróbował wyobrazić ją sobie jako szaloną z wściekłości, pełną nienawiści morderczynię.

Musiał przyznać, że było to możliwe. Nawet drobnej budowy kobieta mogłaby strzaskać czyjąś czaszkę, jeśliby miała odpowiednia broń i była wystarczająco wściekła. Baley znał morderczynie (oczywiście na Ziemi), które normalnie wyglądały niewinnie jak króliczki — Co to jest malarstwo pól, Gladio?

— To nowy rodzaj sztuki.

Baley przypomniał sobie wzmiankę Leebiga. Skinął potakująco głową.

— Chciałbym to zobaczyć.

— Więc chodźmy.

Baley zachowywał sześciostopową odległość. I tak było to mniej niż jedna trzecia odległości, jakiej zażądała Klorissa.

Sala, do której weszli rozbłysła światłem. Jarzył się każdy jej kąt i każda ściana. Gladia z miną dumnej właścicielki patrzyła wyczekująco na Baleya. Jego reakcja musiała być zgodna z jej oczekiwaniami, chociaż nic nie powiedział. Obracając się powoli, próbował zrozumieć, co właściwie ogląda. Nie były to przedmioty materialne, tworzywem było światło. Świetlne formy tkwiły na podtrzymujących je cokołach. Były żywą geometrią, prostymi i krzywymi liniami kolorowego światła łączącymi się w całości, wyraźnie jednak rozpoznawanymi. Nie było tam dwóch podobnych do siebie kształtów.

Baley szukając właściwych słów, spytał — Czy to ma coś przedstawiać?

Gladia zaśmiała się mówiąc swym miłym niskim głosem — Co się komu podoba. Te świetlne formy mają po prostu sprawiać, ze czujesz się wesół, albo zagniewany, albo zaciekawiony, jak ja, kiedy je tworzyłam. Mogłabym stworzyć jedną dla ciebie, coś w rodzaju portretu. Może nie być zbyt udany, bo będzie to improwizacja…

— Mogłabyś? Bardzo mnie to ciekawi?

— Dobrze — powiedziała i pobiegła do świetlnej postaci w kącie sali mijając o kilka cali Baleya. Wydała się tego nie zauważać. Dotknęła czegoś przy cokole i cała świetność ponad nim zgasła jak zdmuchnięta.

Baley westchnął — Nie rób tego!

— To nic. ta mi się już opatrzyła. Inne tylko przyciemnię, żeby mnie nie rozpraszały — Odsłoniła tablice kontrolną w ścianie i przesunęła opornik.

— Czy robot nie mógłby tego zrobić?

— Pst — powiedziała niecierpliwie. — Nie wpuszczam tu robotów. Tu jestem tylko ja — patrzyła na niego w skupieniu. — Kłopot w tym, że znam cię niezbyt dobrze.

Nie patrzyła na cokół, dotykała tylko palcami jego gładkiej powierzchni. Palce były zgięte, napięte w oczekiwaniu. Jeden poruszył się, opisując półkole nad powierzchnią cokołu. Świetlna przegroda o głębokiej żółtej barwie uniosła się i zawisła ukośnie. Palec cofnął się nieco. Światło pojaśniało. Uniosła wzrok. — To chyba to. Niematerialna siła.

— Na Jozafata! — powiedział Baley.

— Czujesz się urażony? — uniosła palce a złocista pochyła płaszczyzna znieruchomiała.

— Ależ nie. Co to jest? Jak to robisz?

— To niełatwo wyjaśnić — powiedziała Gladia. — Sama nie

bardzo to rozumiem. Pola siłowe o różnych poziomach energii dają takie właśnie efekty optyczne. W istocie mamy tu do czynienia z przenikaniem nadprzestrzeni w zwykłą przestrzeń. Odcienie światła zależą od poziomu energii, kształt i kolor, od promieniowania moich palców, odbieranego przez czujniki ukryte w cokole.

— Więc jeśli tego dotknę… — Baley postąpił naprzód. Gladia ustąpiła mu miejsca. Dotknął ostrożnie cokołu i poczuł lekkie mrowienie w palcu.

— Dalej. Porusz palcem, Eliaszu.

Baley zrobił to i brudnoszary strzęp światła uniósł się przebijając żółtą płaszczyznę. Baley cofnął szybko palec. Gladia roześmiała się, zaraz jednak przybrała skruszoną minę.

— Nie powinnam się śmiać. To trudne nawet dla kogoś, kto ma długi trening. — Zrobiła lekki ruch dłonią zbyt szybki, by mógł go zapamiętać i potworność, którą stworzył, znikła. Znów było tylko żółte światło.

— Jak się tego nauczyłaś?

— Próbowałam wciąż na nowo. To nowy rodzaj sztuki i tylko parę osób to potrafi…

— A ty jesteś najlepsza — powiedział ponuro Baley. — Na Solarii każdy jest najlepszy, albo jedyny, albo jedno i drugie naraz.

— Nie śmiej się. Moje prace mają powodzenie. Miałam już parę wystaw. — Zadarła dumnie podbródek.

— Twój portret czeka — powiedziała.

Jej palce znów się poruszyły. Pojawiło się kilka rosnących świetlnych krzywych o ostrych kątach. Kolor niebieski przeważał.

— To Ziemia — Gladia przygryzła dolną wargę — zawsze myślałam o Ziemi w tym kolorze. Wszyscy ci ludzie i to całe widywanie ich… Oglądanie jest raczej różowe, me uważasz?

— Na Jozafata! Nie umiem myśleć o rzeczach, jak o kolorach.

— Nie? — spytała roztargnionym tonem — Kiedy mówisz „na Jozafata!”, to dla mnie kropla fioletu, mały kleks o ostrych konturach.

I mały kleks pojawił się w samym środku.

— A teraz zakończenie — spłaszczony, matowo szary sześcian pojawił się, by zamknąć wszystko inne. Przenikało przezeń światło, było jednak przyćmione, uwięzione. Baley posmutniał, jakby to coś zamknęło jego samego, odcinając go od czegoś, czego pragnął — Co to było, to ostatnie?

Gladia odpowiedziała — To przecież ściany które cię otaczają tak, że nie możesz wyjść na zewnątrz, musisz być w środku, jesteś w środku. Czy tego nie czujesz?

Baley czuł i nie podobało mu się to.

— Nie jestem całkiem zamknięty. Wyszedłem na zewnątrz.

Nie mógł się oprzeć chęci stawiania oporu.

— To, że cię widzę, że możesz to znieść.

Spojrzała na niego z namysłem — Czy chciałbyś przejść się trochę ze mną.

Miał ochotę powiedzieć — Na Jozafata, nie!

— Nigdy jeszcze nie spacerowałem tak z nikim. Jest jeszcze dzień i piękna pogoda.

Baley spojrzał na swój portret — A jeśli pójdę, czy wymażesz tę szarość?

Uśmiechnęła się — Zobaczymy, jak się będziesz sprawował.

Gdy wychodzili z sali, świetlisty kształt pozostał tam, wciąż unosząc duszę Baleya szczelnie zamkniętą w szarości Miast.

Baley dygotał. Ruch powietrza wokół niego przyprawiał go o dreszcze.

— Czy ci nie zimno? — spytała Gladia?

— Przedtem było cieplej.

— Jest schyłek dnia, ale nie jest zimno. Jeśli chcesz włożyć płaszcz, robot przyniesie go za chwilę.

— Nie. Tak jest dobrze. — Zaczęli iść wąską, wyłożoną płytami ścieżką. — Czy tu przechadzaliście się z doktorem Leebigiem?

— O, nie. Chodziliśmy po polach, gdzie można co najwyżej zobaczyć robota przy pracy i można usłyszeć głosy zwierząt. My, na wszelki wypadek, nie odejdziemy daleko od domu.

— Na wypadek czego?

— Na wypadek, gdybyś chciał wejść do środka.

— Albo gdybyś ty miała dość widzenia.

— Widzenie wcale mi nie przeszkadza — powiedziała Gladia z nutą brawury w głosie.

Nad nimi szumiały liście. Zieloność i żółtość były wszędzie dookoła. W powietrzu rozlegały się ostre, Wysokie krzyki. Słychać było brzęczenie. I były cienie.

Cienie przyciągały uwagę Baleya. Ten zwłaszcza kształtem S przypominający człowieka, którego ruchy były upiornym naśladownictwem jego własnych ruchów. Baley słyszał oczywiście o cieniach, wiedział czym były, ale nie zauważył ich w rozproszonym świetle Miast.

Za plecami miał słońce Solarii. Starał się nie patrzeć na nie, ale wiedział, że ono tam jest.

Pociągała go ogromna pusta przestrzeń. W myśli przemierzał powierzchnię planety a dokoła niego były tysiące mil i lata świetlne przestrzeni. Dlaczego pociągała go ta myśl? Nie pragnął przecież samotności. Pragnął Ziemi, ciepła, przyjacielskiej atmosfery Miast.

Próbował wyczarować w myśli Nowy Jork z całym jego tłokiem i hałasem i stwierdził, że widzi tylko spokojny krajobraz Solarii.

Nieświadomie zbliżył się do Gladii i dopiero gdy był o dwie stopy

od niej, zauważył jej wyraz twarzy. — Przepraszam — powiedział, odsuwając się. Zaczerpnęła tchu — Nic nie szkodzi. Może pójdziemy tędy? Kwietniki powinny ci się spodobać.

Słońce świeciło im w plecy. Baley poszedł w milczeniu za Gladią.

— Później będzie tu naprawdę pięknie — powiedziała. — Kiedy jest ciepło mogę sobie zbiec do jeziora i pływać albo biec po prostu przed siebie aż w końcu padam i leżę na trawie.

Spojrzała po sobie — Ten strój jest nieodpowiedni. W nim trzeba poruszać się z godnością.

— A jak chciałabyś być ubrana?

— W stanik i szorty, najwyżej — wykrzyknęła unosząc ręce jakby odczuła tę wyobrażoną swobodę. — Czasem mniej. Czasem noszę tylko sandały i czuję jak każdy cal skóry styka się z powietrzem. Przepraszam, pewnie cię uraziłam?

— Nie, wcale nie. Czy tak się ubierałaś, spacerując z Leebigiem?

— To zależało od pogody. Czasem miałam na sobie naprawdę niewiele, ale to przecież było tylko oglądanie. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

— Rozumiem. A co z doktorem Leebigiem? Czy on też tak lekko się ubierał?

— Jothan? — Gladią błysnęła uśmiechem — O nie. On jest zawsze bardzo uroczysty. — Zrobiła poważną minę i zmrużyła oko, znakomicie uchwyciwszy podobieństwo. Baley wydał pomruk uznania.

— Rozmowa z nim wyglądała tak: „Moja droga Gladio, jeśli weźmie się pod uwagę oddziaływanie wyższego rzędu potencjału na strumień pozytronów…" — O tym z tobą rozmawiał? O robotyce?

— Najczęściej o tym. On to bierze strasznie serio. Próbował nauczyć mnie czegoś i nie dawał za wygraną.

— I nauczyłaś się czegoś?

— Niczego. Wszystko mi się plątało. Czasem złościł się ale kiedy zaczynał zrzędzić, a byliśmy nad jeziorem, wskakiwałam do wody, tak by go ochlapać.

— Ochlapać? Myślałem, że to było oglądanie?

Zaśmiała się — Ależ z ciebie Ziemianin! Ochlapałam tylko obraz.

Był w swojej posiadłości. Woda nic mogła go dosięgnąć, ale i tak się kulił. Spójrz!

Baley spojrzał. Obeszli kępę drzew i weszli na polanę z malownicza sadzawką pośrodku. Wąskie ścieżki dzieliły polanę. Między nimi bujnie rosły kwiaty.

Baley znał kwiaty z książkofilmów. Przypominały w jakiś sposób świetlice konstrukcje Gladii, które były chyba konstruowane z myślą o kwiatach. Dotknął ostrożnie kwiatu i rozejrzał się wkoło. Przeważały kwiaty żółte i czerwone. Mignęło mu słońce.

— Słońce stoi nisko — powiedział z niepokojem.

— Jest późne popołudnie — zawołała Gladia, która tymczasem podbiegła do sadzawki i usiadła na kamiennej ławie przy brzegu Chodź tu — wołała go, kiwając ręką, — Nic musisz siadać, jeśli nie chcesz, — Czy ono obniża się tak codziennie? — spytał Baley podchodząc i zaraz tego pożałował. Jeśli planeta się obracała, słońce tylko w południe mogło stać wysoko.

Wiedział przecież, że w nocy cała średnica planety oddzielała go bezpiecznie od słońca. Wiedział, że chmury i zmierzch zakrywają to co było najgorszego w otwartej przestrzeni. Gdy pomyślał jednak o powierzchni planety widział blask, światło wysoko nad głową.

Zerknął na słońce, próbując jednocześnie ocenić odległość od domu na wypadek, gdyby zdecydował się wracać.

Gladia wskazywała drugi koniec kamiennej ławki.

— To całkiem blisko ciebie — zauważył.

Rozłożyła ręce — Zaczynam się przyzwyczajać.

Usiadł zwrócony do niej twarzą, by uniknąć widoku słońca. Nachyliła się nad wodą i zerwała żółty, biało prążkowany wewnątrz, kielichowaty kwiatek, nic nadzwyczajnego.

— To roślina miejscowego pochodzenia. Większość kwiatów pochodzi z Ziemi.

Woda kapała z przerwanej łodyżki, gdy podała ostrożnie kwiat Baleyowi. Wyciągnął, równie ostrożnie rękę — Zabiłaś go — powiedział.

— To tylko kwiat. Są ich tysiące — I nagle, nim zdążył ująć kwiat, porwała go z powrotem. Oczy jej zapłonęły — Czy chcesz dać mi do zrozumienia, że mogłabym zabić człowieka, bo zerwałam kwiat?

Baley powiedział pojednawczo — Niczego nie daję do zrozumienia. Czy mogę go obejrzeć?

Właściwie nie miał ochoty dotykać kwiatu. Wyrósł on w wilgotnym gruncie i nosił jeszcze ślady błota. Jak mogli ci ludzie, tak ostrożni w kontaktach z Ziemianami i nawet ze sobą, być tak niedbali, stykając się ze zwykłym brudem?

Wziął jednak łodyżkę w dwa palce i przyjrzał się kwiatowi. — Kilka cienkich bibulastych płatków zakrzywiających się wokół wspólnego środka tworzyło kielich. Wewnątrz kryła się biała wypukłość, wilgotna, pokryta czarnymi włoskami, które drżały na wietrze.

— Nie powąchasz? — spytała Gladia.

Baley uświadomił sobie, że kwiat pachnie. Nachylił się: — Pachnie jak perfumy.

Gladia klasnęła w dłonie rozbawiona — To w twoim stylu. Przecież to perfumy pachną jak kwiaty.

Baley skinął smutno głową. Otwarta przestrzeń zaczynała dawać

mu się we znaki. Cienie wydłużały się i otoczenie pomroczniało. Nie miał jednak zamiaru się poddawać. Zależało mu, jakkolwiek romantycznie by to wyglądało, na tym by z jego portretu znikły szare świetlne ściany.

Gladia zabrała kwiat, bez oporu ze strony Baleya. Powoli rozchylała płatki — Myślę, że każda kobieta pachnie inaczej…

— To zależy jakich perfum używa — zauważył Baley obojętnie.

— Wyobrażam sobie, że z bliska można to ocenić. Ja nie używam perfum, bo nikt nie zbliża się do mnie, nie licząc ciebie, w tej chwili.

Przypuszczam, że często stykasz się z zapachem perfum. Na Ziemi twoja żona jest zawsze przy tobie, nieprawdaż? — Skupiła całą uwagę na kwiatku starannie odbywając płatki.

— Nie przez cały czas, nie bezustannie — odparł.

— Ale przez większość czasu. I kiedy zechcesz…

Baley przerwał — Dlaczego doktor Leebig tak usilnie starał się nauczyć cię robotyki?

Z kwiatu została już tylko łodyżka z wewnętrzną wypukłością.

Gladia obracała ją w palcach a potem wrzuciła do sadzawki. — Myślę, że chciał bym została jego asystentką.

— Czy ci to powiedział, Gladio?

— To było na samym końcu, Eliaszu. Sądzę, że się zniecierpliwił. W każdym razie spytał, czy praca robotyka nie wydaje mi się zajmująca. Powiedziałam, naturalnie, że nie wyobrażam sobie, co może być nudniejsze. Był bardzo zły.

— I potem już się z tobą nie przechadzał?

— Chyba właśnie odtąd — nic. Chyba zraniłam jego uczucie, ale co mogłam zrobić innego?

— A przedtem mówiłaś mu o swoich kłótniach z doktorem Delmarrem?

Zacisnęła pięści. Ciało jej zesztywniało. Przechyliła głowę i nienaturalnie wysokim głosem spytała — O jakich kłótniach?

— O kłótniach z twoim mężem. Podobno go nienawidziłaś.

Patrzyła na niego z wściekłością. Twarz miała wykrzywioną, plamy na policzkach — Kto ci to powiedział? Jothan?

— Doktor Leebig wspomniał o tym. To chyba prawda?

To nią wstrząsnęło — Wciąż próbujesz udowodnić, że go zabiłam. Miałam cię za przyjaciela a jesteś tylko… detektywem.

Uniosła pięści w górę.

— Wiesz, że nie zdołasz mnie dotknąć — powiedział.

Opuściła ręce i zaczęła płakać. Odwróciła głowę.

Baley pochylił głowę i zamknął oczy by nie oglądać niepokojąco długich cieni. Spytał — Doktor Delmarre nie był zbyt uczuciowy, nieprawdaż?

— Był bardzo zajęty — odpowiedziała zdławionym głosem.

— A ty jesteś uczuciowa. Mężczyźni cię pociągają.

— Nic na to nie poradzę. Wiem, że to wstrętne. Nie powinno się nawet mówić o tym.

— Mówiłaś jednak o tym z doktorem Leebigiem.

— Jothan był pod ręką i wydawało się, że mnie rozumie a ja czułam się lepiej, mówiąc o tym.

— Czy to był powód kłótni. Miałaś mężowi za złe, że nie był dla ciebie czuły?

— Czasami go nienawidziłam. Był dobrym Solarianinem, a że nie mieliśmy zgody na dz… na dz… — urwała.

Baley czekał. Kiedy Gladia uspokoiła się spytał, najłagodniej jak umiał — Czy go zabiłaś, Gladio?

— N-nie!. — A potem jakby opuściła ją chęć oporu dodała Nie powiedziałam ci wszystkiego.

— Więc zrób to teraz, proszę.

— Kłóciliśmy się wtedy, kiedy zginął. Krzyczałam na niego On na mnie nigdy nie krzyczał. Prawie mi nie odpowiadał a to tylko pogarszało sprawę. Byłam po prostu wściekła. Niczego nie pamiętam…

— Na Jozafata! — Baley zachwiał SHJ i wbił wzrok w kamienną ławkę — Czego nie pamiętasz?

— Był martwy, krzyczałam, zjawiły się roboty…

— Zabiłaś go?

— Nie pamiętam tego Eliaszu a pamiętałabym, gdybym to zrobiła, prawda? Tak się bałam… Pomóż mi, Eliaszu!

— Pomogę ci Gladio, bądź spokojna. — Myśli, Baleya skupiły się na narzędziu zbrodni. Co się z nim stało? Musiało zostać usunięte.

Mógł to zrobić tylko morderca. Gladię znaleziono na miejscu zbrodni zaraz po dokonaniu morderstwa, nie mogła więc tego zrobić. Mordercą musiał być. ktoś inny.

Baley poczuł, że musi wracać pod dach. Robiło mu się niedobrze.

— Gladio…

Spojrzał na słońce. Było już nad horyzontem. Obrócił głowę i patrzał na nie z jakąś chorobliwą fascynacją. Nigdy nie widział takiego słońca. Było szerokie, czerwone, nieco przyćmione. Można było na me patrzeć. Nie oślepiało. Widać było cienkie krwawe pasma chmur ponad nim. Jedno cienkie pasmo niczym czarna sztaba przecinało tarczę.

— Słońce jest takie czerwone — wymamrotał.

Usłyszał zdławiony głos Gladii, mówiącej ze smutkiem — Zawsze jest takie o zachodzie, czerwone i gasnące.

Baley wyobrażał sobie, jak słońce zapada za horyzont a powierzchnia planety ucieka od niego z prędkością tysiąca mil na godzinę, jak po obracającej się powierzchni niczym mikroby biegają

ludzie, a ona wiruje, szaleńczo, bez końca.

To jego głowa wirowała, a kamienna ławka nachyliła się. Ciemnoniebieskie niebo ciążyło, słońce znikło. Zapamiętał zamieniające się miejscami trawę i wierzchołki drzew, krzyk Gladii i jakiś inny głos.

16. Próba wyjaśnienia

Baley uświadomił sobie, że jest w zamkniętym pomieszczeniu i że ktoś pochyla się nad nim.

Przez chwile nie mógł rozpoznać twarzy — Daniel!

W twarzy robota nie było ulgi ani żadnego zresztą rozpoznawalnego uczucia — Cieszę się, że odzyskałeś przytomność, Eliaszu. Nie ucierpiałeś chyba zbyt poważnie?

— Wszystko w porządku — powiedział Baley, tytułem próby unosząc się przy tym na łokciach. — Na Jozafata? Jestem w łóżku? Dlaczego?

— Byłeś dziś wiele razy poddany działaniu otwartej przestrzeni a skutki tego nakładały się na siebie. Musisz odpocząć.

— Ty musisz najpierw odpowiedzieć mi na kilka pytań. — Baley rozejrzał się. Trochę kręciło mu się w głowie. Nie poznawał pokoju.

Zasłony były zaciągnięte, światło było sztuczne. Poczuł się lepiej.

— Na przykład, gdzie; jestem?

— W pokoju, w domu pani Delmarre.

— Następnie wyjaśnij mi, co tu robisz? Jak się wydostałeś spod opieki robotów?

— Wiedziałem, że nie spodoba ci się taki obrót sprawy, mając jednak na względzie twoje bezpieczeństwo i moje instrukcje, nie miałem innego wyboru…

— Co zrobiłeś, na Jozafata!

— Pani Delmarre usiłowała przed kilku godzinami zobaczyć się z tobą.

— Tak — Baley przypomniał sobie, że Gladia mówiła mu o tym — Wiem o tym.

— Kazałeś robotom trzymać mnie pod strażą: „Nie wolno mu (to znaczy mnie) nawiązać łączności, oglądać ani widzieć nikogo z ludzi ani robotów". Nie mówiłeś jednak partnerze Eliaszu, że nikomu z ludzi ani robotów nie wolno nawiązać łączności ze mną. Dostrzegasz tę różnicę?

Baley jęknął.

— Nie przejmuj się, Eliaszu. To niedopatrzenie pomogło zachować cię przy życiu. Gdy już pani Delmarre za zgoda moich strażników zobaczyła się ze mną, spytała o ciebie, a ja odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie znam twego miejsca pobytu, ale mogę spróbować cię odszukać, a ona mogłaby tymczasem kazać przeszukać dom robotom, które są przy mnie.

— Czy nie zdziwiło jej, że sam im tego nie rozkażesz?

— Dałem jej do zrozumienia, Eliaszu, że jako przybysz z Aurory nie jestem tak obznajomiony z robotami jak ona i że jej rozkazy

znajdą większy posłuch i zostaną szybciej wykonane. Solarianie dumni są ze swej biegłości w posługiwaniu się robotami i lekceważą umiejętności mieszkańców innych światów.

— Kazała więc im odejść?

— Nie bez trudu. Powoływały się na wcześniejsze rozkazy, ale nie mogły ich oczywiście przytoczyć, bo nie pozwoliłeś im ujawnić kim naprawdę jestem. Zmusiła je w końcu do posłuszeństwa, chociaż musiała na nie nawrzeszczeć.

— A potem wyszedłeś?

— Wyszedłem, Eliaszu.

Szkoda, pomyślał Baley, że Gladia nie uznała tego incydentu za godny wzmianki — Długo mnie szukałeś, Danielu.

— Solariańskie roboty korzystają z subeterycznej sieci — informacyjnej. Biegły Solarianin może łatwo uzyskać informacje ale mając do czynienia z milionami podobnych do mnie maszyn i nie mając W tym doświadczenia potrzebowałem czasu by wygrzebać tę konkretną informację. Ponad godzinę dowiadywałem się o twoje miejsce pobytu. Sporo czasu zajęła mi też wizyta w miejscu pracy doktora Delmarre'a.

— Co tam robiłeś?

— Prowadziłem poszukiwania na własną rękę. Szkoda, że cię tam nie było. Ale wymogi śledztwa nie pozostawiały mu wyboru.

— Czy widziałeś się z Klorissą Cantoro?

— Oglądałem ją, ale już z jej zakładu, nie z naszej posiadłości.

Musiałem zobaczyć rejestry zakładu. Wystarczyłoby zapewne obejrzenie ich, ale pozostawanie w posiadłości mogło być ryzykowne skoro już trzy roboty wiedziały kim jestem i mogły mnie bez trudu uwięzić.

Baley czuł się prawie dobrze. Usiadł i z niesmakiem stwierdził, że ma na sobie nocą koszulę.

— Podaj mi moje ubranie.

Daniel podał je.

Ubierając się Baley spytał — Gdzie jest pani Delmarre?

— W areszcie domowym, Eliaszu.

— Co takiego? Z czyjego rozkazu?

— Z mojego rozkazu. Nie opuszcza swojej sypialni, które] pilnują roboty a jej polecenia, o ile nie dotyczą potrzeb osobistych, zostały zneutralizowane.

— Przez ciebie?

— Roboty w tej posiadłości nie wiedzą, kim jestem.

Baley skończył się ubierać — Wiem, o co oskarża się. Gladię. Miała sposobność dokonania zbrodni i to większą niż sądziliśmy. Nie pobiegła na miejsce zbrodni, usłyszawszy krzyk męża, jak to mówiła na początku. Była tam cały czas.

— Czy była świadkiem morderstwa i widziała mordercę?

— Nie, nie pamięta niczego z decydujących chwil. To się zdarza. Okazało się, że miała też powód:

— Jaki powód, Eliaszu?

— Od początku brałem tę możliwość pod uwagę. Mówiłam sobie, że gdyby to było na Ziemi i gdyby doktor Delmarre był taki jak go opisują, a Gladia Delmarre taka, na jaką wygląda powiedziałbym, że ona kocha go albo kochała, a on kocha tylko siebie. Trudno powiedzieć, czy Solarianie kochają jak Ziemianie. Mój sąd o ich uczuciach mógł być błędny. Dlatego musiałem widzieć kilkoro z nich, nie oglądać, lecz widzieć.

— Nie nadążam, partnerze Eliaszu, za biegiem twoich myśli.

— Nie wiem, czy zdołam to wyjaśnić. Otóż tym ludziom dobrano przed urodzeniem możliwości genetyczne a rzeczywisty układ genów sprawdzany jest po urodzeniu.

— Wiem o tym.

— Geny to jednak nie wszystko. Liczą się też wpływy otoczenia. Otoczenie może wpędzić w rzeczywistą psychozę, gdy układ genów dopuszcza tylko taką możliwość. Czy zauważyłeś, że Gladia interesuje się Ziemią?

— Wspominałem o tym, Eliaszu. Przyjąłem, że interesuje się tym by móc wpływać na twoje opinie.

— Przypuśćmy, że to prawdziwe zainteresowanie a nawet fascynacja. Przypuśćmy, że w ziemskich tłumach jest coś, co ją podnieca, że pociąga ja wbrew jej woli coś co nauczono ją uwalać za obrzydlistwo. Może była anormalna. Musiałem to sprawdzić widując Solarian i obserwując ich reakcję na widzenie. Dlatego musiałem rozłączyć się z tobą, Danielu i porzucić oglądanie jako metodę prowadzenia śledztwa.

— Nie wyjaśniłeś mi tego, partnerze Eliaszu.

— A czy wyjaśnienie pomogłoby w zetknięciu z tym co uważasz za swój obowiązek wobec Pierwszego Prawa?

Daniel milczał.

— Eksperyment rozwijał się. Widziałem się albo próbowałem się widzieć z kilkorga osobami. Pewien stary socjolog próbował i dał za wygraną w połowie. Pewien robotyk odmówił widzenia w ogóle, nawet w obliczu zagrożenia. Sama tylko możliwość wpędziła go w jakoś dziecinne przerażenie, ze szlochami i z palcem w ustach. Asystentka doktora Delmarre'a była zawodowo przyzwyczajona do kontaktów osobistych i znosiła moją obecność, ale z odległości dwudziestu stóp. Gladia natomiast…

— Tak, partnerze Eliaszu.

— Gladia natomiast zgodziła się mnie widzieć po krótkim zaledwie wahaniu. Znosiła moja obecność — a napięcie wyraźnie

słabło z biegiem czasu. Wszystko to pasuje do schematu psychozy. Nie miała nic przeciw widzeniu się ze mną, interesowała się Ziemią, wykazywała nienormalne zainteresowanie mężem. Można to wyjaśnić silną skłonnością do kontaktów osobistych z osobami przeciwnej płci. Doktor Delmarre natomiast nie zachęcał jej do tego i nie podzielał tych uczuć. Musiało to być dla niej gorzkim rozczarowaniem.

Daniel skinął potakująco głową — Rozczarowaniem dość wielkim, by w chwili gniewu zabić.

— Mimo wszystko, nie jestem tego zdania Danielu.

— Jesteś chyba pod wpływem nie związanych ze sprawa okoliczności, Eliaszu. Pani Delmarre jest atrakcyjną kobietą, a ty jako Ziemianin nie masz jej za złe skłonności do kontaktów osobistych.

— Mam lepsze powody — powiedział z zakłopotaniem Baley (chłodne, przenikliwe spojrzenie Daniela zdawało się sięgać wgłąb jego duszy. Na Jozafata, ten stwór był przecież tylko maszyną).

— Jeśli zamordowała męża musi też być winna usiłowania zabójstwa Gruera. — Już chciał wyjaśnić jak można było tego dokonać, posługując się robotami ale powstrzymał się w porę. Nie miał pewności jak zareaguje Daniel na teorię, która czyni z robotów nieświadomych morderców.

— I zamachu na twoje życie — dodał Daniel.

Baley nachmurzył się. Nie miał zamiaru wspominać o zatrutej strzale. Nie zamierza, dawać argumentów swojemu vis-à-vis.

— Co ci powiedziała Klorissa? — spytał gniewnie. Powinien ją uprzedzić, by trzymała język za zębami ale czy mógł przewidzieć, że Daniel zacznie krążyć, zadając pytania?

— Pani Cantoro nie ma z tym nic wspólnego — odparł chłodno Daniel. — Sam byłem świadkiem usiłowania morderstwa.

— Przecież cię tam nie było!

— Sam przed godziną podniosłem cię i przyniosłem tutaj.

— O czym ty mówisz?

— Nie pamiętasz, Eliaszu? To było prawie morderstwo doskonałe. Czy to nie pani Delmarre zaproponowała wyjście na zewnątrz?

Nie byłem świadkiem ale jestem prawie pewien, że tak było.

— Tak, zaproponowała to.

— Mogła nawet zachęcać cię do opuszczenia domu.

Baley pomyślał o swoim „portrecie" i zamykających go szarych ścianach. Czy mógł to być sprytny chwyt psychologiczny? Czy Solarianka mogła do tego stopnia wczuć się w psychikę Ziemianina?

— Nie — powiedział.

— Czy to nie ona zaproponowała zejście do sadzawki i zapraszała byś usiadł na ławce?

— No cóż, tak było.

— Nie sądzisz, że musiała zauważyć, jak pogarsza się twój stan?

— Pytała raz i drugi, czy chcę wracać.

— Mogła nie mówić o tym serio. Przyglądała ci się kiedy zasłabłeś tam, na ławce a może i popchnęła cię, chociaż nie było to chyba konieczne. Zdążyłem chwycić cię w chwili gdy spadałeś z ławki w głęboką na trzy stopy wodę, w której z pewnością byś utonął.

Teraz dopiero przypomniał sobie Baley ostatnie, umykające świadomości wrażenia — Na Jozafata!

— Ponadto — mówił nieubłaganie Daniel — pani Delmarre siedziała obok ciebie, widziała twój upadek i nie ruszyła się, by go powstrzymać. Nie usiłowałaby też wyciągnąć cię z wody. Pozwoliłaby ci utonąć. Wezwałaby robota, ten z pewnością przybyłby za późno, a ona mogłaby się tłumaczyć tym że nie była W stanie cię dotknąć, nawet by ratować ci życie.

— Całkiem możliwe — pomyślał Baley — Nikt nie poddałby w wątpliwość tego, że nie mogła dotknąć innej istoty ludzkiej. Co najwyżej dziwiono by się, że w ogóle mogła być tak blisko mnie.

— Jak widzisz, partnerze Eliaszu, trudno Wątpić w to, że jest winna. Oświadczyłeś, że musiałaby również być niedoszła morderczynią Gruera tak jakby to był argument na jej korzyść, a to przecież musiała być ona. W obu przypadkach mamy ten sam powód: chęć pozbycia się kłopotliwego i upartego badacza pierwszego morderstwa.

— Cały ten łańcuch wydarzeń mógł być dziełem przypadku. Mogła nie zdawać sobie sprawy z tego jak otwarta przestrzeń podziała na mnie.

— Studiowała przecież obyczaje Ziemian i znała ich słabości.

— Zapewniałem ją jednak, że zaczynam przyzwyczajać się do przebywania na dworze.

— Mogła wiedzieć lepiej.

Baley uderzył pięścią w dłoń. — Przypisujesz jej zbyt wiele sprytu. To do niej niepodobne. W każdym razie nie można postawić oskarżenia o morderstwo, jak długo nie można wytłumaczyć braku narzędzia zbrodni.

Daniel z niewzruszoną powagą rzekł — Mogę to wytłumaczyć, partnerze Eliaszu.

Baley patrzył z osłupieniem na robota — Jak?

— Jak pamiętasz, twoje rozumowanie wyglądało tak: jeśli pani Delmarre była morderczynią, broń musiała pozostać na miejscu zbrodni. Roboty, które zjawiły się prawie natychmiast, nie znalazły nawet śladu broni, musiała więc zostać usunięta z miejsca zbrodni, musiał ją więc usunąć morderca, stąd — mordercą nie może być pani Delmarre. Czy to się zgadza?

— Zgadza się.

— A jednak, — ciągnął robot — było jedno miejsce, gdzie roboty

nie szukały broni…

— Jakie miejsce?

— Pod panią Delmarre, która leżała zemdlona, zakrywając swym ciałem broń.

— Znaleziono by więc broń, gdy tylko ją przeniesiono.

— Tak jest — potwierdził robot — ale roboty jej nie przenosiły. Mówiła nam wczoraj przy obiedzie, że doktor Thool kazał robotom podłożyć jej poduszkę pod głowę i zostawić ją w spokoju. Pierwszy dotknął jej sam doktor Altin Thool, kiedy przybył ją zbadać.

— I cóż?

— Wynika z tego, partnerze Eliaszu, że pojawia się nowa możliwość. Pani Delmarre jest morderczynią a broń była na miejscu zbrodni ale doktor Thool zabrał ją i zniszczył, by chronić panią Delmarre.

Baley poczuł rozczarowanie. Spodziewał się usłyszeć coś bardziej rozsądnego. — Całkowicie brak tu motywów. Dlaczego doktor Thool miałby coś takiego robić?

— Miał pierwszorzędny powód. Pamiętasz, co mówiła o nim pani Delmarre? „Leczył mnie, odkąd byłam dzieckiem. Zawsze był miły i przyjaźnie usposobiony". Zastanawiałem się, czy mógł istnieć powód jego szczególnej troski o nią. Dlatego właśnie odwiedziłem żłobek i sprawdziłem rejestry. Moje przypuszczenia okazały się prawdą.

— Co takiego?

— Doktor Thool jest ojcem Gladii Delmarre i, co więcej, wie o tym.

Baleyowi ani przez myśl nie przeszło by podawać te słowa w wątpliwość. Żałował tylko, że to robot pani Olivaw, a nie on sam, przeprowadził te logiczną analizę. Tak, czy inaczej, nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione.

— Czy mówiłeś z doktorem Thoolem?

— Tak. Jego również zaniknąłem w areszcie domowym.

— A co on mówi?

— Przyznaje, że jest ojcem Gladii Delmarre. Przedstawiłem mu zapisy jego badań jej zdrowia w okresie dzieciństwa. Jako lekarz miał w tym względzie większe możliwości niż inni.

— Dlaczego miałby interesować się jej zdrowiem?

— Zastanawiałem się i nad tym, Eliaszu. Był już starym człowiekiem, kiedy uzyskał pozwolenie na dodatkowe dziecko i udało mu się zostać ojcem. Jego zdaniem, zawdzięcza to swym genom i swojej dobrej formie. Jest z tego bardziej dumny, niż to w jego świecie jest przyjęte. Ponadto jego zawód, niezbyt ceniony na Solarii, bo wymagający kontaktów osobistych, pozwalał mu na niezakłócony kontakt z latoroślą.

— Czy Gladia wiedziała o tym?

— Zdaniem doktora Thoola nie wiedziała.

— Czy doktor Thool przyznaje się do tego, że usunął broń?

— Nie, do tego się nie przyznaje.

— Niczego więc nie osiągnąłeś, Danielu.

— Niczego?

— Jak długo nie jesteś w stanie znaleźć broni i udowodnić, że ją usunął, a przynajmniej uzyskać przyznanie się, nie masz dowodu. Zgrabny łańcuch dedukcji, to nie dowód.

— Ten człowiek nie przyznałby się, chyba w krzyżowym ogniu pytań, do czego nie jestem zdolny. Córka jest mu droga.

— Otóż nie. Jego uczucia dla córki nie są takie, jakich się spodziewamy. Solaria jest inna.

Baley przeszedł tam i z powrotem po pokoju, by ochłonąć. — Danielu, to co zrobiłeś jest logiczne ale nie jest rozsądne (logiczny ale nierozsądny — czy to nie definicja robota?) Ciągnął dalej — Doktor Thool jest starym człowiekiem, mającym za sobą swe najlepsze lata, bez względu na to, że przed trzydziestu laty spłodził córkę. Nawet Kosmici bywają sędziwi. Czy możesz wyobrazić go sobie jak bada zemdloną córkę i ogląda zwłoki zięcia? Czy widzisz jak niezwykła to sytuacja? Czy sądzisz, że aż tak nad sobą panował, by podjąć całą serię działań?

— Po pierwsze, musiał spostrzec broń, tak ukrytą pod ciałem jego córki, że nie zauważyły jej roboty. Po drugie, jeśli coś dostrzegł, musiał uświadomić sobie, że to broń i natychmiast pojąć, że jeśli zdoła niespostrzeżenie ją wynieść, nie będzie można oskarżyć jego córki o morderstwo. Rozumował bardzo jasno jak na starego człowieka ogarniętego paniką. Po trzecie musiał wykonać swój plan, a to również niełatwa rzecz dla przerażonego starego człowieka. A w końcu musiałby zdecydować się na dalsze pogrążanie samego siebie poprzez upieranie się przy kłamstwie. Wszystko to można logicznie uzasadnić ale nie wydaje się to rozsądne.

— A czy masz inne rozwiązanie, partnerze Eliaszu?

Baley usiadł w trakcie swej przemowy a teraz spróbował znów się podnieść ale stanęły mu na przeszkodzie zmęczenie i głębokość fotela. Wyciągnął rozdrażniony, dłoń — Czy mógłbyś mi podać rękо, Danielu?

Daniel przyjrzał się swojej ręce — Słucham cię, Eliaszu? Baley, klnąc w duchu dosłowność tamtego, powiedział — Pomóż mi wstać z fotela.

Silne ramię Daniela podniosło go bez trudu.

— Dzięki! Nie, nie mam innego rozwiązania, a raczej mam, ale cała rzecz zależy od znalezienia broni.

Podszedł do ciężkich zasłon, zakrywających jedną ze ścian i nie zastanawiając się nad tym, co robi odsunął skraj zasłony. Gapił się na

czarną taflę szkła, zanim pojął, że to okno, a za oknem noc. Wypuścił zasłonę właśnie w chwili, gdy zbliżający się Daniel wyjął mu ją z palców.

W tym ułamku sekundy, gdy Baley przyglądał się ręce robota, odbierającego mu zasłonę z troskliwością matki chroniącej dziecko przed ogniem, nastąpił decydujący zwrot.

Porwał znów zasłonę, wydzierając ją z uchwytu Daniela.

— Eliaszu! — powiedział spokojnie Panie — Wiesz przecież, czym ci grozi otwarta przestrzeń.

— Wiem, — odpowiedział Baley — ile jej zawdzięczam!

I ciągnąc z całej siły, zdarł zasłonę z okna.

Patrzył w nie. Widział tylko ciemność, ta ciemność jednak była otwartą przestrzenią. Była to nieprzerwana, nieograniczona mroczna przestrzeń, a on się w nią wpatrywał.

Po raz pierwszy patrzył w przestrzeń Z własnej chęci. Nie brawura była powodem ani niezdrowa ciekawość, ani poszukiwanie rozwiązania zagadki morderstwa! Przestrzeń była mu potrzebna. Wszystko się zmieniło.

Ściany, mrok, tłumy, były podporami kalectwa! Musiał tak o nich podświadomie myśleć nawet wtedy, gdy sądził, że ich potrzebuje, że darzy je miłością. Czemu aż tak bardzo go dotknął gest Gladii, okrywającej jego portret szaroścą?

Przepełniało go uczucie tryumfu. Wtem nadleciała nowa myśl, niemal eksplodując w głowę Baleya.

Odwrócił się chwiejnie do Daniela — Wiem — wyszeptał. — Na Jozafata! Wiem!

— Co wiesz, Eliaszu?

— Wiem, co się stało z bronią. Wiem, kto jest winien. Wszystko pasuje do siebie.

17. Zebranie

Daniel nie dopuścił do rozpoczęcia akcji natychmiast.

— Jutro! — powiedział z szacunkiem, ale stanowczo — Taka jest moja rada, partnerze Eliaszu. Już późno, a ty potrzebujesz odpoczynku.

Baley musiał przyznać mu racjo, trzeba tez było poczynić przygotowania. Był pewien, że zna rozwiązanie zagadki morderstwa. To rozwiązanie było jednak w tym samym stopniu oparte na dedukcji, co teoria Daniela i równie mało warte jako dowód. Solarianie musieliby mu pomóc.

Jeżeli zaś miał wystąpić samotnie przeciw pół tuzinowi Solarian, musiał być w dobrej formie. To oznaczało wypoczynek i przygotowania.

Nie mógł jednak spać. Był pewien, że nie zaśnie. Był pewien, że nie pomogą mu w tym miękkie gościnne łóżko, ani słodki zapach, ani cicha muzyka wypełniająca gościnny pokój w domu Gladii.

Daniel usiadł skromnie w ciemnym kącie.

— Obawiasz się Gladii? — spytał Baley.

— Myślę, że nie byłoby mądrze pozwolić ci zasnąć bez ochrony — odpowiedział robot.

— Rób, Jak uważasz. Wiesz, czego się po tobie spodziewam, Danielu.

— Wiem, partnerze Eliaszu.

— Mam nadzieję, że Pierwsze Prawo nie podsuwa ci jakichś zastrzeżeń.

— Mam pewne obawy co do uczestników zebrania, które chcesz zwołać — czy będziesz miał broń i czy będziesz na siebie uważał?

— Zapewniam cię, że będę.

Westchnienie Daniela było tak bardzo ludzkie, ze Baley przyłapał się na próbie odczytania wyrazu twarzy tamtego.

— Widywałem już ludzi postępujących wbrew logice — powiedział Daniel.

— Przydałyby się nam Trzy Prawa — odparł Baley — ale cieszę się, że ich nie mamy.

Patrzył w sufit. Chociaż tak wiele zależało od Daniela, me mógł wyjawić mu całej prawdy. Roboty były wmieszane w tę sprawą.

Aurora miała swoje powody by wysłać robota jako swego przedstawiciela, ale okazało się to pomyłką.

Jeśli jednak dobrze pójdzie, za dwadzieścia cztery godziny będzie po wszystkim. Za dwadzieścia cztery godziny będzie wracał z nową nadzieją na Ziemi. Sam jeszcze nie bardzo w to wierzył, ale istniało wyjście z sytuacji, w jakiej znalazła się Ziemia.

Ziemia! Nowy Jork! Jessie i Ben! Wygodny, przytulny, drogi dom!

Na tym zatrzymał się w półśnie, ale myśl o Ziemi nie zdołała wyczarować oczekiwanej pociechy. Uczucie, które żywił dla Miast, osłabło. W końcu wszystko przybladło i zasnął.

Kiedy obudził się i umył i ubrał, fizycznie był gotów do działania. Nie czuł się jednak pewnie. Jego rozumowanie nie wydawało mu się mniej przekonywujące w świetle poranka. Chodziło raczej o spotkanie z Solarianami.

Czy mógł być pewien tego, jak się zachowają?

Pierwsza Zjawiła się Gladia. Była oczywiście najbliżej, w tym samym domu, co on. Blada, w białej sukni, wyglądała jak posąg.

Patrzyła bezradnie na Baleya. Uśmiechnął się do niej. Poprawiło to trochę jej nastrój.

Teraz pojawiali się, jeden po drugim, inni.

Attlebish, szef Służby Bezpieczeństwa, zjawił się jako drugi po Gladii, szczupły, z wyrazem wyższości i dezaprobaty na twarzy. Po nim Leebig, robotyk, zniecierpliwiony i zły, mrugający swą chorą powieką. Socjolog Quemot robił wrażenie zmęczonego, spojrzał Jednak na Baleya z uśmiechem w głęboko osadzonych oczach, jakby mówił:

„Widzieliśmy się, jesteśmy sobie bliscy".

Klorissa Cantoro wyglądała, jakby czulą się nieswojo w towarzystwie pozostałych. Kiedy spojrzała na Gladię, dało się słyszeć prychnięcie. Potem patrzyła już w posadzkę. Na końcu zjawił się lekarz, doktor Thool. Wyglądał mizernie.

Byli więc wszyscy, z wyjątkiem Gruera, który powoli wracał do zdrowia i nie mógł uczestniczyć w zebraniu (Trudno, pomyślał Baley, poradzimy sobie bez niego). Wszyscy mieli na sobie odświętne stroje i wszyscy siedzieli w pokojach o szczelnie zasłoniętych oknach.

Daniel doskonale to wszystko zorganizował.

Oby równie dobrze wypełnił swoją część zadania, modlił się w duchu Baley.

Przenosił wzrok z jednej osoby na drugą. Kręciło mu się w głowie od nie zgranych ze sobą świateł i widoku wnętrz o różnym wystroju.

Zaczai mówić — Zamierzam omówić sprawę zabójstwa doktora Rikaina Delmarre'a zajmując się kolejno motywem, sposobnością i środkami…

Attlebish przerwał — Czy to będzie długie przemówienie?

— Być może — odpowiedział ostro Baley — Wezwano mnie tu bym zbadał sprawę morderstwa, ponieważ jestem w tym specjalistą.

To mój zawód. Wiem najlepiej, jak to się robi. (Na nic im nie pozwolić, myślał, inaczej wszystko weźmie w łeb. Wziąć nad nimi górę).

Ciągnął dalej, używając słów możliwie krótkich i ostrych —

Najpierw motyw. To najmniej pewna kwestia z wszystkich trzech. Sposobność i środki to sprawy obiektywne. Wystarczy zbadać stan faktyczny. Motyw jest rzeczą subiektywną. Może być zauważalny na przykład zemsta za publiczną zniewagę, może być też całkowicie niedostrzegalny, jak irracjonalna, mordercza nienawiść którą skrycie żywi ktoś pozornie zrównoważony.

Prawie wszyscy obecni mówili przy tej czy innej okazji, że posądzają o popełnienie tej zbrodni Gladię Delmarre. Nikt nie miał innych podejrzeń. Czy Gladia miała powód? Doktor Leebig podsunął mi jeden. Powiedział, że Gladia często kłóciła się z mężem, co potem przyznała sama Gladia w rozmowie ze mną. Gniew może przypuszczalnie popchnąć do morderstwa. Pozostaje jednak pytanie, czy jedynie ona miała powód. Zastanawiam się, czy sam doktor Leebig…

Robotyk omalże podskoczył i wyciągnął rękę w stronę Baleya Niech pan się liczy, Ziemianinie, ze słowami…

— Rozważam tylko możliwości — odparł chłodno Baley. — Pan, doktorze, pracował z doktorem Delmarrem nad nowymi modelami robotów. Jest pan najlepszym robotykiem na Solarii. To pana własne słowa, a ja się z tym zgadzam.

Leebig uśmiechnął się z jawnym zadowoleniem.

— Słyszałem jednak, — ciągnął Baley — że doktor Delmarre bliski był zerwania stosunków, z powodów dotyczących pana.

— To fałsz! To fałsz!

— Być może. Jeżeli to jednak prawda? Czy nie byłby to powód by się go pozbyć zanim zrywając z panem znieważył pana publicznie? Mam wrażenie, że nie zniósłby pan łatwo takiej zniewagi?

Baley zmienił raptownie przedmiot, by nie dać Leebigowi okazji do odpowiedzi.

— Pani Cantoro śmierć doktora Delmarre'a umożliwiła objęcie kierownictwa zakładu, dała jej pozycją.

— Wielkie nieba! Przecież już O tyra mówiliśmy! — wykrzyknęła z goryczą Klorissa.

— Wiem, że mówiliśmy, ale trzeba brać pod uwagą i tą możliwość. Co do doktora Quemota, grywał w szachy z doktorem Delmarre. Być może zirytowały go zbyt częste przegrane.

Socjolog zauważył ze spokojem — Przegrana w szachy, to oczywiście niewystarczający powód, agencie.

— To zależy od tego, jak poważnie traktuje pan szachy. Powód może w oczach mordercy przesłaniać cały świat a być bez znaczenia dla innych. Zresztą, mniejsza o to. Mam na myśli to, że nie wystarcza sam powód. Każdy mógł mieć powód, by zabić kogoś takiego, jak doktor Delmarre.

— Co pan przez to rozumie? — spytał Quemot z oburzeniem.

— Tylko to, że doktor Delmarre był „dobrym Solarianinem".

Wszyscy państwo tak go opisywali. Ściśle przestrzegał obyczajów Solarii. Był człowiekiem idealnym, omalże abstrakcją. Czy takiego człowieka można darzyć uczuciem, czy choćby tylko lubić? Człowiek doskonały przypomina wszystkim o ich własnej niedoskonałości .

— Nikt nie zabiłby człowieka, za to, że był zbyt dobry — powiedziała Klorissa.

— Niewiele pani wie — oświadczył Baley, po czym mówił dalej — Doktor Delmarre wiedział, albo sądził że wie, o istnieniu na Solarii spisku związanego z myślą o podboju reszty Galaktyki. Starał się temu zapobiec, dlatego spiskowcy mogli uznać, że trzeba go usunąć. Uczestnikiem spisku mógłby być każdy z obecnych, nawet pani Delmarre i nawet szef Służby Bezpieczeństwa Corwin Attlebish.

— Ja? — spytał Attlebish.

— Z pewnością usiłował pan zakończyć śledztwo gdy tylko objął pan stanowisko po Gruerze.

Baley pociągnął kilka łyków swego napoju (prosto z oryginalnego opakowania, nietkniętego przez ludzkie czy robocie ręce). Jak dotąd grał na zwłokę i cieszył się, że Solarianie pozostawali na miejscach. Jako Ziemianin miał więcej od nich doświadczenia w kontaktach z ludźmi w czterech ścianach. Nie umieli walczyć w zwarciu.

— Teraz kwestia sposobności — powiedział. — Uważa się powszechnie, że tylko pani Delmarre miała tę sposobność, bo tylko ona mogła zbliżyć się we własnej osobie do swego męża.

— Czy to jednak pewne? Przypuśćmy, że ktoś inny niż pani Delmarre postanowił zabić doktora Delmarre'a. Czy taka desperacja nie usunęłaby sprawy fizycznego kontaktu na drugi plan? Czy gdyby ktoś z państwa zdecydował się na morderstwo, nie zniósłby czyjejś obecności przez czas dostatecznie długi by wykonać swój zamiar.

Czy nie zakradłby się do domu Delmarre'a…

Attlebish przerwał chłodno — Nie ma znaczenia, co moglibyśmy zrobić a czego nie mogli. To doktor Delmarre nie pozwoliłby na widzenie się z nim, zapewniam pana. Gdyby ktokolwiek spróbował się do niego zbliżyć, to bez względu na szacunek czy przyjaźń łączącą ich, Delmarre kazałby mu odejść i w razie potrzeby wezwałby na pomoc roboty.

— To prawda — powiedział Baley — o ile doktor Delmarre byłby świadom tego, że ma miejsce kontakt osobisty.

— Co pan przez to rozumie? — spytał ze zdziwieniem doktor; Thool.

— Kiedy niósł pan pomoc pani Delmarre — odparł Baley, — patrząc wprost na pytającego — nie była świadoma, że widzi pana, dopóki jej pan nie dotknął. Ja ze swej strony przywykłem tylko do widzenia. Kiedy przybyłem na Solarię i spotkałem się z dyrektorem

Służby Bezpieczeństwa Gruerem, zakładałem że go widzę i gdy po zakończeniu rozmowy znikł, byłem całkowicie zaskoczony.

— Przyjmijmy więc, że było odwrotnie. Przypuśćmy, że ktoś przez całe dorosłe życie ogląda tylko innych i nigdy nikogo, oprócz żony nie widuje. Przypuśćmy, że zbliża się do niego we własnej osobie ktoś inny niż żona. Czy nie pomyślałby automatycznie, że ogląda tylko tego kogoś, zwłaszcza gdyby robotowi kazano zapowiedzieć połączenie?

— Ani przez chwilą — rzeki Quemot — identyczność tła zdradziłaby wszystko.

— Możliwe, ale czy ktoś z państwa zastanawia się w tej chwili nad tym, jakie widzi tło? Zanim doktor Delmarre zauważył, że coś jest nie w porządku, mogła upłynąć minuta a tymczasem jego przyjaciół, kimkolwiek był, mógł podejść do niego i zadać cios.

— Niemożliwe — upierał się Quemot.

— Nie sądzę — oświadczył Baley — Sądzę, że sposobność nie może być dowodem przeciw pani Delmarre. Miała sposobność ale inni mogli ją także mieć.

Baley zwlekał. Czuł, że pot wystąpił mu na czole, ale otarcie czoła byłoby oznaką słabości. Nie mógł utracić kontroli nad biegiem wydarzeń. Osoba, o którą mu chodziło, musi być przekonana o jego przewadze. Nie jest łatwo Ziemianinowi przekonać o tym Kosmitę.

Z wyrazu ich twarzy wnosił, że sprawy toczą się tak, jak powinny. Nawet Attlebish robił wrażenie zatroskanego.

— Tak, oto doszliśmy — powiedział — do sprawy środków i to najtrudniejsza łamigłówka. Broń, którą dokonano morderstwa, nie została odnaleziona.

— Wiemy — rzekł Attlebish. — Gdyby nie to, uważalibyśmy sprawę Gladii Delmarre za zamkniętą. Nie prosilibyśmy o przeprowadzenia śledztwa. w — Zapewne — odrzekł Baley. — Zbadajmy więc sprawę środków. Są dwie możliwości. Albo morderstwo popełniła pani Delmarre, albo ktoś inny. Jeśli to pani Delmarre je popełniła, broń musiałaby pozostać na miejscu zbrodni, chyba że usunięto ją później. Mój partner pan Olivaw z Aurory, chwilowo nieobecny, podsunął mi myśl, że doktor Thool miał możliwość usunięcia broni. Pytam więc przy wszystkich doktora Thoola, czy to zrobił, czy usunął broń podczas badania nieprzytomnej pani Delmarre?

Doktor Thool był wstrząśnięty — Nie, nie. Przysięgam. Proszę mnie przesłuchiwać. Przysięgam, że niczego nie usuwałem.

— Czy ktoś uważa, ze doktor Thool kłamie?

Zapadła cisza. Leebig spojrzał na jakiś przedmiot poza polem widzenia Baleya i mruknął coś o stracie czasu.

— Drugą możliwością jest, że ktoś inny popełnił zbrodnię i zabrał

broń. Jeśli tak, należałoby spytać, po co by to robił? Potwierdza to niewinność pani Delmarre. Jeśli mordercą był ktoś z zewnątrz, byłby głupcem, nie pozostawiając broni, by obciążyć panią Delmarre. W każdym więc przypadku broń musiała tam być, a jednak jej nie zauważono.

— Ma nas pan za głupców, czy za ślepców? — spytał Attlebish.

— Za Solarian, którzy nie potrafią rozpoznać pewnego rodzaju broni.

— Nic nie rozumiem — mruknęła z żalem Klorissa.

Nawet Gladia, która dotąd się nie poruszyła, spojrzała ze zdziwieniem na Baleya.

— Martwy mąż i nieprzytomna żona nie byli sami. Był tam jeszcze ten rozstrojony robot.

— I cóż stąd? — spytał ze złością Leebig.

— Czy to nie oczywiste? Jeśli wykluczy się to, co niemożliwe, pozostanie prawda, choćby była niepodobna do prawdy. Ten robot był narzędziem zbrodni, a wam siła przyzwyczajenia nie pozwoliła tego rozpoznać.

Teraz wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, wszyscy z wyjątkiem Gladii, która wpatrywała się w Baleya.

Baley uniósł ręce — Proszę przestać. Cisza! Pozwólcie mi wyjaśnić — I jeszcze raz opowiedział o zamachu na życie Gruera i o sposobie, w jaki mógł zostać przeprowadzony. Tym razem opowiedział też o zamachu na własne życie.

— Przypuszczam — powiedział niecierpliwie Leebig — ze można było kazać jednemu robotowi zatruć strzałę, nie mówiąc mu o truciźnie, a drugiemu robotowi, który nie wiedział że strzała jest zatruta, kazać wręczyć ją chłopcu i powiedzieć, że jest pan Ziemianinem.

— Coś w tym rodzaju. Trzebaby odpowiednio pouczyć roboty.

— Bardzo to naciągane — powiedział Leebig.

Quemot pobladł, jakby robiło mu się niedobrze — Żaden Solarianin nie mógłby użyć robotów na szkodę ludzi.

— Może i nie — wzruszył ramionami Baley. — Ważne jest, że można użyć do tego robotów. Proszę spytać doktora Leebiga. Jest robotykiem.

— Nie da się to zastosować do morderstwa doktora Delmarre'a — powiedział Leebig. — Wczoraj to panu mówiłem. Jak można użyć robota do strzaskania czaszki człowiekowi?

— Czy mam to wyjaśnić?

— Proszę to zrobić, jeśli pan potrafi.

— Doktor Delmarre wypróbowywał robota nowego rodzaju.

Znaczenie tego nie było dla mnie jasne aż do wczoraj. Wieczorem prosiłem robota o pomoc w podniesieniu się z fotela. „Podaj mi rękę"

powiedziałem. Robot patrzył zdezorientowany na swoją rękę, jakby myślał, że chcę by ją odłączył. Musiałem powtórzyć polecenie używając innych słów. Przypomniało mi to jednak coś, co wcześniej mówił mi doktor Leebig. Otóż prowadzono doświadczenia z robotami o wymiennych kończynach.

— Przypuśćmy, że robot, którego wypróbowywał doktor — Delmarre, mógł używać wymiennych kończyn do wykonywania różnych zadań. Przypuśćmy, że morderca wie o tym i mówi robotowi „Daj mi rękę". Robot odłączyłby ramię i podał mu, a ramię robota może być świetną bronią. Po śmierci zaś doktora Delmarre'a wróciłoby na swoje miejsce.

Osłupienie słuchaczy ustąpiło miejsca sprzeciwom. Baley musiał wykrzyczeć ostatnie zdanie a i tak prawie je zagłuszono.

Attlebish podniósł się z fotela z poczerwieniałą twarzą — Jeśli nawet tak było, morderczynią jest pani Delmarre. Była tam, mogła wiedzieć o odłączonych kończynach, w co nie wierzę, nawiasem mówiąc. Wszystko wskazuje na nią, Ziemianinie, cokolwiek by pan zrobił.

Gladia zaczęła cicho płakać.

Baley nawet na nią nie spojrzał. — Wprost przeciwnie. Łatwo wykazać, że ktokolwiek popełnił tę zbrodnię, nie była to pani Delmarre.

Jothan Leebig skrzyżował ręce, a na jego twarzy pojawiło się lekceważenie.

Baley spostrzegł to — Doktor Leebig mi pomoże. Jako robotyk Wie pan, że wplątanie robotów w morderstwo wymaga wielkiej zręczności. Wczoraj próbowałem zamknąć kogoś w areszcie domowym. Była to prosta rzecz, ja jednak nie umiem postępować z robotami. W moich instrukcjach były niedomówienia i mój więzień uciekł.

— Kto to był? — spytał Attlebish — To nie ma znaczenia — odpowiedział niecierpliwie Baley. Ma znaczenie to, ze amator nie potrafi odpowiednio posługiwać się robotami. Niektórzy zaś Solarianie mogą być zupełnymi amatorami, jak na Solarian. Co, na przykład wie o robotyce Gladia Delmarre, doktorze?

— Co takiego? — Leebig wytrzeszczył oczy.

— Próbował pan nauczyć panią Delmarre robotyki. Jaką była uczennicą? Czy nauczyła się czegoś?

Leebig rozejrzał się niepewnie — Nie nauczyła się…

— Była całkiem do niczego, nieprawdaż? A może woli pan nie odpowiadać?

— Mogła udawać ignorancję — odpowiedział Leebig.

— Czy, jako robotyk, byłby pan gotów oświadczyć, że uważa panią Delmarre za zdolną do wmanewrowania robotów w

morderstwo?

— Jak mam na to odpowiedzieć?

— Podejdźmy do tego inaczej. Ktokolwiek próbował zabić mnie w żłobku, musiał mnie przedtem odszukać, posługując się systemem łączności między robotami. Nie mówiłem nikomu, dokąd się udaję i tylko eskortujące mnie roboty znały moje miejsce pobytu. Mój partner Daniel Olivaw, usiłował mnie później odnaleźć i miał z tym sporo trudności. Morderca musiał jednak łatwo do tego dojść jeśli zdołał przygotować zatrucie i wystrzelenie strzały zanim opuściłem zakład. Czy pani Delmarre zdołałaby to zrobić?

Corwin Attlebish pochylił się w fotelu — Kto, zdaniem pana, Ziemianinie, miałby dość wiedzy na to?

— Doktor Jothan Leebig sam przyznaje, że jest na tej planecie najlepszym specem od robotów.

— Czy to oskarżenie? — krzyknął Leebig.

— Tak! — zawołał Baley.

Furia w oczach Leebiga przygasła. Zastąpiło ją powstrzymywane napięcie. Powiedział — Oglądałem po morderstwie tego robota Delmarre'a. Nie miał żadnych wymiennych kończyn. Jego kończyny mogły być odłączone tylko przy użyciu specjalnych narzędzi i pod nadzorem Delmarre'a.

— Kto może potwierdzić prawdziwość tego oświadczenia?

— Moich słów się nie kwestionuje.

— Właśnie ma to miejsce. Oskarżam pana, więc to co pan mówi, jest bez wartości. Co innego, gdyby ktoś potwierdził pańskie słowa.

Nawiasem mówiąc, szybko pozbył się pan tego robota. Dlaczego?

— Nie było go po co trzymać. Był całkiem rozstrojony. Był do niczego.

— Dlaczego?

Leebig pogroził palcem Baleyowi — Już mnie pan o to pytał, Ziemianinie i powiedziałem panu, dlaczego. Robot był świadkiem morderstwa, któremu nie mógł zapobiec.

— Powiedział mi pan też, że zawsze powoduje to całkowitą zapaść i że to zasada. A jednak kiedy Gruer został otruty, robot który podał mu truciznę trochę się tylko potem jąkał i powłóczył nogą.

Był on w istocie sprawcą, a nie tylko świadkiem morderstwa, a jednak pozostał dość sprawny, by można go było przesłuchać.

— Ten robot, robot ze sprawy Delmarre'a, musiał być bardziej zaangażowany w morderstwo, niż robot Gruera. Jego ramię musiało być narzędziem zbrodni.

— Same nonsensy — Leebig łapał oddech. — Pan nie ma pojęcia o robotach.

— Być może. Radzę jednak, by dyrektor Służby Bezpieczeństwa Attlebish zajął rejestry pańskiej wytwórni robotów. Da się zapewne

sprawdzić, czy budował pan roboty z wymiennymi kończynami a jeśli tak, czy posłał pan któregoś z nich do Delmarre'a i kiedy to było.

— Nikt mi nie będzie grzebał w rejestrach — krzyknął Leebig.

— Dlaczego, jeśli nie ma pan nic do ukrycia?

— Dlaczego, na Solarię, miałbym zabijać Delmarre'a? Proszę mi powiedzieć. Jaki miałbym powód?

— Przychodzą mi na myśl dwa powody — powiedział Baley. Był pan z panią Delmarre zaprzyjaźniony, zbyt zaprzyjaźniony. Solarianie także są ludźmi. Pan nigdy nie zadawał się z kobietami ale nie uczyniło to pana odpornym na, powiedzmy, zwierzęce bodźce.

Widywał pan panią Delmarre, — to jest, przepraszam, oglądał ją Pan — ubraną raczej nieformalnie i…

— Nie! krzyknął rozdzierająco Leebig.

Gladia także szepnęła z naciskiem — Nie!

— Może nie rozpoznał pan natury pańskich uczuć, albo jeśli mgliście zdawał pan sobie z nich sprawę gardził pan Własną słabością i nienawidził pani Delmarre. Mógł pan też znienawidzić Delmarre'a. Prosił pan panią Delmarre, by została pańską asystentką. Odmówiła, co zwiększyło pańską nienawiść. Zabijając doktora Delmarre'a tak by rzucić podejrzenie na jego żonę, mógł pan zemścić się naraz na obojgu.

— Kto uwierzy w te melodramatyczne plugastwa? — spytał chrapliwie Leebig. — Może inny Ziemianin, inne zwierzę. żaden Solarianin.

— To nie jedyny powód — powiedział Baley — Ten tkwił pewnie w pana podświadomości ale miał pan poważniejszy. Doktor Rikain Delmarre stał na drodze pańskim planom i dlatego musiał być usunięty.

— Jakim planom?

— Planom podboju Galaktyki, doktorze.

18. Odpowiedź na pytanie

— Ziemianin oszalał, to jasne! — krzyknął Leebig zwracając się do pozostałych.

Wpatrywali się bez słów, jedni w Leebiga, inni w Baleya.

Baley nie pozostawił im czasu do namysłu — Pan wie najlepiej, czy to jasne, doktorze. Doktor Delmarre chciał z panem zerwać.

Pani Delmarre sądziła, że powodem była pańska niechęć do małżeństwa. Ja tak nie sądzę. Sam doktor Delmarre snuł plany takiej przyszłości, w której możliwa będzie ektogeneza i zbyteczne będzie małżeństwo. Doktor Delmarre współpracował jednak z panem. Mógł wiedzieć więcej, niż ktokolwiek inny o niebezpiecznych doświadczeniach, które pan prowadził i próbował pana powstrzymać. Napomknął o tym dyrektorowi Gruerowi, bez szczegółów jednak, bo nie miał jeszcze pewności. Pan odkrył jego podejrzenia i zabił go.

— Szaleniec! — krzyknął znów Leebig — Nie będę tego słuchał.

— Wysłuchaj go, Leebig — uciął Attlebish.

Baley przygryzł wargę by nie zdradzić satysfakcji z wyraźnego braku sympatii w głosie szefa Służby Bezpieczeństwa. Powiedział — W tej samej rozmowie, w której wspomniał pan, doktorze, o — robotach z wymiennymi kończynami, napomknął pan też o statkach kosmicznych z własnymi mózgami pozytronowymi. Był pan wtedy stanowczo zbyt rozmowny. Może uznał pan, że jako Ziemianin nie będę w stanie zrozumieć następstw takiego zastosowania robotyki.

Może była to euforia po ustąpieniu groźby osobistego kontaktu ze mną, W każdym razie, doktor Quemot mówił mi już wcześniej, że robot pozytronowy jest tajną bronią Solarii…

Quemot, tak niespodziewanie wymieniony, poderwał się i krzyknął — Chodziło mi…

— Chodziło panu o socjologię, wiem o tym. Dało mi to jednak do myślenia. Porównajmy tylko statek kosmiczny z wbudowanym mózgiem pozytronowym ze statkiem kosmicznym z załogą ludzką.

Statek załogowy nie mógłby użyć w walce robotów. Robot nie byłby zdolny do niszczenia ludzi w nieprzyjacielskich statkach lub światach. Nie odróżniałby przyjaciół od wrogów.

— Możnaby, oczywiście, powiedzieć robotowi, że nieprzyjacielski statek nie ma ludzi na pokładzie, albo że planeta jest niezamieszkała, byłyby z tym jednak trudności. Robot wiedziałby, że jego własny statek ma ludzi na pokładzie, że ludzie zamieszkują jego własny świat. Mógłby przyjąć, że jest tak i w przypadku wrogich statków i światów. Trzebaby prawdziwego eksperta od robotyki, takiego jak doktor Leebig by móc posłużyć się robotami, ale takich ekspertów jest niewielu.

— Statek kosmiczny z własnym pozytronowym mózgiem atakowałby natomiast ochoczo każdy statek, który kazanoby mu atakować. Zakładałby naturalnie, że wszystkie statki są bezzałogowe.

Możnaby uniemożliwić mu odbiór sygnałów z nieprzyjacielskich statków. Statek, w którym mózg pozytronowy prowadzi ogień, byłby o wiele sprawniejszy niż zwykłe statki załogowe. Nie potrzebując przestrzeni dla załogi, zapasów, odtwarzaczy wody i powietrza, mógłby taki statek unieść silniejszy pancerz, silniejsze uzbrojenie, być odporniejszy od zwykłego statku. Jeden statek z mózgiem pozytronowym mógłby pokonać całe floty zwykłych statków. Czy się mylę?

Ostatnie pytanie padło pod adresem doktora Leebiga, który podniósł się z fotela i stał wyprostowany, prawie zesztywniały — z gniewu?, z przerażenia?

Nie było odpowiedzi, żadna odpowiedź nie zostałaby usłyszana.

Coś się przełamało i pozostali maczali wrzeszczeć jak szaleni. Klorissa miała twarz Furii, nawet Gladia zerwała się, potrząsając w powietrzu piąstkami. Wszyscy zwrócili się przeciw Leebigowi.

Baley przymknął oczy. Spróbował choć na parę chwil rozluźnić mięśnie.

A więc udało się. Nacisnął wreszcie właściwy guzik. Quemot porównywał roboty Solarii do helotów Sparty, z tą różnicą, że roboty nie podniosą buntu, więc Solarianie mogą spać spokojnie.

Gdyby jednak znalazł się człowiek, który ośmieliłby się nauczyć roboty działania na szkodę ludzi, byłoby to podburzenie do buntu.

Czy nie byłaby to zdrada główna? Czy w świecie takim jak Solaria, gdzie liczba robotów miała się do liczby ludzi jak dwadzieścia tysięcy do jednego, wszyscy do ostatniego nie obróciliby się przeciw podejrzanemu o popychanie robotów przeciw ludziom?

— Jest pan aresztowany! — krzyczał Attlebish — Nie wolno panu ruszać pańskich ksiąg i zapisów, zanim nie wejrzy w nie rząd — ledwie było go słychać w tym pandemonium.

Do Baleya zbliżył się robot — Wiadomość od pana Olivawa, proszę pana! Baley zapoznał się z wiadomością — Chwileczkę! — zawołał.

Jego głos miał niemal magiczne działanie. Wszyscy obrócili się ku niemu a na wszystkich twarzach, oprócz twarzy Leebiga, malowała się napięta uwaga.

Zaczął mówić — Nie byłoby rozsądne oczekiwać, że doktor Leebig pozostawi swe zapisy nietknięte i zaczeka aż przejmie je jakiś urzędnik. Zanim więc zaczęło się to zebranie, mój partner, Daniel Olivaw udał się do posiadłości doktora Leebiga. Właśnie otrzymałem wiadomość od niego. Jest już na miejscu i za chwilę będzie u doktora Leebiga z nakazem uwięzienia go.

— Uwięzienia! — zaskowyczał w zwierzęcym prawie — przerażeniu Leebig — Ktoś tu jest? Fizycznie? Nie, nie! — Drugie „Nie" było już piskiem — Nic panu nie grozi — powiedział chłodno Baley — jeśli będzie pan skłonny do współpracy. .

— Ale ja nie mogę go widzieć, nie mogę go widzieć — Robotyk upadł na kolana, najwyraźniej nie zdając sobie z tego sprawy. Złożył dłonie w rozpaczliwym geście błagania — Czego pan chce? Chce pan przyznania się? Tak, robot Delmarre'a miał wymienne kończyny.

Tak, to ja zorganizowałem otrucie Gruera. To ja sprawiłem, że strzelano do pana. Projektowałem też statki, o których pan mówił. Nie miałem w tym sukcesów, ale projektowałem je. Niech pan go tylko powstrzyma! Nie pozwólcie mu podejść, zatrzymajcie go!

Słowa zmieniły się w bełkot.

Baley skinął głową. Następny właściwy guzik. Zagrożenie fizyczną obecnością wymogło przyznanie się skuteczniej niż tortury.

Nagle na jakiś dźwięk czy ruch poza granicą obrazu głowa Leebiga obróciła się. Uniósł ręce jakby coś odpychał.

— Odejdź — prosił. — Odejdź. Nie podchodź. Nie podchodź, proszę! Proszę…

Odczołgał się na rękach i kolanach i nagle sięgnął ręką do kieszeni kurtki, wyjął coś i podniósł błyskawicznie do ust. Zakołysał się i upadł twarzą w dół.

Baley chciał krzyknąć „Głupcze! To nie człowiek się zbliża, to tylko jeden z twych kochanych robotów!".

Daniel Olivaw wpadł w pole widzenia i przez chwilę patrzył z góry na skręconą postać.

Baley wstrzymał oddech. Gdyby Daniel zdał sobie sprawę, że to właśnie jego pseudoczłowieczeństwo zabiło Leebiga, skutki tego byłyby straszne dla mózgu podległego Pierwszemu Prawu.

Daniel jednak przyklęknął tylko a jego czułe palce dotknęły w kilku miejscach ciała Leebiga. Potem uniósł głowę Leebiga niby coś nieskończenie cennego, kołysząc ją i głaszcząc.

Jego posągowa twarz zwróciła się do patrzących i wyszeptał: Człowiek jest martwy.

Baley spodziewał się jej, prosiła o ostatnie spotkanie a jednak oczy rozszerzyły mu się, kiedy weszła.

— Widzę cię!

— Tak — potwierdziła Gladia. — Skąd to wiesz?

— Nosisz rękawiczki.

— Ach — spojrzała na swe dłonie zmieszana. Spytała cicho — Czy ci to nie przeszkadza?

— Nie, oczywiście, że nie. Czemu jednak zdecydowałaś się widzieć mnie a nie oglądać?

— No cóż, — uśmiechnęła się słabo — powinnam przyzwyczajać

się do tego, nieprawdaż Eliaszu? Mam na myśli wyjazd na Aurorę.

— A więc wszystko już załatwione?

— Pan Olivaw usunął wszelkie przeszkody. Wszystko załatwione. Nie wrócę tu już nigdy.

— To dobrze! Będziesz tam szczęśliwsza, Gladio. Wiem, że — będziesz.

— Trochę się boję.

— Wiem, to oznacza widywanie się z ludźmi. Brak ci też będzie wygód Solarii. Przywykniesz jednak i co najważniejsze, zapomnisz o całym tym koszmarze, przez który przeszłaś.

— Nie chcę o niczym zapomnieć — rzekła cicho Gladia.

— Zapomnisz — Baley patrzył na stojącą przed nim. wiotką dziewczynę i ze ściśniętym sercem powiedział — I pewnego dnia poślubisz kogoś. Naprawdę poślubisz.

— Jakoś — powiedziała posępnie — nie wydaje mi się to teraz pociągające.

— Zmienisz zdanie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Nic podziękowałam ci nawet — powiedziała Gladia.

— Spełniłem tylko swój obowiązek — odpowiedział Baley.

— A teraz wracasz na Ziemię, nieprawdaż?

— Tak.

— Już cię więcej nie zobaczę.

— Prawdopodobnie nie, ale nie bierz sobie tego do serca. Za jakieś czterdzieści lat mnie już nie będzie, a ty nie zmienisz się ani na jotę.

— Nie mów tak! — Twarz jej wykrzywiła się bólem.

— To prawda.

Zaczęła mówić, zmieniając szybko temat — Wiesz, że w sprawie Leebiga wszystko się potwierdziło?

— Wiem. Robotycy, którzy przejrzeli jego zapisy, trafili na ślady doświadczeń z bezzałogowymi myślącymi statkami. Znaleziono też roboty o wymiennych kończynach.

Gladia zadrżała — Jak myślisz, czemu zrobił tę straszną rzecz?

— Bal się ludzi. Zabił się, by uniknąć czyjejś obecności. Był też gotów zniszczyć inne światy, by mieć pewność, że Solaria i jej tabu nie będą złamane.

— Jak mógł tak myśleć? — szepnęła. — Przecież czyjaś obecność może być bardzo…

Znów patrzyli na siebie w milczeniu z odległości dziesięciu kroków.

Potem Gladia wykrzyknęła — Ach Eliaszu, co sobie o tym pomyślisz?

— O czym, Gladio?

— Czy mogę cię dotknąć? Nie zobaczę cię już nigdy, Eliaszu.

— Jeśli tylko chcesz.

Zbliżała się krok za krokiem z iskrzącymi się oczami, choć była w nich też obawa. Zatrzymała się o trzy stopy od niego i powoli, jak w transie zaczęła zdejmować rękawiczkę.

— To nierozsądne, Gladio.

— Nie boję się — odpowiedziała.

Ręka drżała, gdy ją wyciągała ku Baleyowi.

Drżała też ręka Baleya, gdy ujmował jej dłoń swoją. Stali tak przez chwilę, a jej spłoszona, przestraszona dłoń spoczywała w jego dłoni. Puścił ją i nagle, bez uprzedzenia dłoń jej pomknęła ku jego twarzy aż końce palców, lekkie jak piórka, musnęły jego policzek.

— Dziękuję ci, Eliaszu. Zegnaj!

— Żegnaj, Gladio! — spoglądał w ślad za odchodzącą.

Nawet świadomość, że czeka nań statek, który zawiezie go na Ziemię nie zatarła poczucia dotkliwej straty.

Mina podsekretarza Alberta Minnima wyrażała serdeczność aż do przesady — Rad jestem pana widzieć znów na Ziemi. Pański raport wyprzedził pana i właśnie jest przedmiotem studiów. Zrobił pan dobrą robotę. Ta sprawa dobrze się zapisze w pańskiej karierze.

— Dziękuję — odpowiedział Baley. Nie mógł zdobyć się na więcej. Po powrocie na Ziemię, do bezpiecznych Stalowych Jaskiń, do Jessie (już z nią rozmawiał) wciąż miał poczucie dziwnej pustki.

— Jednakże, — mówił Minnim — raport pański dotyczy tylko śledztwa w sprawie morderstwa. Pytaliśmy o coś jeszcze. Chciałbym usłyszeć sprawozdanie.

Baley zawahał się, sięgając raka do kieszeni, w której znów była fajka.

— Niech pan pali — rzekł natychmiast Minnim.

Baley jak mógł przeciągał czynność zapalania. W końcu powiedział.

— Nie jestem socjologiem.

— Nie jest pan? — Minnim uśmiechnął się przelotnie — Wydaje mi się, że już o tym rozmawialiśmy. Dobry detektyw musi być w praktyce socjologiem, nawet jeśli nigdy nie słyszał o równaniu Hacketta. Sądząc po pańskim zachowaniu, dowiedział się pan czegoś o Zaziemskich Światach, nie jest pan jednak pewien, jak to przyjmę.

— Jeśli ujmuje to pan w ten sposób, panie sekretarzu… Kiedy mnie pan wysyłał na Solarię, postawił pan pewne pytanie. Pytał pan o słabe punkty Światów Zaziemskich. Ich siłą miały być ich roboty, mała liczba ludności, długowieczność, jakie jednak mają słabości?

— I cóż?

— Sądzę, że znam słabe strony Solarian, panie sekretarzu.

— Zna pan odpowiedź na pytanie? Świetnie! Proszę mówić!

— Ich słabe strony, panie sekretarzu, to roboty, mała liczba ludności, długowieczność.

Minnim wpatrywał się w Baleya z niezmienionym wyrazem twarzy a jego ręce kreśliły jakieś zygzaki po papierach leżących na biurku.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Baley układał to sobie w myślach całymi godzinami, wracając z Solarii. W wyobraźni spotykał się z ludźmi z rządu, rozporządzając wyważonymi, dobrze uzasadnionymi argumentami. Teraz był w kłopocie.

— Nie jestem pewien, czy potrafię to wyjaśnić.

— Mimo wszystko chcę to usłyszeć.

Baley zaczął — Solarianie utracili coś, co ludzkość miała przez miliony lat, coś co jest warte więcej niż energia atomowa, miasta, rolnictwo, narzędzia, ogień i wszystko inne, ponieważ to coś umożliwia wszystko inne.

— Nie chcę zgadywać, Baley. Co to takiego?

— Wspólnota, panie sekretarzu. Współpraca jednostek. Solaria całkiem z niej zrezygnowała. To świat oddzielonych od siebie jednostek, czym zachwyca się jedyny socjolog tej planety. Ten socjolog, nawiasem mówiąc nie słyszał nawet o socjomatematyce. Sam buduje swoją naukę. Nie ma nikogo, kto by go pouczył, pomógł mu albo wskazał pomyłki. Jedyna nauką, która naprawdę kwitnie na Solarii jest robotyka ale zajmuje się nią garstka ludzi, a kiedy trzeba analizować stosunki między ludami i robotami muszą prosić o pomoc Ziemianina.

— Sztuka Solarii to sztuka abstrakcyjna, panie sekretarzu. Na Ziemi to tylko jeden z rodzajów sztuki, na Solarii jedyny. Nie czuje się w tym ludzkiej ręki. Swą przyszłość widza w ektogenezie i całkowitej izolacji od urodzenia.

— Brzmi to okropnie. Czy może nam to jednak szkodzić?

— Tak sądzę. Tam, gdzie nie ma wzajemnych oddziaływań między ludźmi zanika zainteresowanie życiem, zanika większość wyższych wartości, zanika uzasadnienie życia. Oglądanie nie jest w stanie zastąpić widzenia, choć Solarianie traktują je jak nowy rodzaj zmysłu. Izolacja nie spowodowała dotąd stagnacji. To zasługa ich długowieczności. My tu na Ziemi mamy ciągły dopływ młodych, z natury skorych do zmian, bo nie mają dość czasu by przywyknąć. To chyba najkorzystniejsze. Żyjemy wystarczająco długo, by czegoś dokonać ale i na tyle krótko, by ustąpić w porę miejsca młodym. Na Solarii trwa to zbyt długo.

Minnim wciąż rysował coś końcem palca — Ciekawe! Ciekawe!

— Kiedy podniósł wzrok, wydawało się, że zdjął maskę z twarzy.

Oczy świeciły mu wesoło. — Ma pan bystre oko, agencie!

— Dziękuję — odrzekł sztywno Baley.

— Czy wie pan, czemu zachęcałem pana by opisał pan swe wrażenia? — Nie czekał na odpowiedź — Pański raport został już wstępnie oceniony przez naszych socjologów. Zastanawiałem się, czy rozumie pan, jak wspaniałe nowiny przywiózł pan Ziemi. Widzę, że pan rozumie.

— Chwileczkę, — powiedział Baley — jest coś jeszcze.

— Istotnie — zgodził się ochoczo Minnim. — Solaria nie zdoła zapobiec stagnacji. Minęła już punkt zwrotny. Zbyt daleko posunęła się ich zależność od robotów. Pojedynczy robot nie zdoła utrzymać dziecka w posłuchu, chociaż wyszłoby to dziecku na dobre. Rzesza robotów nie zdoła uratować planety, bo pozwoli rozpadać się jej strukturom społecznym, kiedy te zaczną się wyradzać. Zaziemskie Światy czeka więc stagnacja a Ziemia wyzwoli się spod ich dominacji. Nie musimy się buntować. Wolność przyjdzie sama.

— Chwileczkę — powiedział Baley, już głośniej. — Mówimy tylko o Solarii, nie o pozostałych Światach Zaziemskich.

— To wszystko jedno. Pański Solariański socjolog… Kmiot…

— Quemot, panie sekretarzu.

— A więc Quemot. Powiedział, że inne Zaziemskie Światy zmierzają w tym samym kierunku, co Solaria, nieprawdaż?

— Tak mówił, ale on sam niczego nie wic o innych Zaziemskich Światach i żaden z niego socjolog. Myślałem, że wyłożyłem to dość jasno.

— Nasi ludzie to sprawdzą.

— Im też brak danych. Niczego nie wiemy o naprawdę wielkich Światach Zaziemskich, choćby o Aurorze, świecie Daniela. Nierozsądne byłoby spodziewać się, że wszystkie będą podobne do Solarii.

W Galaktyce jest w istocie tylko jeden świat podobny do Solarii…

Minnim przerwał, machając z zadowoleniem swą zadbaną dłonią — Nasi ludzie to sprawdzą. Jestem pewien, że zgodzą się z Quemotem.

Baley spochmurniał. Ziemscy socjologowie zgodzą się z Quemotem, jeśli będzie im na tym zależało. W liczbach można znaleźć wszystko, jeśli szuka się odpowiednio długo i pomija niewygodne informacje.

Zastanawiał się, czy lepiej będzie mówić teraz, gdy słucha go przedstawiciel rządu, czy też…

Zastanawiał się odrobinę za długo. Minnim, przesunąwszy kilka papierów, odezwał się rzeczowym tonem — Jeszcze parę drobiazgów, agencie, związanych ze sprawą Delmarre'a, i jest pan wolny.

Czy chciał pan aby Leebig popełnił samobójstwo?

— Chciałem zmusić go do przyznania się, panie sekretarzu. Nie

przewidywałem samobójstwa i to spowodowanego zbliżaniem się kogoś, kto, o ironio, był tylko robotem, nie mógł więc naruszyć tabu.

Nie żałuję jednak, że zginął, prawdę mówiąc. Był niebezpiecznym człowiekiem. Upłynie sporo czasu zanim ktoś inny połączy geniusz z szaleństwem, jak on.

— Zgadzam się z tym — rzekł sucho Minnim — i uważam jego śmierć za szczęśliwy traf. Czy jednak brał pan pod uwagę ryzyko, że Solarianie zrozumieją, iż Leebig nie mógłby zapewne zabić Delmarre'a?

Baley wyjął fajkę z ust i milczał.

— Wie pan, agencie, że tego nie zrobił. Trzeba było zbliżyć się fizycznie do zamordowanego a on był do tego niezdolny. Wolałby umrzeć, niż pozwolić na to i umarł a nie pozwolił.

— Ma pan słuszność, panie sekretarzu. Liczyłem na to, że Solarianie będą tak wstrząśnięci nadużyciem, którego się dopuścił w sprawie robotów, że przestaną o tym myśleć.

— Więc kto zabił Delmarre'a?

Baley odpowiedział powoli — Jeśli chodzi panu o to, kto zadał cios, zrobiła to osoba, o której wszyscy to wiedzieli, Gladia Delmarre, żona zabitego.

— I pan pozwolił jej odejść?

— Moralnie nie ona za to odpowiada. Leebig wiedział, że Gladia kłóci się zażarcie z mężem. Musiał wiedzieć, w jaką furię wpada w gniewie. Leebig pragnął, by okoliczności śmierci męża obciążały żonę. Robot, którego posłał do Delmarre'a, był jak sądzę pouczony, by wręczył Gladii, gdy ta wpadnie w furię, jedną ze swych wymiennych kończyn. Mając broń w ręku, w całkowitym zaćmieniu umysłu zrobiła to, zanim Delmarre i robot zdołali ją powstrzymać. Gladia była w ręku Leebiga tak samo nieświadomym instrumentem, jak robot.

— Ramię robota musiało więc być zakrwawione — zauważył Minnim .

— I zapewne było — odpowiedział Baley — ale to Leebig zajmował się robotem. Mógł z łatwością kazać innym robotom, które to zauważyły, aby zapomniały o tym. Mógłby to również spostrzec doktor Thool, ale zajmował się wyłącznie zmarłym i nieprzytomną kobietą. Błędem Leebiga było przekonanie, że wina Gladii jest oczywista, iż nie uratuje jej brak narzędzia zbrodni. Nie mógł też przewidzieć, że do pomocy w śledztwie wezwany zostanie Ziemianin.

— Kiedy zaś Leebig już nie żył, załatwił pan Gladii opuszczenie Solarii. Czy po to, by ją ratować, gdyby jacyś Solarianie zaczęli zastanawiać się nad tą sprawą?

Baley wzruszył ramionami — Dosyć się nacierpiała. Była ofiarą ich wszystkich, męża, Leebiga, całej Solarii.

— Czy nie było to naginanie prawa dla osobistego kaprysu?

Nieprzystępna twarz Baleya przybrała nieugięty wyraz — To nie był kaprys. Nie obowiązują mnie prawa Solarii. Dobro Ziemi ponad wszystko i dla jej dobra musiałem uporać się z Leebigiem, który stanowił dla niej niebezpieczeństwo. Co do pani Delmarre, spojrzał w twarz Minnimowi, czując że robi decydujący krok. Musiał to powiedzieć — Co do pani Delmarre, była dla mnie przedmiotem eksperymentu.

— Jakiego eksperymentu?

— Chciałem' się przekonać, czy pogodziłaby się ze światem, gdzie dozwolone są kontakty osobiste, czy ma dość odwagi by oglądać łamanie wpojonych jej zwyczajów. Bałem się, że odmówi wyjazdu i wybierze raczej pozostanie, niż porzucenie solariańskiego sposobu życia. Wybrała jednak zmianę i byłem rad, że to zrobiła.

Dla mnie miało to znaczenie symboliczne. Wydało mi się to drogą ratunku dla nas.

— Dla nas? — spytał żywo Minnim. — O czym pan, u diabła, mówi?

— Nie dla pana i dla mnie, panie sekretarzu, — rzekł Baley z powagą — ale dla całej ludzkości. Błędnie ocenia pan Zaziemskie Światy. Mają niewiele robotów, przestają ze sobą nawzajem i bacznie śledzą to, co dzieje się na Solarii. Wie pan, że R. Daniel Olivaw był tam ze mną i wrócił z raportem. Grozi im przemiana w Solarię ale rozpoznają z pewnością to niebezpieczeństwo, zachowają równowagę, zachowają przywództwo ludzkości.

— Takie jest pańskie zdanie — powiedział wyczekująco Minnim.

— Jest coś jeszcze. Istnieje świat podobny do Solarii i jest to Ziemia.

— Agencie Baley!

— Tak właśnie jest, panie sekretarzu. Jesteśmy odwrotnością Solarii. Oni odizolowali się od siebie nawzajem, my od Galaktyki.

Oni znaleźli się w ślepym zaułku w swych nienaruszalnych posiadłościach, my w ślepym zaułku w swych podziemnych Miastach. Oni są przywódcami bez naśladowców. Mają tylko roboty, które nie mogą się sprzeciwić. My tylko naśladujemy. Nie mamy przywódców.

Mamy tylko zamykające nas Miasta — Baley zacisnął pięści.

Minnim był niezadowolony — Agencie, wiele pan przeszedł. Trzeba panu wypoczynku i dostanie go pan. Miesiąc urlopu a potem awans.

— Dziękuję, ale chciałbym, żeby mnie pan wysłuchał. Z tego ślepego zaułka jest jedno wyjście, na zewnątrz, w przestrzeń kosmiczną. Są tam miliony światów a tylko pięćdziesięcioma z nich władają Kosmici. Jest ich niewielu. Są długowieczni. Nas jest wielu. Żyjemy krótko. Będą z nas lepsi od nich odkrywcy i kolonizatorzy. Robi nam się ciasno a dzięki częstej zmianie pokoleń nie brakuje nam

młodych zuchów. To przecież nasi przodkowie kolonizowali Zaziemskie Światy.

— Tak, zgoda, obawiam się jednak, ze mój czas się kończy…

Baley czuł, że tamtemu pilno się go pozbyć ale nie ruszył się z miejsca — Gdy pierwsza kolonizacja stworzyła przewyższające nas techniką światy, uciekliśmy w łono Ziemi. Kosmici dali nam odczuć nasza niższość, kryjemy się więc przed nimi. To żadna odpowiedź. By wyjść z kręgu rewolt i represji musimy zmierzyć się z tamtymi, naśladować ich, jeśli trzeba, przewodzić im, jeśli zdołamy. By móc to robić trzeba spojrzeć w twarz otwartej przestrzeni.

Jeśli dla nas za późno na naukę, uczmy nasze dzieci. To sprawa najwyższej wagi.

— Potrzebuje pan wypoczynku, agencie.

— Proszę posłuchać, panie sekretarzu. Jeśli Kosmici są silni a my będziemy stać w miejscu, Ziemia zostanie zniszczona w ciągu stulecia. To pewne, sam pan mi to mówił. Jeśli Kosmici są słabi, możemy ocaleć ale kto nam zaręczy, że są słabi? Wiemy to tylko o Solarianach.

— Ale…

— Jeszcze nie skończyłem. Czy kosmici są silni, czy nie, możemy jedno zmienić — sposób życia. Rozlećmy się po naszych własnych nowych światach, a sami staniemy się Kosmitami. Jeśli pozostaniemy stłoczeni tu na Ziemi, rewolta będzie nieunikniona, zwłaszcza gdy ludzie oprą swe nadzieje na domniemanej słabości Kosmitów.

Niech pan zapyta socjologów przedstawiając im moje argumenty.

Gdyby mieli wątpliwości, proszę znaleźć sposób, by mnie posłać na Aurorę. Wrócę z raportem o prawdziwych Kosmitach a pan będzie wiedział, co musi zrobić Ziemia.

— Minnim skinął potakująco głową — Tak, tak. Do widzenia, agencie!

Baley odszedł w podniosłym nastroju. Nie oczekiwał oczywistego zwycięstwa. Zwycięstwo nad zakorzenionym sposobem myślenia nie jest sprawą dnia ani roku. Zauważył jednak, jak zaduma i niepewność na moment starły z twarzy Minnima wcześniejszą naiwną radość.

Wiedział, co nastąpi. Minnim spyta socjologów. Jeden czy dwóch nie będzie miało pewności. Zasięgną opinii Baleya.

Jeszcze rok, myślał Baley, wystarczy rok, a będę w drodze na Aurorę. Wystarczy jedno pokolenie a będziemy znów w przestrzeni kosmicznej.

Baley wsiadł do ekspresówki jadącej na północ. Wkrótce zobaczy Jessie. Czy ona zrozumie? A ich syn, siedemnastoletni Bentley?

Gdy sam Ben będzie miał siedemnastoletniego syna, czy będzie w jakimś nowym świecie budował lepsze życie?

Była to zatrważająca myśl. Baley wciąż jeszcze lękał się otwartej przestrzeni. Nie uciekał jednak, walczył z tym lękiem. Była w tym

szczypta szaleństwa. Otwarta przestrzeń dziwnie go pociągała od samego początku, od dnia gdy przechytrzył Daniela, kazał opuścić dach pojazdu i wstał.

Nie rozumiał jeszcze wtedy wszystkiego. Daniel myślał, że to niezdrowa ciekawość. Sam uważał, że to jego obowiązek, że mu to pomoże w wyjaśnieniu sprawy. Dopiero ostatniego wieczoru na Solarii, gdy zerwał z okna zasłonę, uświadomił sobie, że przestrzeń jest mu potrzebna, że go pociąga, obiecuje wolność.

Miliony Ziemian podzieliłyby pewnie to uczucie, gdyby podsunąć im te myśl, pomóc zrobić pierwszy krok.

Rozejrzał się. Ekspresówka przyspieszała. W blasku sztucznego światła przesuwały się wstecz bloki mieszkalne, połyskujące reklamy i wystawy sklepów, fabryki, światła, hałas i ludzie, ludzie. Było to wszystko, co kiedyś kochał, czego lękał się opuścić, za czym tęsknił, jak mu się zdawało, na Solarii.

Wszystko to było mu obce. Nie mógł już znaleźć sobie miejsca.

Wyjechał, by wyjaśnić sprawę morderstwa i wrócił odmieniony.

Powiedział Minnimowi, że Miasta są łonem ludzkości — i tak było.

Co najpierw musi zrobić człowiek, by móc się stać człowiekiem?

Opuścić łono, gdy zaś raz je opuści, nie ma powrotu.

Baley opuścił Miasto i nie było już powrotu. Miasto nie było już jego Miastem. Stalowe Jaskinie były mu obce. Tak musiało być. Tak będzie i z innymi a wtedy Ziemia odrodzi się i sięgnie w przestrzeń.

Serce biło mu tak mocno, że prawie nie słyszał hałasu wokół siebie.

Przypomniał sobie swój sen, śniony na Solarii. Zrozumiał go wreszcie. Podniósł głowę. Mógłby przez całą tę stal i beton i ludzi ponad sobą zobaczyć światło, wabiące ludzi w przestrzeń. Mógłby widzieć, jak świeci nagie słońce!

Koniec